

**Szaniawski Klemens**

**PRZY KOMINKU**

*OBRAZKI I OPOWIADANIA*

*TRYUMF STRYJENKI. CZŁOWIEK O SKRZYPIĄCYCH BUTACH.  
BABSKA DUSZA. OBYWATEL Z TAMKI. SEN NA KWIATACH.  
DOBRE WIEŚCI. PIRWSZY DZIEŃ MIODOWEGO MIESIĄCA.  
GOSPODARSKI RANEK. SKRADZONE DZIECKO. ZBIEG.  
FAŁSZYWA DZIESIĄTKA.*

Z PAMIĘTNIKÓW KONKURENTA

I.

Drogi przyjacielu! Podczas gdy ty, pod jasnym niebem Włoch, wolny od trosk i kłoi potów, swobodny jak ptak, nie skrępowany żadnymi obowiązkami, używasz życia w całej pełni, zwiedzasz starożytne ruiny, marzysz, malujesz, oglądasz arcydzieła sztuki — ja oto, schylony nad biurkiem, zgnębiony i smutny, rzucani na papier gorzkie wyrazy zniechęcenia i żalu... Smutno mi!

Chciałbym wynurzyć się przed tobą, wypowiadać

Wyobrażam sobie, że pękasz ze śmiechu, że wszystkie mięśnie twój twarzy wykrzywają się najkomiczniej — trzymasz się za boki i padasz ze śmiechu na sofę, czy na piasek morskiego wybrzeża... alboż wiem, gdzie będziesz odczytywał te zwierzenia?!

Śmiejesz się, czytasz i oczom swoim nie wierzysz, patrzysz na podpis, i znowu się chwytasz za boki.

Ja cię znam, kochany Władeczk, i właśnie dlatego, że cię znam, proszę o cierpliwość i o chwileczkę powagi.

Aczkolwiek dusza moja—tylko nie śmieję się, proszę—nastrojona jest dziwnie melodramatycznie, będę jednak starał się panować nad sobą i pisać spokojnie, tak spokojnie, jakbym ci miał zdawać relację z posiedzenia członków jakiej filantropijnej instytucji. Będę suchy, zwięzły, treściwy—jakby to nie

O mnie chodziło—tylko się nie śmieję!

Kręcisz głową i dziwisz się, skąd ten ton? co to jest? co mi się stało?

Czekaj!

Już ciż nie mogę powiedzieć, żebym w życiu stapał po samych cierniach tylko... Kłamałbym. Wiesz, że troska o byt nie wyryła mi zmarszczek na czole. Dobrzy rodzice dali mi wykształcenie, jakie takie stanowisko i kapitalik, nieodżałowana zaś ciocia Eufrozyna zapisała mi tę ładną kamienicę na Kruczej, w której właśnie kreślę ten nieszczęsny pamiętnik.

Żyło się, wiesz jak: wygodnie, bez trosk ale

i bez szaleństw. Dnie schodziły według stałego programu i było takich dni... No, przed tobą mogę się przyznać. Pomnóż przez , dodaj do tego na lata przestępne, a będziesz wiedział, jaka jest ich liczba. Duża, bardzo duża! Przyznawać się do niej nie lubię i nie wyglądam na nią, jak wiesz.

Cerę mam dość zdrową i świeżą, włosy we względnym komplecie, czarne jak smoła (mogę ci dać adres wynalazcy tej wody), nie tyję jeszcze tak jak inni w tym wieku i, ogólnie biorąc, wyglądam dość młodo. Tak przynajmniej utrzymują znajomi.

Jednak... w tej dobie życia, w której się znajduję, nabiera się szczególnego zamiłowania do komfortu, do wygod...

Nie wiem czy to ogólne prawo, czy! tylko specjalnie we mnie budzą się podobne upodobania, ale zdaje mi się, że nie mógłbym żyć bez wygod, bez systematyczności... Lubię sypiać wygodnie i długo, jadać dobrze, bawić się, podróżować w wagonie pierwszej klasy, lub w najgorszym

razie w powozie; lubię mieć swego krawca, swego fryzjera, wreszcie swego służącego, który już zna moje przyzwyczajenia i któremu nie potrzebuję codziennie powtarzać jednych i tych samych poleceń.

Powiesz, kochany Władziu, że to wszystko mam... Łudzisz się. Jestem wykolejony z trybu życia, chory i rozbity fizycznie, wzruszony moralnie, ogarnia mnie niepokój, nie mogę sypiać... jednym słowem znajduję się na jakimś przełomie.

Pytasz dlaczego?

Alboż ja wiem! Każdy człowiek ma swoje fatum—ja zaś mam specjalnie stryjenkę. Znasz przecie panią Leonową? Osoba w sile wieku, mająca jeszcze pretensję do młodości, i nie bez zasady, bo wyszła za mego stryja przed laty dwudziestoma, a miała wtedy, jeżeli jej wierzyć, szesnaście.

Balzak apoteozował takie kobiety. Stryjenka jest miła, towarzyska, dowcipna i koniecznie pragnie mnie ożenić. To jej słabość.

Ożenić!

Wyznam ci szczerze, że nie zastanawiałem się nigdy nad tą kwestyą. Lata zeszły, a nie pomy

siałem o dozgonnej towarzyszcze życia. Amor nie zranił mego serca aż dotąd, a szukać żony dla losu, dla wzbogacenia się jej posagiem, nie miałem najmniejszej potrzeby, gdyż osobisty mój majątek wystarcza mi aż nadto.

Dopóki stryjenka prowadziła ze mną utarczkę podjazdową, niewiele zważałem na jej namowy — ale od kilku miesięcy rozpoczęła bitwę na całej linii.

— Nie przestanę cię namawiać i przekonywać—mówiła,—dopóki celu nie dopnę. Jesteś ostatnim przedstawicielem rodu, więc nie wolno ci się nie żenić; jesteś człowiek zamożny, więc nie wolno ci nie podzielić twego mienia z osobą, którąbyś mógł uszczęśliwić. Jesteś nareszcie w tym wieku, że jeżeli jeszcze zwleczesz rok, dwa, trzy najdalej, zostaniesz

starym kawalerem i nie ożenisz się już nigdy—a czy ty masz pojęcie o tem, co to jest stary kawaler?

— Wiem, proszę stryjenki.

— Ciekawam...

— Stary kawaler, jest to... kawaler stary.

— Nie, nie, sto razy nie! Stary kawaler, to istota godna politowania — to mizantrop, dziwak, często skąpiec, a prawie zawsze egoista. To człowiek, który nie spełnił obowiązków względem społeczeństwa, nie zwrócił mu długu, zaciągniętego z rąk własnych swoich rodziców. To człowiek, który, zasklepiony w egoizmie, nie miał nigdy w sercu uczuć podnioślejszych, szlachetniejszych, lepszych...

Oj, oj kochana stryjenko, czy nie zasuwrowo sądzisz mnie i moich biednych kolegów? Przecież i starzy kawalerowie mogą kochać...

— O tak, bez wątpienia; kochają oni dobre śniadanka i obiady, szaleją za resursą, starem winem, poświęcają się nawet dla dogodzenia własnym zachciankom i przyzwyczajeniom. Spotyka ich też za życia jeszcze zasłużona kara.

— Kara?

— A naturalnie, straszna, ale zasłużona zupełnie. Nemezys małżeńska mści się na nich bez litości. Nie daliście, powiada, nikomu serca, i wam też serca nikt nie da; nie osłodziliście nikomu życia, i wam ono osłodzonym nie będzie. Musicie ginąć w opuszczeniu, w samotności, bez opieki, a majątek, do którego przywiązujecie taką cenę, rozdrapią obcy ludzie i nawet nic wspomną pocziwie waszego imienia.

— Stryjenka jest dziś w usposobieniu tragicznem.

— Bo mi cię żal, mój Jasiu, bo nie chciałabym, żebyś miał zostać takim nieszczęśliwym, anormalnym, wykolejonym człowiekiem; ale ty nie zważasz na moje życzliwe słowa i ile razy zacznę o małżeństwie mówić, zaraz zwracasz na inny przedmiot rozmowę.

— Przeciwnie, moja stryjenko — odrzekłem, czując, że się od dłuższej rozmowy nie wywinę — przeciwnie, chętnie gotów jestem rozmawiać.  
— To nie dosyć; nie wystarcza mi, żebyś rad moich słuchał, ale żebyś usłuchał i żebyś zastosował się do nich. Czy masz co przeciwko małżeństwu wogóle?

— Jeden z moich przyjaciół, który ożenił się przed dwoma laty, stara się obecnie o rozwód...

— Ach, cóż to znaczy! Wyjątek nie stanowi reguły. Odpowiedz na moje pytanie — czy masz co przeciw małżeństwu wogóle?

— Inny znów mój przyjaciel, ożeniony dopiero przed rokiem, ucieka z domu.

— Mój kochany, jeżeli życzysz sobie rozmawiać ze mną, to proszę, rozmawiaj porządnie i logicznie. Nic a nic nie obchodzą mnie twoi przyjaciele, pytam o zasadę. Czy uznajesz, że małżeństwo godne jest potępienia?

— Nie.

— Czy przyznajesz, że rodzina ma prawo bytu?

— Zapewne.

— Czy nareszcie osobiście, ty, jako jednostka, wolałbyś być szczęśliwym, czy nieszczęśliwym?

— Cóż za pytanie!

— W takim razie dlaczego się nie żenisz?

— Nie miałem szczęścia zakochać się aż dotychczas...

Stryjenka wybuchnęła śmiechem, a po chwili rzekła poważnie:

— Od dnia dzisiejszego za cztery tygodnie będziesz zakochany po uszy.

— Bardzo wątpię.

— A ja nie. Chyba że zamkniesz się w domu i przez cztery tygodnie nie pokażesz się na świat.

— Przeciwnie, kochana stryjenko, chcę dać dowód odwagi i gotów jestem narazić się na niebezpieczeństwo.

- Trzymam cię za słowo. Notabene powiem ci jeszcze, że od dnia dzisiejszego jesteś wolny.
- Pod jakim względem?
- Przestaję cię zachęcać do małżeństwa Ani jednym słowem nie wspomnę o okropnościach życia starokawalerskiego. Moje rady, uwagi i perswazyje ustają.
- Czem mam sobie wytłumaczyć ten niespodziewany zwrot?
- Tem, że ustała już potrzeba perswazyi i przekonywania.
- Nie rozumiem.
- Dałeś mi słowo, że się przed niebezpieczeństwem nie cofniesz.
- O, niezawodnie!
- Więc, ponieważ uważam cię za dżentelmena, który słowa dotrzymywać umie, zobowiązę cię, ażebyś pojechał na wieś, do domu dalekich moich krewnych; tam pobędziesz tydzień, dwa, a reszta sama się zrobi.
- Skądżeż taka pewność, stryjenko?
- Przekonasz się; liczę na to, że pojedziesz,
- Niezawodnie.
- A zatem, drogi Jasiu, za tydzień przyjdź mnie pożegnać, a ja uprzedzę listownie pana Marcina, ie przyjeżdżasz do Białki...

Władku kochany! Foco ja przyjmowałem to wyzwanie? Dlaczego dałem się namówić do wyjazdu? Ale słuchaj dalej mojej odysseyi nieszczęsnej,

nie śmieję się, a jeżeli masz odrobinę serca i współczucia dla mnie, to westchnij nad nieszczęśliwym swoim przyjacielem.

Wypadki tak się złożyły, że stryjenka nie potrzebowała pisać do Białki. Pan Marcin przyjechał osobiście do Warszawy i złożył stryjostwu wizytę. Zaproszono go na obiad, na którym naturalnie i ja być musiałem.

Przypuszczam że stryjenka musiała coś o mnie staremu szlachcicowi wspominać, gdyż u przywitaniu uścisnął mi dłoń tak serdecznie, aż mi w niej wszystkie kości zatrzeszczały, i przez cały czas obiadu nie spuszczał mnie z oka.

I ja przypatrywałem mu się uważnie. Istotnie, był to piękny typ; słusznego wzrostu, silnie zbudowany, ogorzały na twarzy, z ogromnymi szpakowatymi wąsami, wyglądał jak rycerz z dawnego portretu. Mówił dużo, może nieco zagłębło, ale wyrażał się poprawnie, a względem stryjenki zachowywał się z tą staroświecką galanterią, na jaką my, dzisiejsi, niestety, nie potrafimy się zdobyć.

Na mnie pan Marcin zrobił dobre wrażenie. Było coś sympatycznego, pociągającego w tym człowieku, jakiś rys niepochwytany, niedający się określić, a zniewalający odrazu.

Zapraszał mnie (lo Białki serdecznie i szczerze. W pierwszej chwili zdawało mi się, że mogę być dla niego pożądanym, jako konkurent o córkę— ale później przekonałem się, że byłem w błędzie. On każdego znajomego zapraszał z równą serdecznością i uprzejmością, każdemu pragnął otworzyć drzwi swego domku szeroko, ugościć, uraczyć czem tylko chata bogata...

Wszyscy oni tacy.

Naturalnie, choćby tylko ze względu na obietnicę, daną stryjence, przyrzekłem że przyjadę, a ponieważ żądał, żebym nie dał długo na siebie czekać, więc obiecałem stawić się za tydzień.

Gdym przy pożegnaniu się ze starym szlachcicem przyrzeczenie przyjazdu powtarzał, stryjenka spojrzała na mnie z tryumfującym uśmiechem.

— Muszę teraz — rzekła po odejściu gościa — powiedzieć ci coś o domu, do którego się wybierasz. Pana Marcina poznałeś już i, o ile mi się zdaje, podobał ci się.

— O, bardzo nawet — odrzekłem.

— Spodziewałam się tego. Podoba ci się także i jego małżonka, poczciwa, cała domowi oddana kobieta; pracuje jak mrówka i żyje tylko dla męża i dzieci. Ta nie pomyślała nigdy o rozwodzie — wierz mi. Dzieci mają troje. Syn Julian, najstarszy z rodzeństwa, nie jest w domu, kształci się w akademii rolniczej. Córek jest dwie.

— Przepraszam, stryjenko, ale według umowy miałem być narażony tylko na jedno niebezpieczeństwo...

— Nie uciekaj się do adwokackich wybiegów.

— Trzymam się ściśle umowy.

— To postaci rzeczy nie zmienia, ponieważ niewiadomo która z nich stanie się niebezpieczną dla spokoju twego serca.

— A jeżeli obie?

— Z równą racją mogłabym i ja powiedzieć: a jeżeli żadna z nich?

— Ale stryjenka o to się nie obawia.

— Bynajmniej, ja zawsze jestem pewna swego. W jednej z nich musisz się zakochać.

— Ta pewność stryjenki przeraża mnie!

— Nie lękaj się, wszystko będzie dobrze. Starsza, Krystyna, ma lat... czekajno, niech sobie przypomnę... Zapewne ze dwadzieścia; młodsza zaś, Joasia, niedawno powróciła z pensyi.

— Podobno takie właśnie są najniebezpieczniejsze.

— Zobaczysz. Obiedwie, chociaż rodzone siostry, wcale nie są podobne jedna do drugiej. Zupełnie odmienne typy, kontrasty. Starsza wysmukła, brunetka, o dużych czarnych oczach; młodsza blondynka, dość szczupła, niewielkiego wzrostu, oczy barwy chabru.



- Domyślam się. Pierwsza wygląda jak bohaterka z tragedyi, druga niby rozmarzona pasterka z sielanki.
- Nie. Domyślność twoja nie jest tak fenomenalna, jak ci się zdaje.
- Dlaczego?
- Bo nie odgadłeś prawdy. Krysia odziedziczyła charakter i temperament matki, Joasia w ojca się wdała. Pierwsza jest cicha, nadzwyczaj łagodna,

marzycielka troche. Nie lubi wystawiać się na pierwszy plan i, o ile mi się zdaje, radaby całe życie na wsi przepędzić. Druga, przeciwnie, potna życia i energii, rwie się do świata. Lubi zabawę, ruch, gwar, zawsze wesoła, śmiejąca się, godziny na miejscu nie usiedzi; swoją drogą dziewczyna z najlepszym sercem i pewna jestem, że jak kogo pokocha...

- Widzę, że sympatye stryjenki przechylają się na stronę panny Joanny i że...
- Chowaj Boże! Jeżeli sądzisz, że chcę wpłynąć na twój wybór, to się bardzo mylisz.
- A przecież...
- Tego, co ci powiadam, nie bierz za radę, lecz za informację. Nie chcę wywierać najmniejszego wpływu na twoje dalsze postanowienia i zamiary, pragnę tylko, abyś, przyjechawszy do Białki, miał niejakię pojęcie o całym domu pana Marcina. Co do majątku...
- Przecież nie poluję na posagi.
- Wiem, i gdybyś należał do kategorii tych łowców, tobym cię do Białki nie wyprawiała.
- Więc to są ludzie biedni?
- Nie wiem, jakby ci to określić, i tak i nie... Niby nie biedni, ale biedni.
- Niech się stryjenka nie obrazi, ale muszę się przyznać, że tej definicyi na żaden sposób zrozumieć nie mogę.
- Często bywałeś na wsi?
- Niegdyś, niegdyś, dawnymi czasy, dzieckiem jeszcze, a potem, jak wiadomo stryjence, życie schodziło mi to w Warszawie, to za granicą.

— Więc się nie dziwię, że nie rozumiesz tego, co ci mówię. Wytlómaczę się jaśniej. Niby nie są biedni, mają majątek, dość wygodne mieszkanie, ogród, konie do wyjazdu, a więc wszelkie pozory zamożności — ale z drugiej znów strony dochód z gospodarstwa niewielki; kosztowała ich edukacja dzieci, kilkakrotnie ponosili klęski, więc się też nie przelewa. Są bardzo szczęśliwi, jeżeli mogą koniec z końcem związać.

— W takim razie dlaczegoż siedzą na wsi, skoro im się to nie opłaca?

— A no, siedzą. Białka od niepamiętnych czasów pozostaje w rękach tej rodziny, więc trudno im się z nią rozstać...

Stryjenka przerwała i zamyśliła się czegoś. Milczeliśmy oboje.

— Wiesz co? — odezwała się po chwili — jestem bardzo szczęśliwa, że wchodzisz w stosunek z tym domem, a jeżeli moje zamiary się spełnia...

— To?

— No, nie trzeba łowić ryb przed niewodem. Pojedź i zwycięż, jak jakiś stawny wojownik starożytny.

— Jak Cezar, stryjenko; pojedę...

### III

Kręcisz głową, kochany Władziu, bo dotychczas nie dopatrzyłeś w listach moich przyczyny stanu, w jakim się obecnie znajduję. Ustąpiłem prośbom stryjenki, poznałem pana Marcina, dowiedziałem się o istnieniu Krysi i Joasi i pojechałem na wieś. Cóż nad to zwyczajniejszego? jakaż osobliwość? Pan Marcin przecież nic jest ludożercą, Białka nie leży w

Patagonii, a te dwie panienki, o których stryjenka mówiła, toć nareszcie nic lwy srogie, szukające kogoby pożreć...

Zapewne...

Mogłem wyjechać tylko o godzinie szóstej rano, gdyż na ten właśnie pociąg miały oczekiwać na mnie konie z Białki. Miła rzecz, tembardziej, że o drugiej powróciłem z resursy! Mój Jan ułożył mi rzeczy w dwóch walizkach podróżnych i o godzinie piątej przyszedł mnie obudzić.

Wstałem z nieznośnym bólem głowy, wypłem filiżankę herbaty i rozklekotaną dorożką pojechałem na dworzec, licząc na to, ie się wyśpię w wagonie. Przedziały pierwszej klasy bywają zazwyczaj puste, tym razem jednak wyjątkowo zapełnione były przez damy z dziećmi i damy bez dzieci.

Przysiadłem się do tych ostatnich. Było ich coś pięć. Mama, o ile się zdaje, ciocia i trzy córeczki na wydaniu. Wszystkie jednocześnie mówiły i to z niezwykłym ożywieniem; powracały albowiem z wesela jakiejś panny Wandy z panem Maurycym, które się odbyło bardzo wystawnie i hucznie

ua wsi, niedaleko od Chęcín. Było mnóstwo osób i naturalnie mnóstwo sukien w klíny, w dzioby, w zęby, z jakimiś wodami, kwiatami, girlandami i Bóg wie czem jeszcze. Towarzyszki moje krytykowały je zawzięcie, analizując najmniejszy szczegół, najdrobniejszy drobiazg. Miałem pełne uszy atlasów, tarlatanów, mory, pluszów, brokateli, koronek. Nie wiem, czy w największym magazynie warszawskim znaleźć można tyle towarów, ile te panie w moją biedną zbolałą głowę nakładły. Potem przyszła kolej na biżuterie, koafiury, szczegóły kolacyi cukrowej i na mężczyzn. Ten tańczył, ten nie tańczy?, ten z ową najwięcej tańczył, a inny podobno się tamtej oświadczył... Uf! Pierwsza stacyą, dzwonek. Chcę wysiąść—niestety, siedzę tak, że musiałbym przeciskać się do drzwi między temi paniami, które zdążyły już zabarykadować przejście przeróżnemi pudełkami i koszykami. Nie śmiem im przeszkadzać, tem bardziej, że zajęły się oglądaniem trzech świeżo kupionych w Warszawie

kapeluszy, które miały wywołać niesłychany efekt w okolicach Pińska, o ile mogłem zmiarkować z rozmowy. Kapelusze te prawdopodobnie były już oglądane przy kupnie, ale cóż to szkodzi obejrzeć je jeszcze raz i ułożyć na poczekaniu hipotezę dość skombinowaną, że gdyby na miejsce ptaszka z kapelusza pierwszego przenieść kwiatek z drugiego, a na miejsce kwiatka z drugiego przenieść koronkę z trzeciego, to na miejsce koronki z trzeciego trzeba by było przenieść ptaszka z pierwszego —co, wedle ogólnego zdania, wyglądałoby także ni w pięć ni w dzie

więć. Zaczęto więc nowe kombinacji z następującymi wariantami: koronka, ptaszek, kwiatek: kwiatek, koronka, ptaszek; ptaszek, kwiatek, koronka. W rezultacie tych obliczeń wypadła paniom jakaś sprzeczność, ponieważ faktycznie były tylko: kwiatek, ptaszek, koronka i trzy kapelusze, a im się przyplątał czwarty, bo ciocia wliczała do rachunku kapelusz urojony, ten właśnie, który gdyby do niego przyczepić ptaszka, miał być ni w pięć ni w dziewięć.

Po dość ożywionej sprzeczce schowano kapelusze do pudełek i postanowiono po powrocie do domu wezwać na naradę jakiegoś wujaszka Remigiusza, o którym ciocia mówiła, że w rzeczach gustu psa zjadł. To wyrażenie cioci, może trochę zadosadne. nie podobało się mamie i córeczkom, które spojrzały na siebie znacząco, zarumieniły się lekko i umilkły.

Głowa bolała mnie szalenie, a przecież położyć się nie mogłem, nie mogłem nawet ze względu na obecność dam, zapalić cygara, ani ziewnąć, chociaż byłem strasznie zmęczony i znudzony. Pociąg szedł dalej i dalej, niby prędko, ale czas włókł się strasznie powoli, a kiedy wreszcie dojechałem do stacyi, na której miałem wysiąść, czułem się zupełnie jakby rozbity.

Przytem głód mi zaczął dokuczać.

Wyskoczyłem z wagonu, kazałem posługaczowi wydobyć walizki i pobiegłem . wprost do bufetu.

Przynajmniej tak mi się zdawało... Próbuję 'tworzyć jedne drzwi—  
zamknięte, pchnąłem drugie  
fnfg kominku.

otworzyły się i jakiś pan z żółtymi wypustkami przywita) mnie  
zapytaniem:

— Czego?

— Przepraszam pana — rzekłem — szukam bufetu...

— Ma następnej stacyi — odpowiedział lakonicznie, stukając rączką  
telegrafu.

— Więc tu niema?

— A nie. Przecież to tylko przystanek. Jeszcze nie dałem za wygraną.  
Odszukałem

posługacza, który wyniósł moje rzeczy z pociągu, i zacząłem go badać,  
gdzieby się tu pożywić. Machnął ręką niechętnie.

— At, wielmożny panie, my tu sami nie mamy co jeść.

Budynek stacyjny stał samotny przy linii, wśród lasu; nigdzie nie widać  
chatki, ani zabudowań mieszkalnych. Stacyjka tylko, a dokoła sosny,  
sosny i sosny, jakby zadumane, ponure.

— Czy tu nie czeka powóz z Białki? — zapytałem.

— Jest, wielmożny panie, bryczka.

— Bryczka?—spytałem trochę zdziwiony.

— A ktoby zaś na taką drogę powozami jeździł—odpowiedział.

Poszedłem zobaczyć tę bryczkę. Było to jakieś pudełko żółte, bez  
resorów, na wysokich kolach, zaprzężone w tęgie trzy deresze. Koniska  
miały aż na karkach ślady błota.

Przy bryczce stał chłop krępy, z ogromnym: wąsami, w płaszczu barwy  
stalowej i w lakierowanej czapce. Przedstawił mi się i oświadczył, jako

jest Maciej, stangret z Białki, że przywiózł dla mnie ukłony od dziedzica i że wielki czas jechać, bo już druga blisko po południu, a dziedzic zapowiedział, żeby przed północą być w domu.

Przed północą! A więc co najmniej dziesięć godzin jazdy w tem żółtem pudełeczku!

Posługacz przyniósł walizki.

Maciej spojrzął na nie uważnie i zaczął się drapać po głowie.

— Na cóż czekacie?—rzekłem.—Bierzcie rzeczy na bryczkę i jedźmy.

— Jużcić wziąć, to się weźmie — rzekł — ale jak?

Ostatecznie zdecydował się pan Maciej mniejszą walizkę ulokować w siedzeniu. (Miałem w niej bieliznę i garnitur frakowy!) Większą, o której wyraził się, że nie jest foremna, postanowił postawić tak, żeby jedną stroną opierała się o jego własne plecy, a drugą o moje kolana. Nie było innego sposobu, musiałem się więc godzić z losem.

Od stacyi do gościńca był kawałek szosy. Maciej ruszył z miejsca ostro, z piekielnym turkotem; walizka zaczęła mi podskakiwać na kolanach.

Przytrzymałem ją jedną ręką, a drugą uchwyciłem się bryczki, w obawie, żebym sam nie wypadł na pokryte gęstą warstwą biota kamienie. Turkot mnie ogłuszał, żółta bryczuszka podskakiwała po kamieniach jak piłka, walizka zsuwała mi się ciągle z kolan.

Na szczęście kawałek owej milej szosy nie był długi. Nagle turkot ustał, konie zwolniły biegu

i szfy już powoli, z trudnością wyciągając kopyta z gęstego, gliniastego bfota. Odetchnąłem...

Poprawiłem nieszczęśliwą walizkę na kolanach, błogosławiąc błoto, po którym deresz nie mogły biec pędkiem. Bryczka nie trzęsła już, przechylała się tylko z boku na bok, jak kaczka, wydając przytem przykre jakieś zgrzytanie.

Zapaliłem cygaro i, aby zapomnieć choć na chwilę o dokuczającym mi głodzie, wdałem się w gawędę ze stangretem.

— Mój Macieju—spytałem,—czy do samej Białki będzie taka droga?

— A niechże Bóg broni, wielmożny panie — odrzekł,—toćbyśmy się za trzy dni nie dowlekli.

— Więc znowuż szosa nas czeka?

— Skądby tu szosa? Różna droga. Gdzie niżej, jak oto tu, na to mówiący, to błoto; potem zaś znów piasek, to grobelki, a już za Partaczkami do samej Białki dobrze.

— Cóż to za Partaczki?

Maciej obejrzał się na mnie. Zdawało mi się, że w jego spojrzeniu dostrzegłem coś, jakby zdziwienie, politowanie i zarazem ironię.

— Wielmożny pan nie wie?—zapytał, wzruszając ramionami.

— Nie wiem.

— Miasto.

— Miasto!—zawołałem z radością—powiadacie więc, że Partaczki miasto?

— Prawdziwie, wielmożny panie, miasto — żydzisków w niem zatrzęsienie.

— Bogu dzięki! jakże się z tego cieszę, jakże się cieszę!

Maciej znów się obejrzał. Widocznie nie rozumiał powodu mojej radości.

— Wybornie, doskonale!—mówiłem z ożywieniem. Skoro Partaczki miasto, więc musi tam być restauracja. Wszak jest restauracja?—pytałem Macieja, myśląc o porcy doskonałej polędwicy i o butelce burgunda.

— Niby jak wielmożny pan powiada?

— Restauracya.

— Nie wiem — odrzekł Maciej; — prcpinacya to jest

— Ależ ja się pytam czy jest miejsce, w którym możnaby dostać co do zjedzenia...

— Acha! to niby o cukiernię... Jest, jest, wielmożny panie, a jakże, sprawiedliwie cukiernia, porządna, i zajazd. Wszyscy panowie tam zawdy stają.

— Więc jeść dostanie?

— Nawet bilard jest. Ho! ho! Moškowa to mądra Żydowica, dla panów ma stancyę osobliwą z bilardem, a zaś dla narodu izbę prostą, niby jak szynk, jeno że wódka w niej lepsza, niż w szynku.

— A innej cukierni niema w Partaczkach?

— Jakiej innej?

— Takiej, co nie należy do Moškowej.

— Nie, panie, niema i jak Partaczki Partaczkami, nie było. Ja już, proszę wielmożnego pana, też nie dzisiejszy, w Białce jestem za stangreta bez mała chyba ze trzydzieści lat, w Partaczkach by

wam dwa, czasem i trzy razy na tydzień, a prócz Moškowej innej cukierni nie znam.

Informacya Macieja nic bardzo mnie pocieszyła, ale będąc strasznie głodny, rad byłem i takiej okazji.

— Pośpieszajcie, Macieju — rzekłem, — bo mi chce się jeść straszliwie. Maciej śmignął batem nad końmi.

Błoto było mniejsze, deresze puściły się wyciągniętym kłusem.

Ujechaliśmy tak chyba więcej niż milę. Droga szła pomiędzy polami, z oddalenia widać było rzekę, a nad nią po jednej i po drugiej stronie szeroką nizinę.

— Zaraz będzie grobelka—rzekł Maciej. Grobelka, pomyślałem, bardzo pięknie; niechże



sobie będzie grobelka, byle tylko prędzej dostać się do upragnionego miasta, głód nasycić, odpocząć, choćby tylko godzinę, pół godziny chociaż. Z niewyspania i głodu zaczęły mnie przebiegać dreszcze, powieki opadały, chciałbym drzemać—ale jak? wtem ciasnem, złotem pudełeczku, z twardą walizką na kolanach!

O stryjenko, stryjenko! Gdybym był wiedział, jaką drogę mam przebyć, nie zmusiłabyś mnie do tej podróży.

Zaczęła się kochana grobelka... Koła bryczki to zapadały w niezgłębione błoto, to znowu stukały o jakieś kloce, drągi, kawały drzewa. Bryczka przechylała się na jedną, to znów na drugą stronę tak, że sądziłem, że już, już się wywraca.

Maciej uspakajał mnie.

— Wielmożny panie—mówił.—jeszcze nic miałem tego zdarzenia, żebym, Panie uchowaj, w nocy nawet, a nie dopiero w dzień jasny wywrócił. Niech się pan nic nie boi, ja tu każdy wybój, każdą dziurę, nawet i kamień każdy znam.

— Ależ o wypadek łatwo.

— Nic, wielmożny panie, wszystko bajki, choćby się nie wiem jak bryczka chyliła... tylko niech wielmożny pan daje wagę...

— Jakte wagę, co to jest?

— Ha no, jak skoro bryczka chyli się na lewo, to niech pan niby swoją osobą naprawo, a jak zaś bryczka na prawo, to pan znów na lewo.

— Czy u was zawsze jeżdżą takimi bryczkami, jak ta?

— E nie, panie, mamy jeszcze parę gorszych.

— Gorszych?! alboż może być co gorszego od tego trzęsącego pudełka? Maciej zaczął się śmiać.

— Czegóż się śmiejecie?—zapytałem.

— A bo wielmożny pan musi chyba sobie żartuje. Toć to bryczuszka jak złoto, śliczny stateczek. W Łęczny kupiona na jarmarku... Nasze panienki bardzo lubią nią jeździć, lepiej niż powozem.

— Panienki?

— A jeno; jak tylko potrzeba im gdzie jechać, to zaraz molestują: mój Maciusiu kochany, mówią, zaprzęgaj aby do malej bryczki.

— Az czegoż są u licha te wasze panienki?—zapytałem, dając wedle informacyi Macieja „wa

gę na prawo, gdyż bryczka przechyliła się w tej chwili na lewo, i to nad samym rowem. Maciej nie zrozumiał pytania.

— O la Boga! z czego panienki są? a z czegoż mają być...

— Jeżeli na tej bryczce jeżdżą i nic im to nie szkodzi, to są chyba z żelaza.

— Ech, panienki są jak panienki — odrzekł — dobre panienki, jeno...

Nie dokończył; ściągnął lejce i cmoknął na konie.

— No cóż—spytałem — Macieju, coście chcieli powiedzieć?

— Nic, wielmożny panie.

— Ale przecież...

— Proszę wielmożnego pana, u nas powiadają po chłopsku, że jak kto ina co za dużo powiedzieć, niech się lepiej w język ukąsi. Tedy ukąsiłem się i tyło... Wio!

Nie badałem więcej. Podniosłem kołnierz od paltota, przymknąłem powieki, myślałem że się zdrzemnę choć troszeczkę—złudzenie!

Maciej oglądał się od czasu do czasu i patrzył na mnie wzrokiem, w którym malowało się coś jakby politowanie lub zdziwienie.

Co ten chłop myślał o mnie? Jak wyglądałem w jego opinii ja, com się nie poznał na wysokich zaletach żółtej bryczki, ani na wartości dereszów, których ani jednym słowem nie pochwaliłem?

Znasz mnie i wiesz, że nie lubię mieć niechętnych i niezyczliwych — taka już moja natura. Postanowiłem tedy przełamać niechęć pana Macieja

i lepiej go jakoś usposobić. Byto to nawet konieczne, boć ostatecznie znajdowałem się na lasce i niełasce tego chłopca. Mogł mnie trząść jeszcze bardziej po tych przeklętych grobelkach, mógł wywrócić nieznośną taradajkę i utopić mnie w błocie, razem z walizkami i całą moją przyszłością.

— Macieju—odezwałem się łagodnie.

— Słucham, panie.

— Lubicie wy wódkę?

— Niekoniecznie—odrzekł, spluwając. Byłem pewny że kłamał, bo sama fizyognomia

jego na pierwszy rzut oka świadczyła, że zacny obywatel spirytualiami nie gardzi...

— Jednak—rzekłem—w drodze, zwłaszcza gdy zimno, to kieliszeczek nie zawadzi...

— Bo i pewnie, że nie zawadzi.

— To też pośpieszajcie, mój Macieju, bom głodny, a przytem czuję się bardzo zmęczony. Ja nie powiadam wcale, że wasza bryczka jest zła — owszem, przekonałem się już, że o lepszej na tutejsze drogi marzyć nie można—ale widzicie, ja jestem nietęgiego zdrowia..

— Musi, że wielmożny był z maleńkości utrzesiony...

— Bardzo być może.

— Juści nie co, jeno z maleńkości, ale to bajki. U nas w Białce chłop stary jeden jest, na utrzesienie, na łamanie, a choćby na to mówiąc i na zwichnięcie pierwszy doktor.

— Bardzo dobrze, będę go prosił o radę.

— Ma ci on, wielmożny panie, ma i ziele rużnokie i maście—ta i ratuje ludzi jak mogący.

— Dalekoż jeszcze do miasta?

— A o, dyc już widać — rzekł, wskazując biczem jakieś szare sylwetki, rysujące się w oddaleniu.

— Więc to to jest miasto?

— To, panie. Miasto sprawiedliwe, ze sklepami het, z kramami, z cukiernią, wszystkiego dostanie w niem, czego jeno komu potrzeba. Obietnica poczęstunku udobruchała Macieja. Gawędziliśmy ciągle, lo o lewym dereszku dyszlowym, który ma podobno różne złe przymioty, to znowuż o siwych koniach, co się w domu zostały— to wreszcie o Mośkowej, jako jest spekulantna Żydowica i czy dla największego pana, czy dla prostego człowieka, wszystko przysposobienie ma w swojej cukierni, dużo nawet lepiej niż w Warszawie...

Gawęda z Maciejem urozmaicała mi troche tę fatalną drogę, której do końca życia nie zapomnę.

Dojechaliśmy wreszcie do upragnionego miasteczka. Maciej, który miał swój stangrecki honor i lubił jeździć po kawalersku, pędził jak waryat po okropnym bruku, przejechał główną ulicę i osadził konie na rynku, przed jakimś brudnym, odrapanym domostwem. Otoczyła nas wnet gromada żydów, a na progu jakiegoś sklepu, czy szynku, ukazała się żydówka niezwyklej tuszy, w czarnej atlasowej peruce, na której miała znowu jakieś czupieradło szczególne z żółtych wstążek.

— A to właśnie, wielmożny panie, jest sama pani Mośkowa—rzekł Maciej, rekomendując mi otyłą damę.

IV

Sama pani Mośkowa!

— Tak, tak—mówiła, gdym z trudnością wydobywał się z bryczki,—ja jestem sama pani Mosko, wa, do usług godnego jegomości...

Oni tu jeszcze jegomościami tytułują!

— Mnie tu wszystkie panowie znają — mówiła w dalszym ciągu — i ja wszystkich panów też znam i jegomości ja znam! Bo dlatego, co jegomości nigdy nie widziałam, to ja wiem, że jegomość dobrodziej jest nie tutejszy. Ja wiem, co będzie potrzebno stancyę. Icie! łojf geszwind, bryng a szliście, mach ojs dc numer! śliczne stancye mam! Ryfkel dy paskidnice, siest ništ dem purec, dy blinde cygie! a samowar geszwind! To, widzi jegomość, takie dzisiejsze sługi, niech je głowa zaboli... Mam bardzo dobre herbatę. Wszystkie panowie piją... Czego Maciej stoi? niech Maciej jedzie do stajni. Potrzeba owies? jest owies, za co nie ma być owies?... Malke, bryng draj garniec hufer! Może wiązeczkę siana też? Proszę jegomości do stancye, tymczasem na bilard, zanim chłopak numer troche zamiecie. Icie! Icie! bałamycie niszt. Oj, oj, co ja niosę na swojej głowie, to nie potrafię nawet jegomości powiedzieć...

— Moja pani — przerwałem.

— Aj pani, pani! niech moje wrogi mają takie państwo, jak ja wielka pani jestem, wszystkie dica. borgować! Mendele, gaj weg! No, patrz pan, to jest mój najmłodszy wnuczek, całkiem maleńki wnuczek, niech un zdrowy będzie. Co ja mam z uim! Un jeszcze nawet gadać nie umie, a już taki nabożny, taki nabożny, jak ja nie widziałam jeszcze! On widzi że dziadzio jego i tate myją sobie czasem ręce przed nabożeństwem, to un też potrzebuje być nabożny i wsadzi całą rączkę w konewkę. On też chce być husyt! Ja sama nie wiem, skąd się teraz biorą takie mądre dzieci!

— Pięknie to jest, łaskawa pani — rzekłem — ale przede wszystkim chciałbym co zjeść. Jestem głodny jak wilk.

— Aj, aj, niech jegomość o to się nie frasuje Jak kto głodny, to znak, że zdrów jest — gorzej, skoro kto wcale nie ma apetyt. Co jegomość każe dać?

— A cóż pani Moškowa ina w swoim sklepie?

— Wszystko, wszystko mam, co tylko może być potrzebne. Trunków różnych mam.

— Cognac...

— Za co nie? Prawdziwy zagraniczny, pierwszy numer, bo trzeba jegomości wiedzieć, że Abram Garwolinier, pewnie go jegomość zna, ten bogacz Abram, co ma wielką dystylarnię w Zielonej Woli, to mój krewny jest. Sardynki też mam, śledzie jest, wszystko jest.

— świeże sardynki?

— Aj, aj, żebym ja tak świeży majątek miała! Jakie to sardynki! niedawno przywiezione z Warszawy; najpierwsze panowie u mnie biorą.

— A oprócz owych sardynków i śledzi, co pani może mi dać jeszcze?

Pani Moškowa zrobiła wielkie oczy.

— No, jakto co? Co jegomość jeszcze może potrzebować? Na co jegomości więcej... Moge jeszcze cytrynę dać, będzie jegomość miał cały bali... zaraz każę podać. Icie! Icie! Wie jegomość, co ja mam z tym Iciem! to jest cały galgan! On był biedny i dlatego wzięłam jego za myszuresa do mojego zajazdu, Z początku, póki nie miał ani jednego grosza, to był bardzo usłużny, ale teraz... Teraz on już jest wielki purec, wielkie fajnaberye! Zebrał sobie trzy ruble i z furmanami handluje... Za rok to on już zechce zakładać własny szynk, zechce cały kupiec być! Teraz jest świat, aj świat! niech moje wrogi takiego świata nic widzą...

Nie wiem jak długo pani Moškowa byłaby mi opowiadała jeszcze o przewrotnościach tego świata, ale zaszedł niespodziewany wypadek. Ów Mcndele, ten bardzo maleńki, a już niesłychanie nabożny wnuczek, majstrował w drugiej stancyi koło samowara i oparzył się. Zrobił się wrzask, o jakim trudno mieć pojęcie: krzyczała jednocześnie sama pani Moškowa; krzyczała rozczochna służąca i delikatny wnuczek, a do tego koncertu dołączyły także swe głosy najbliższe sąsiadki pani Moškowej, które, dowiedziawszy się o wypadku, przybiegły z kondolencją.

Korzystając z tej dywersyi, poszedłem do tak zwanego „numeru,” już przygotowanego dla mnie, i zapowiedziałem w sposób bardzo stanowczy Iciowi, że jeżeli mi natychmiast nie przyniesie co do jedzenia, to mu wszystkie kości połamię.

Widocznie wskutek irytacji, zmęczenia i głodu, twarz moja musiała mieć wyraz przerażająco groźny, gdyż szanowny Icio z wielkim pośpiechem wykonał moje polecenie...

Czy mam ci opisywać menu tej lukullusowej uczyty?... Za nic na świecie — i tak będziesz się śmiał, gdy pomyślisz, że ja, dość wybredny w jedzeniu, uchodzący nawet za smakosza, nie jadłem, Jecz pożerałem chałę żydowską i śledzie... Głód jest najlepszym kucharzem, to święta prawda. Posiliwszy się i uraczywszy Macieja, który mi zapowiedział, że konie muszą jeszcze z godzinkę wypocząć i że potem, już bez żadnej przeszkody, lotem ptaka dostaniemy się do Białki, zacząłem rozmyślać nad swoim położeniem, a wzrok mój, błędząc po ścianach stancyi, zatrzymał się na lustrze w poczerniałych, niegdyś zapewne złoconych ramach. W krzywem tem i popekanem w kilku miejscach zwierciadło ujrzałem swoją twarz w karykaturze, wydłużoną i jakby pokrzywioną komicznie. Z przerażeniem dostrzegłem, że zapomniałem przed wyjazdem z Warszawy odwiedzić mego fryzjera. Jakże się pokazać z taką twarzą w domu obcym, do którego przybywam z pierwszą wizytą?...

Wołam tedy szanownego Icia.

— Mój przyjacielu—pytam,— czy tu w mieście znajduje się jaki porządny fryzyer?

Żydziak wytrzeszczy! na mnie oczy.

— Fryzyer? — zapyta! — na co panu fryzyer? Tu u nas wcale niema fryzyer, jest tylko fryzyerka, ale nie mogę zmiarkować, jaki wielmożny pan może mieć do niej interes? Ona robi peruki dla żydówek...

— Domyślasz się zapewne — rzekłem, — że nie jestem żydówką i peruki nie potrzebuję. Chciałbym się tylko ogolić.

— Nu, dlaczego wielmożny pan odrazu to nie powiedział, jabym zaraz wielmożnego pana zaprowadził do Wulfa. Stąd niedaleko, w drugim domu.

— Prowadź więc, tylko prędko.

Za chwilę znalazłem się w dość dużej i brudnej izbie, w której, oprócz stolika przy oknie, kilku krzeseł i szafki oszklonej, z przeróżnymi narzędziami felezerskimi i słojem pijawek, nic znajdowało się nic więcej. W jednym kącie izby pod piecem siedział chłop zapuchnięty z podwiązaną twarzą i jęczał.

Na moje powitanie wyszła młoda żydówka, w długiej żółtej bluzie, dość przystojna i tęga. Ruchy miała powolne, leniwe, a idąc, przechylała się z boku na bok, jak kaczką. Jak później objaśnił mnie mój cicerone Icio, była to pani Wulfowa, żona właściciela zakładu,

Powiedziałem jej, w jakim celu przybyłem.

Wskazała mi ręką krzesło, a następnie gdym usiadł, zaczęła mi mydlić twarz. Sądziłem że drugą część operacji wykona sam pan Wulf. Tymcza

sem, ku wielkiemu mojemu zdumieniu, dama owa wzięła brzytwę do ręki.

— Jakto?—zapytałem—cóż to za komedia?

— Jaka komedia? Co pan się dziwuje? Skąd pan jest?

— Ależ jak żyję nie widziałem, żeby kobieta...

— Proszę pana, ja wszystkich panów gołę, a mój mąż się tem nie trudni, on ma dość roboty z chorymi.

— Ale czy pani to potrafisz zrobić?

— Czy ja potrafię? Co tu jest wielkiego do potrafienia?



— Potrafi, wielmożny panie, potrafi — odezwał się chłop przy piecu siedzący — pięknie goli, mało kiedy okaleczy, a zaś sam Wulf jeno co bańki stawia, zęby rwie... Ja sam czekam tu na niego od rana, też wedle zębów.

Zaledwie mogłem wstrzymać się od śmiechu, podczas gdy pani Wulfowa doprowadzała twarz moją do porządku.

Prawdę mówił chłop, że mało kiedy okaleczy, bo mnie okaleczyła tylko dwa razy, ale trzeba jej oddać tę sprawiedliwość, że zaraz zatamowała krew zapomocą bibuły, umaczanej w jakimś płynie gryzącym.

Powróciwszy do zajazdu, załatwiłem rachunek z panią Mośkową i. nie słuchając bardzo zajmującego opowiadania tej damy, ruszyłem w dalszą drogę.

Maciej był w złotym humorze; czapkę przekrzywił na bakier i wyjechał z zajazdu z takim

ogniem i fantazją, jak gdyby pragnął potłuc na kawałki żółtą bryczuszkę, obie walizki i mnie.

Za miastem ogarnęła nas ciemność zupełna. Ja prawie nie widziałem Macieja przed sobą, on zaś dowodził, że widzi całą drogę jak na dłoni i że potrafi ominąć każdy kamień. Musiałem mu wierzyć, gdyż jechał tak śmiało, jak gdyby istotnie posiadał kocie oczy.

Nieufność, jaką miał do mnie z początku, gdzieś zniknęła; dał mi nawet do zrozumienia, że niemasz to jak jeździć z dobrymi panami, takimi zwłaszcza, co są honorowi i potrafią uszanować człowieka, nie dadzą mu głodu mrzeć w drodze, ani też dzwonić zębami z zimna. Dodał zarazem, że Mośkowa dlatego ma powodzenie, że daje wódkę sprawiedliwą, a taką grzejącą, że skoro człowiek wypije parę półkwaterków, to może bezpiecznie jechać kilka mil drogi, choćby w trzaskający mróz.

Opowiadał mi też szczegółowo historię wszystkich koni pana Marcina, gdzie który kupiony, od kogo i za ile, do czego zdolny i jaką ma naturę. Dowiedziałem się przy tej sposobności, że konie, tak jak ludzie, mają

charakter, że wśród nich znajdują się natury dobre, ale i łajdaków nie brak; przytem dał Maciej do zrozumienia, że tych ostatnich między ludźmi jest znacznie więcej, aniżeli między końmi. W trakcie tej rozmowy bryczka zaczęła się bardzo kołysać i lada chwila groziła przewróceniem. Zwróciłem na to uwagę Macieja, który zaręczył mi jednak, że to tylko kawałek grobelki i że

żadne niebezpieczeństwo nie grozi. Zaprzysiągł się na żonę i dzieci, na uczciwość swoją i na zbawienie duszy, że jeszcze nigdy w życiu nie wywrócił i nie wywróci.

Zaledwie skończył przysięgi swoje i zaklęcia, gdy nagle bryczka przechyliła się nabok tak, że w jednej chwili znalazłem się w błocie, razem z walizką, którą na kolanach trzymałem. Nie mogłem nawet krzyknąć, gdyż błoto zalepiło mi usta...

— O nieszczęście moje! — zawołał Maciej, zatrzymując konie i zeskakując z kozła. — Czy się aby wielmożny pan nie potłukł? A mówiłem wielmożnemu panu, że trzeba wagę dawać, że jak bryczka chyli się na prawo, to pan powinien na lewo... Toć przecie wywrócenia żadnego nie było, tylko pan sani sobie winien, że wagi nie trzymał...

Ostatecznie wygramoliłem się jakoś. Potłuczony, zamazany błotem, siadłem na bryczkę i, nauczony smutnem doświadczeniem, tak starannie dawałem "wagę" to na prawo, to na lewo, aż pot mi wystąpił na czoło...

Żadna lalka mechaniczna na sprężynach, żaden człowiekważ cyrkowy nie wykonywa! takich dziwacznych ewolucyi, jak ja podczas owej pamiętnej ciemnej nocy...

Nareszcie zdawało mi się, że nadszedł koniec moich utrapień.

Przyjechałem do Białki. Niestety, kochany mój przyjacielu, to był dopiero początek!...

## V

Już była północ prawie, gdy przybyłem do celu podróży. We dworze było ciemno, tylko w dwóch oknach jaśniało światło.

Pocziwy pan Marcin oczekiwał na mnie. Sam wybiegł na ganek, pomógł mi wysiąść z bryczki i wprowadził do dużego pokoju, w którym na staroświeckim kominku płonęły smolne szczapy sosnowe.

Stół był nakryty. Uprzejmy gospodarz nie zapomniał o niczem, co zmęczonemu długą jazdą podróżnemu mogło być potrzebne i pożądanе. Musiałem wyglądać okropnie, gdyż pan Marcin, spojrzawszy na mnie, zawołał:

— Bój się Boga, człowieku, co się z tobą dzieje? Jesteś pan zablocony od stóp do głów!...

Istotnie podobny byłem do ulepionego z gliny posągu.

— Nic to — odrzekłem — mały wypadek...

— Założyłbym się, że ten kanalia Maciej upił się swoim zwyczajem i wywrócił, ale mnie to dziwi, bo trzeba panu wiedzieć, że on nawet po pijanemu wozi nieźle, a widzi w nocy jak kot.

— To też on nie winien, moja to raczej nie zgrabność.

— Jakże?

— Bryczka się przechyliła z nadto i... wypadłem w błoto.

— Możesz się pan potłukł? może cię co boli? Powiedz, mamy w domu podręczną apteczkę, weźmiemy cię w kurację.

— Nic mi nie jest, mogę pana zapewnić, że się nawet nie potłukł. Jakieś bo szczególnie miękkie i sprężyste błoto jest w tej okolicy.

— Bogu dzięki, że się panu nic nie stało, aie doprawdy, nie mogę się wstrzymać od śmiechu. Spadają ludzie z koni, lecz żeby z bryczki kto spadł, pierwszy raz słyszę; musiałeś dobrodzieju spać w drodze.

— Być może.

— Oj mieszcuchy, mieszcuchy! No, nic to... Na drugi raz, kochany panie Janie, poślę po ciebie wóz drabiniasty. Zakopiesz się w siano i nie wypadniesz. Siadajże, proszę cię; wyobrażam sobie żeś głodny, bo jeżeli pani stryjenka nie dała jakich wiktuałów na drogę, toś cienko śpiewał, biedaku.

— Liczyłem na to, że na stacyi coś znajdę.

— Dobrześ się wybrał!

— Maciej, który był w drodze moim opiekunem i przewodnikiem, zapoznał mnie z panią Moškowa.

— Mogę cię zapewnić, że zrobił to w osobistych widokach. Zabierajże się prędzej do jedzenia. Oto starka, kura pieczona, pożyw się, biedaku, po tej ciężkiej biedzie. Jest tu i stary miodek, doskonale lekarstwo na wszystkie fatygi i zmęczenia. Będziesz spał po nim, jak kamień. Nie dajże się prosić! Przepraszam cię, kochany panie Janie, że tak bez ceremonii mówię ci po imieniu, ale taki już mam zwyczaj. Skoro przyjechałeś mnie odwiedzić, toś przyjaciel. Wybacz staremu, że taki konfident.

Nie odpowiedziałem nawet, tak bytem zajęty zaspakajaniem głodu; jadłem, a raczej nie jadłem, ale pożerałem jak wilk. Gdym zmiotł już wszystko, co tylko zmieść mogłem, pan Marcin miodu szklaneczkę mi przysunął.

— Może do wina jesteś przyzwyczajony — rzekł,—ale ja tem ci służyć nie mogę. Tem się trzeba kontentować, co się w domu ma. Wódka ze swego żyta, miodek od swoich pszczołek, piwko, zwyczajny cienkusz, ze swego jęczmienia. Lepsze to, niż szampan za żydowskie pieniądze, jak cię szanuję, kochany panie Janie.

— Myslę—rzekłem, podnosząc szklaneczkę do światła—że ten miodek lepszy jest nawet, niż szampan za własne pieniądze. Jak żyję nie piłem nic równie dobrego.

— Bardzo się cieszę, że ci przypadł do gustu.

— Więc to wyrób domowy?

— Ma się rozumieć. To, widzisz, od dawna się u nas wyrabia z roku na rok. Miód robi się po dawnemu, według starego przepisu, z roku na rok, a rzeczywiście niegorszy jest; przekonasz się, jak będziesz po nim spał. Wypiłem jedną i drugą szklaneczkę; pan Marcin ciągle ze mną rozmawiał, dopytywał o stryjenkę, dowiadywał się co słychać w Warszawie de publicis...

Czas nam schodził przyjemnie przy gawędce; anim się obejrzał, kiedy zegar wydzwonił drugą po północy.

— Czas spać, wypocząć po zmęczeniu — rzekł pan Marcin i zaprowadził do pokoju dla mnie przy

gotowanego. Rzuciłem się na wygodne łóżko i usnąłem. Zdawało mi się, że słyszę wycie i szczekanie psów, turkot wozów, jakieś niezmiernie głośne rozmowy czy też krzyki—ale nie mogłem zmiarkować, czy te odgłosy istniały w rzeczywistości, czy też w mojej wyobraźni tylko... Kiedy się obudziłem, ujrzałem pana Marcina. AV pokoju było bardzo widno. Jesienne słońce wydobyło się z poza chmur i świeciło z wysoka.

— Musi już być bardzo późno—rzekłem.

— Spodziewam się, już południe blisko. Ja już nachodziłem się po folwarku aż do znużenia, byłem w polu przy oraczach, w lesie przy zwózce drzewa i przyznam ci się otwarcie, że jestem głodny jak wilk. Czekam na ciebie ze śniadaniem.

— Wstaję w tej chwili, ale dlaczego pan beze innie nie pił herbaty?

— O południu herbatę? Cóż to znowu za moda? Jabym teraz wilka zjadł, a on mi o herbacie opowiada! Wstawaj prędzej, kochany panie Janie, bigos na nas czeka. Przedstawię cię też mojej żonie i córkom.

— Panie już wstały?

— Ua! ha! dobrodzieju, czy z księżycą spadasz? Cóżby to były za panie, gdyby do południa spały!... U nas o godzinie szóstej rano wszyscy na nogach. I jegomości jutro nie dam spać tak długo, chciałbym albowiem in gratiam twego przyjazdu urządzić polowanie. Z gończymi, albo z chartami, jak wolisz? Jeździsz konno?

— Jeżdżę.

— A dobrze?

— Zdaje mi się, że niezgorzej. Uczyłem się dość długo.

— Tem lepiej; po obiedzie pojedziemy do jednego sąsiada i zaprosimy go. Ubrałem się pośpiesznie i wraz z panem Marcinem poszedłem do tego samego pokoju z kominkiem, gdzie poprzedniego dnia byłem przez pana Marcina przyjmowany.

Tam zastałem panie.

Pani Marcinowa, niegdyś zapewne bardzo ładna kobieta, gdyż czas śladów tej piękności zupełnie jeszcze nie zatarł, przywitała mnie bardzo serdecznie i uprzejmie; panienki zarumieniły się zlekka.

Podczas śniadania i rozmowy, w której przeskakiwaliśmy z przedmiotu na przedmiot, przypatrywałem się paniom uważnie. Niedziw, stanąłem przecież oko w oko z tem niebezpieczeństwem, o jakim mówiła stryjenka, a aczkowiek byłem pewny zwycięstwa, pragnąłem jednak poznać nieprzyjaciela.

Stryjenka miała słuszość. Córki pana Marcina wcale nie były podobne jedna do drugiej i każda z nich przedstawiała typ całkiem odmienny.

Dopiero po dłuższem wpatrzeniu się można było dostrzedz w ich twarzach pewne wspólne familijne rysy.

Panna Krystyna, brunetka, wysmukła, o prześlicznych czarnych oczach, ocienionych długimi rzęsami, była małomówna i poważna; młodsza zaś jej siostra, prawie jeszcze dziecko, wesoła, śmiejąca się ciągle, zdawała się być duszą całego domu

i rozweseleniem. Śmiech jej rozbrzmiewał ciągle, na buzi różowiułkiej robiły się dołeczki, a z pod warg jej rozchylonych widać było dwa rzędy drobnych równych ząbków.

Wypytywała mnie o szczegóły wczorajszej podróży, skąd wniosłem, że Maciej musiał coś wspominać o moim niefortunnym upadku, a może też wygadał się i o pannach żelaznych...

— Ale — odezwał się pan Marcin, — jednej rzeczy można ci, drogi panie Janie, powinszować. Spisz jak kamień. Czy nie słyszałeś nic w nocy?

— Istotnie, zdawało mi się, że psy czekały.

— A nie zdawało się panu, że strzelają? — zapyłała z uśmiechem Joasia.

— Nie, proszę pani. Przecież teraz mamy czasy pokojowe.

— Jak gdzie, panie; u nas ciągnęła wojna.

— Nie rozumiem.

— Mała rzecz—odezwał się pan Marcin,—istotnie czasem miewamy noce niespokojne, ale do wszystkiego można się przyzwyczaić.

— Cóż było dziś w nocy?—zapytałem.

— Bagatelka. Jacyś obcy ludzie włoczyli się koło folwarku; prawdopodobnie złodzieje chcieli się dobrać do stajni, ale u mnie psy doskonale i straż czujna... Psy zaczęły ujadać, stróż zaalarmował ludzi świstawką, a ja wybiegłem przed dom i strzeliłem parę razy na wiatr dla postrachu. Niech wiedzą przynajmniej, że w Białce się pilnują.

— I ja tego nie słyszałem? Nie słyszałem strzałów, to niepodobieństwo!

— Dowód, żeś pan dobrze spał, kochany panie Janie.

— Wyobrażam sobie, jak panie były przerażone—rzekłem.

— My?—zawołała Joasia — a to z jakiej przyczyny? Moge pana zapewnić, że nie jesteśmy tak lękliwe, jak się panu zdaje. Zresztą, alboż raz zdarza się coś podobnego? Mnie się zdaje, że gdyby nawet rozbójnicy napadli na nasz dom, to...

— Nie przelekłaby się pani?

— Zdaje mi się, że sama potrafiłabym ich nastraszyć. Wiem gdzie ojczulek ma broń, a z bronią umiem się doskonale obchodzić.

Uważnie i bacznie wpatrywałem się w tę jasnowłosą, wesołą, uśmiechniętą dziewczeczkę, co nie przeszkadzało mi zresztą rzucać okiem od czasu do czasu na poważną i zadumaną pannę Krystynę.

Któraż z nich dwóch ma stać się niebezpieczną dla spokoju mego serca?

Która stanie się powodem tryumfu stryjenki?

Rozśmiałem się w duchu na myśl, że szanowna stryjenka tryumfować będzie. Nie, nic, zawzięta przeciwniczko celibatu! Powrócę do Warszawy spokojny i chłodny jak przedtem i nie utracę tej złotej wolności kawalerskiej, z którą mi nie jest źle na świecie! Na co, dla jakiej idei mam ją tracić, wyrzekać się swoich przyzwyczajzeń, wygod, do których przywykłem, swoich dobrych przyjaciół, resursy, a nadewszystko spokoju... nie! Nic z tego! I dla kogóż mam ponosić taką ofiarę... może dla tego jasnowłosego dzieciaka? Nie! Ten dzieciak jest szczególnie miły, sympatyczny, figlarny, przysiągłbym, że

ma złote serce, że potrafi kochać wiernie, serdecznie, jak to mówią na śmierć i na życie, ale nie chciałbym być przedmiotem tej miłości.

Co jabym robił z taką żoną?... Usposobienie moje nie licuje z ciągłą wesołością i śmiechem. Chcąc z takim ptaszkiem śpiewającym żyć, trzebaby samemu ptasie skrzydła chyba posiadać i fruwać, bując z gałązki na gałązkę, gonić się z nim nad łąkami, nad wodą... Gdzież mnie do tego?



Tak, Władziu, nie ulega kwestyi że się starzeję, skoro taka młodość obawą mnie przejmuje. Cóż robić? czas idzie...

Spojrzałem na Joasię i pomyślałem sobie:

— Śmieję się, śmieję, śliczne, wesołe dziecko, wesel się, pókiś młode, ale ani twoje ząbki perłowe, ani owe dołeczki na buzi nie zamażą mego spokoju, Mógłbym cię pokochać, nie chcę powiedzieć jak córkę, bo po cóż mam sobie lat dodawać?—ale jak młodszą... siostrzyczkę, na której weselu gotówbym tańczyć z przyjemnością.

A panna Krystyna? Szczególna rzecz, im bardziej się w nią wpatruję, tem więcej podziwiam jej oczy.,. Co to za oczy! nie zdarzyło mi się widzieć podobnych. Wyraziste, myślące, śliczne oczy!

Chciałbym wpatrywać się w nie jak najdłużej. Przecież to żadnem niebezpieczeństwem nie grozi.

Śniadanie się kończy. Wstajemy od stołu. Pan Marcin chce mi pokazać swoje gospodarstwo.

To jego słaba strona. Lubi się popisać, a ma z czem. Wszędzie ład i porządek wzorowy. Bu

dynki doskonale utrzymane, konie, bydło, owce bardzo ładne, o ile się znam na tem.

Najwięcej czasu zajęła nam stajnia, na której progu powitał nas Maciej w fartuchu płóciennym, ze zgrzeblem w rękę.

Nie poznałem dereszów, które mnie wczoraj do Białki przywiozły; ani znać było na nich śladów fatalnej drogi i błota.

Jeszcze nie obejrzelśmy wszystkich koni, gdy wpadł chłopak ze dworu z wiadomością, że obiad na stole.

Przeraziłem się.

— Czy państwo tu jadacie co godzina? — spytałem.

— Co godzina nie—odrzekł pan Marcin — ale jada się od czasu do czasu. Dziś obiad nawet cokolwiek spóźniony, dzięki temu, żeś spał tak długo, kochany gościu. Spieszmy więc, bo zaraz po obiedzie pojedziemy do pana

Karola; chcę go na jutrzejsze polowanie zaprosić. Poznasz go. Poczciwy człowiek z kośćcami, ale przytem trochę lekki i niebardzo rachunkowy, więc też będę klepie nieborak.

Poszliśmy tedy na obiad i zasiedli przy stole w owym wielkim pokoju z kominkiem.

Nie byłem głodny, nawet, co prawda, jeszcze się nie wysapał dobrze po śniadaniu, ale wobec gościnności gospodarstwa, wobec zaproszeń z ich strony, niemożliwe stało się możliwem. Jadłem.

— To ci się tylko tak zdaje — mówi! pan Marcin — cóż to za jedzenie? Trochę tego, trochę owego... Przekonasz się, że jak przyjedziemy do

pana Karola, będzie ci się chciało jeść, jak za najlepszych czasów.

— Daleko to?—zapytałem.

— Wilka drogi, w Zagajewie; trzy kwadransy jazdy. Jutro wstaniemy wcześniej, to jest dobrodziej wstaniesz wcześniej, bo my jak zwykle—i pojedziemy z chartami. Skoro jesteś na wsi, trzeba żebyś wsi używał, kochany panie Janie.

— A czy pan lubi polowanie? — spytała Joasia.

— Dlaczego nie? Chociaż wogóle w swoim życiu polowałem niewiele, a z chartami co prawda nigdy...

— Nigdy?

— Rzeczywiście.

— A no — rzekł pan Marcin — to trzeba koniecznie, żebyś choć raz zobaczył, jak to wygląda. Lepszego miejsca, jak u nas, na takie polowanie nie znajdziesz. Równina wszędzie, jak po stole. Każę ci kasztana osiodłać, bardzo dobry koń, pewny w nogach i wytrzymały. Czasem miewa swoje fanaberye, ale ponieważ, jak mówiłeś, jeździsz nieźle, więc dasz sobie rady.

— Tylko proszę bardzo, żebyś pan nie zmęczył! mego wierzchowca i faworyta — odezwała się Joasia.

— Więc to pani wierzchowiec?

— Niestety, niezupełnie. Ojczulek na nim jeździ, czasem Maciej, a czasem, bo i to się zdarza—rzekła, robiąc minkę poważną—zaprzągają biedaka do wozu i musi, jak niepyszny, snopki wozić z pola.

— Nie wyobrażajże sobie, kochany panie Janie— odezwał się pan Marcin,— że trzymamy tu jakieś specjalne wierzchowe folbluty. To nie na Białkę i nie na dzisiejsze czasy. Trzeba pod siodło, to pod siodło—a do woza, to do woza. Koń nie powinien darmo jeść owsa.

Panna Krystyna niewiele mówiła, dopiero przy końcu obiadu, gdy wspomniałem o Warszawie, o ruchu literackim, o książkach, ożywiła się, a w oczach jej zamigotały blaski. Wyrażała zdania bardzo trafne i rozumne, z przedziwną skromnością, nie pozując bynajmniej na sawantkę. 'okazało się, że czytała wiele, a pamięć miała wyborną. Mogła recytować całe poematy.

Gdy panna Krystyna mówiła, Joasia przestała się śmiać i z bardzo poważną, zadumaną minką, przysłuchiwała się słowom siostry.

Byłbym z przyjemnością prowadził tę rozmowę jak najdłużej, a raczej słuchał melodyjnego głosu panny Krystyny i podziwiał jej oczy czarne, które z każdą chwilą wydawały mi się coraz piękniejsze, ale pan Marcin przypomniał, że mamy jechać do sąsiada.

Wolałbym zostać w Białce.

Maciej służbista zajechał przed ganek tą samą żółtą bryczuszką, na której poprzedniego dnia wycierpiałem tak wiele.

Gdym miał już panie pożegnać, gospodarz zapytał żony:

— Moja duszko, a daliście też znać Stasiowi, żeby jutro przyjechał?

— Przed obiadem posiałam konnego, lecz dotąd jeszcze nie wrócił.

— O! niech ojczulek będzie spokojny—wtrąciła Joasia, śmiejąc się i spoglądając na siostrę, —przyjedzie niezawodnie pan Stanisław, przyjedzie, ja za to ręczę.

Zauważyłem, że gdy wspomniano o owym panu Stanisławie, twarz panny Krystyny pokryła się rumieńcem, a oczy zniknęły pod spuszczone powiekami i długimi, jedwabistymi rzęsami.

Zdawało mi się przez chwilę, że doznaję uczucia przykrości i jakiegoś szczególnego niepokoju.

Z jakiej racji? Cóż może mnie interesować jakiś pan Stanisław, którego nigdy w życiu nie widziałem, co mi wreszcie do rumieńców panny Krystyny? Polubiłem ją od pierwszego wejrzenia, uczułem dla niej, zarówno jak i dla jej siostrzyczki figlarki, pewien rodzaj życzliwości i sympatii, ale więcej nic nad to. Obie są bardzo miłe, urodziwe dziewczeczki, jakby wywołane z kart rodzinnej, swojskiej poezyi; jak jedna, tak i druga może się podobać, może wzbudzić nawet żywsze uczucie, ale chyba nie we mnie! Opancerzony jestem na takie pociski, a lata moich pierwszych zapalnych, młodzieńczych uniesień bezpowrotnie minęły. Swoją drogą muszę przyznać, że panna Krystyna ma wyjątkowo piękne oczy...

Wyjeżdżamy. Pan Marcin uprzyjemnia mi podróż opowiadaniem o urodzajach tegorocznych i zbiorach. Słucham, kiwam głową, ale jeżeli mam

powiedzieć prawdę, rozumiem zaledwie piąte przez dziesiąte.

— Deszcz nam szkaradne robił psoty — mówi zawzięty gospodarz. — Powiadam ci, kochany panie Janie, że nie zbieraliśmy, lecz po prostu kradli zboże z pola. Zaledwie słońce uśmiechnęło się cokolwiek, ledwie zmokłe snopki obeschły, znowu nadchodzi chmura i znowu deszcz

fatalny. Słowo ci daję, że o mało nie zwaryowałem przy tej nieszczęśliwej zwózce.

— A to dobrze, to bardzo dobrze — odpowiadam w roztargnieniu.

Pan Marcin śmiechem wybuchnął.

— Co dobrze—rzeki,—czy to, że deszcz padał, czy żem ja o mało bzika nie dostał?

Próbuję się usprawiedliwiać... Przepraszam, ale wyrazy mi się płaczą, mówię od rzeczy.

— No, nie tłumacz się, nie eksplikuj — mówi poczciwy szlachcic — zamyśliłeś się widocznie o Warszawie, a może o jakiej pięknej pani z wielkiego świata.

Mylił się. Byłem zamyślony istotnie, lecz o panie Krystynie.

Przyjechaliśmy wreszcie do wioski owego pana Karola. Było tam zupełnie inaczej niż w Białce. Jedna stodoła chyliła się na prawo, druga na lewo, a obora, czy może owczarnia, wyglądała tak, jakby miała zamiar przewrócić się nawznak.

Dwór podupadły był także, dach miał zakłęśnięty, mchem porośły, z komina tynk poopadał.

Gdyśmy zajechali, gospodarz na ganek wybiegł, żeby nas powitać. Był to człowieczek niedużego

Wzrostu, maty, czupurny, z brodą przystrzyżoną dość krótko i żywemi, ciągle niespokojnie biegającymi oczkami.

— A Bóg cię tu zesłał, kochany panie Marcinie—zawołał—a jeszcze z gościem!

Pan Marcin przedstawił mnie.

— Warszawiak, warszawiak — mówił gospodarz. — Proszę, proszę serdecznie, dowiemy się różnych nowości z szerokiego świata. W wiścika pan dobrodziej grywasz?

— Grywam, panie.

— To wybornie! Od tygodnia już siedzę w domu sam, jak zakonnik, i myślę o swoich kłopotach. Urządźmy sobie kapitalną partyjkę. Uprzedzam jednak, że grywamy tu niedrogo, bardzo niedrogo...

— Zastosuję się do zwyczaju.

— Złoty człowiek z pana, jak szczęścia pragnę, złoty! Ale szkoda wielka, że nie mamy czwartego... Czekaście — zawołał, uderzając się w czoło.— Już mam, będzie i czwarty!

— Któż?—zapytał pan Marcin.

— Komornik ma przyjechać, spodziewam go się lada chwila... będzie więc komplet...

Spojrzałem na pana Karola ze zdumieniem. Dostrzegł to i z przesadną, teatralną jakąś gestykulacją zawołał:

— Pana dobrodzieja to dziwi?! Szczególna rzecz! Ja zawsze tak w zmartwieniu szukam pociechy. Zresztą jesteśmy z tym panem w przyjaźni. Stara, dobra znajomość; od lat dziesięciu bywa on u mnie po kilka razy na miesiąc i nie tylko ja,

ale nawet moje konie tak się przyzwyczyły do niego, że jak go zobaczą, to rżą z radości. Słowo daję. Siadajcież panowie, bardzo proszę. Małżonka moja wnet się ukaże. Szczęśliwy jestem, żeście mnie odwiedzili, bardzo szczęśliwy! Siedzę tu albowiem jak zamurowany i myślę o swoich kłopotach. Jakież tam nowości w Warszawie? Podobno zakładają jakiś bank z ogromnym kapitałem!

— Nie słyszałem o tem.

— A ja słyszałem. Mówiono mi jako rzecz pewną i stanowczą, chociaż podobno do czasu projektodawcy trzymają zamiary swoje w tajemnicy. ile wiem, będą dawali ogromne pożyczki... spłacą towarzystwo, spłacą wszystkie długi prywatne —

odetchniemy! Śliczna rzecz! będziemy widzieli żydów tylko chyba na obrazkach. Muszę nawet namówić kilku naszych lichwiarzy, żeby na wszelki wypadek kazali się odfotografować...

— Któż sąsiadowi mówił o tym banku? — zapytał pan Marcin.  
— Był taki, co mówił. Mam ja swoje stosuneczki i choć niby siedzę tu w kąciku, jak świerszcz za piecem, jednak od czasu do czasu, co nieco, chociaż piąte przez dziesiąte usłyszę.  
— Piąte przez dziesiąte, to jeszcze nie wiele.  
— Zawsze coś! Od czasu, gdy się dowiedziałem o owym projektowanym banku, mieszkam najrozkoszniejsze marzenia...  
— Kochany sąsiedzie — odezwał się pan Marcin—przyjedź do nas jutro rano, chciałbym urządzić dla swego gościa polowanie z chartami.

— Śliczna myśl! Owszem, przyjadę z wielką chęcią. Niech warszawiak zobaczy nasze pieski. O której się stawić?

— Jak najraniej.

— Słusznie, o szarym świcie wyjadę. Zobaczycie wierzchowca, jakiego sobie kupiłem. Świetny koń. wschodniej krwi, Abdelkader.

— Proszę! Z jakiegoż stada?

— Nie wiem, doprawdy. Kupiłem go na jarmarku od żyda, który się nazywa Abel Kader, a skąd go żyd wziął, to mnie nie obchodzi. Śliczny koń, rosły, niebardzo młody, ale jeszcze zdrów jak krzemień. Zobaczy go sąsiad jutro i jestem pewny, że cały powiat pozazdrości mi tego nabytku. Któż będzie więcej?

— Staś.

— Acha, Staś... dobry chłopak; porządny chłopak... bardzo ładnie. I czas niezgorszy, zające teraz w podorywkach siedzą. Może być bardzo dobre polowanie. Słyszę jakiś brzęk, pewnie przygo. towali nam co do zjedzenia. Proszę bardzo, proszę, chodźcież panowie. Moja pani marudzi, jak zwykle, zapewne stroi się. Tak to zawsze z kobietami!

Pan Karol raczył nas i fetował. Musiałem znowuż jeść; wymówić się nic było sposobu.

Gospodarz ciągle mówił. Opowiadał nam o swoich kłopotach ze służbą, zatargach z gminą, o żydach, którzy tak się zawzięli, że stu rubli

niepodobna z nich wycisnąć — a mówiąc, coraz w okno spoglądał, czy oczekiwany komornik nie nadjeżdża.

— Musiała go coś bardzo ważnego zaskoczyć— rzekł pan Karol — coś niesłychanie ważnego, kiedy nie przyjeżdża...

— Widocznie nie miał zamiaru—wtrąciłem.

— Ale, co pan dobrodziej powiada? Ja mogę nie mieć zamiaru, ale taki jegomość zawsze ma zamiar. Przecież z tego się utrzymuje. Żeby go lichy! zrobił mi taki zawód.

— Mała rzecz—odezwał się pan Marcin —możemy nie grać. Pogawędzimy jeszcze trochę i powrócimy do domu.

— O, za pozwoleniem! Za kogo mnie pan masz? Bez pułki i bez kolacyi nie puszczę was, za nic w świecie nie puszczę! Nie nadjechał komornik, mniejsza o to, zagramy z dziadkiem.

Sam rozłożył stół, przyniósł karty i kredki. Zaczęliśmy grać.

Wiesz, że jako stały członek i codzienny prawie gość resursy, znam się trochę na grze; pochlebiam sobie nawet, że gram dobrze, tym razem jednak wyjątkowo, pomimo że mi karta szła nieźle, robiłem fatalne omyłki i przegrywałem ciągle.

Gospodarza wprawiało to w złoty humor.

— No — mówił, — jeżeli wszyscy w Warszawie tak grywają, to nie chcę znać żadnych banków, ani kapitalistów. Sprzedaję folwark, spłacam długi, a z resztką, jaka mi pozostanie, wynoszę się do Warszawy, specjalnie po to, żeby w wista grywać. W przeciągu lat trzech zrobię majątek.



Nie przeczyłem, nie rozumiałem nawet dokładnie, co gadatliwy, gospodarz opowiadał, a myśl moja była wcale nic przy kartach. Zadawałem sobie pytanie, po co my przyjechaliśmy do tego nieszczęsnego bankruta, który zmartwienia swoje i troski usiłuje zasłonić maską sztucznej, udanej wesołości? Czy nie lepiej było pozostać w Białce i przepędzić te kilka godzin w towarzystwie pani... panny Krystyny raczej? Ciagle ta panna Krystyna! Jestem widocznie zdenerwowany jeszcze i rozstrojony po podróży, a może i chory, skoro zaczynam marzyć na jawie, bo dotychczas nic podobnego nie doświadczałem. Widocznie śnię, bo oto popełniam znowu błąd kapitalny. Gospodarz wybuchł śmiechem, a pan Marcin przygląda mi się uważnie i pyta: — Co ci jest, kochany panie Janie? Zapewniam go, że nic mi nic jest. Mam tylko ból głowy i czuję jakby znużenie. Nareszcie gra się kończy, na moje szczęście. Sądzę że pojedziemy, ale gdzie tam! czeka nas jeszcze kolacja. Siadamy do stołu we trzech tylko: pan Marcin, gospodarz i ja. Pani nie pokazuje się, a pan Karol daje nam do zrozumienia, że z kobietami tak zawsze, lubią się stroić i potrzebują na to bardzo wiele czasu... Gospodarz bawi nas jak może, pan Marcin podtrzymuje rozmowę, ja nie odzywam się prawie. Już dobrze po dziesiątej odjeżdżamy, wyści

skani i wycelowani przez pana Karola na pożegnanie.

Marcin smagnął biczem i żółta bryczuszka zginęła w oceanie ciemności.

— Uważam, panie Janie, że niebardzo zadowolony jesteś z wizyty.

Pospieszam zapewnić, że jest wprost przeciwnie, chociaż nie taję, że wolałbym przepędzić te kilka godzin w Białce.

— Zawiozłem cię naprzód do pana Karola, bo ciekawy to okaz w swoim rodzaju: śmieje się ustami, a w duchu cierpi więcej, niżbyś sobie mógł

wyobrazić. Niegdyś zamożny gospodarz — dziś zagrożony ruiną. Od wielu lat nieborak szarpie się, walezy z losem, wymyka się z rąk wierzycieli, wywija, wyślizguje jak piskorz. Inny na jego miejscu od świętej pamięci byłby z folwarku wyleciał, ten trzyma się przecież i siedzi — i kto wie, czy przy sprzyjających okolicznościach nie wypłynie jeszcze, jak to mówią, na czystą wodę. W domu też nie ma szczęścia.

— Dlaczego?

— Zona...

— Ach, ubiera się długo — rzekłem, śmiejąc się.

— Przed obcymi zwykle pan Karol tak mówi, ale my sąsiedzi wiemy, jak jest w istocie. Biedna kobieta!

— Cóż jej jest?

— Jakby melancholia... Kręci się kolo gospodarstwa, pracuje, ale nie mówi nic, a na obcych ludzi patrzeć nie może.

— Cóż za powód?

— martwienia, kochany panie, zmartwienia. Utracili kilkoro dzieci; pani była zawsze bardzo uczuciowa, nerwowa, chorowita i wpadła nieboraczka w cichy obłęd. Zdaje się jej, że każdy obcy człowiek, to doktor. Otoż ma ów pan Karol dość zmartwień, ale ukrywa je w sobie, ludziom o nich nie mówi, owszem, sili się na dobry humor, na koncepta. Kto tego nie wie, bierze go za letkiewicza, kto wie, ma dla niego współczucie...

Przez całą drogę opowiadał mi pan Marcin o swoim sąsiedzie i jego nieszczęściach, a ja słuchałem, nic odzywając się wiele.

Wreszcie stanęliśmy przed domem.

Ucieszyłem się niezmiernie, ujrzawszy światło w oknach.

— Panie jeszcze nie śpią — rzekłem do pana Marcina.

— Dziś posyłały na pocztę. Widocznie nadeszła spora paczka pism i czytają. Chodźmy do nich.

Weszliśmy do pokoju. Pani Marcinowa siedziała przy stole z robótką w ręku.

Panna Krystyna tylko co przerwała czytanie. Joasia rzuciła się ojcu na szyję.

— Czekaliśmy na ojczulka — szczebiotała, śmiejąc się—i co prawda, nie spodziewaliśmy się, że panowie tak prędko powrócą.

— Tak się jakoś dobrze złożyło, że nas pan Karol wypuścił.

— To dziwne. On gościom każe kola z bryczek zdejmować... Ale, ale, od Stasia mamy wiadomość.

— Cóż?

— Stawi się jutro raniuteczko. Onby się też nie stawił!

— Czy wolno zapytać—rzekłem—kto jest pan Stanisław?

— Pan Stanisław...—odpowiedziała pan Stanisław, to jest właśnie Staś!

— Tylko tyle?

— O! to bardzo wiele nawet, zwłaszcza jeżeli dodam, że jest to nasz daleki kuzynek i dzielny, pracowity, a przytem śliczny chłopiec. Prawda, Krysiu?

— Może pan zechce przejrzeć gazety—odezwała się panna Krystyna;—są najświeższe wiadomości z Warszawy, a jeżeli pan lubi poezję, prześliczny wiersz Asnyka...

— Niech pan poprosi Krysi, to przeczyta głośno—odezwała się figlarna jej siostrzyczka.

Ma się rozumieć, że poprosiłem. Po pewnem wahaniu się panna Krystyna czytać zaczęła. Dziwnie pięknym wydał mi się jej głos melodyjny i dźwięczny. Twarz jej, zazwyczaj blada, pokryła się delikatnym rumieńcem, a oczy... ach! te oczy...

Widzę je przed sobą i teraz jeszcze, gdy jestem sam, z myślami smutnemi tylko, gdy zastanawiam się, dlaczego w całym mojem usposobieniu zaszła taka zmiana. Gdzieżeś się podziała, dawna

moja swobodo; gdzie to życie niezainaczone żadną troską, wesołe, spokojne.'...

Najdroższy mój przyjacielu, nie śmieję się... chociaż może ja sam z uśmiechem przyjmowałbym podobne zwierzenia... Jestem w tym wieku, w którym, jak twierdzą ludzie, serce staje się głuchem na głos miłości. Jedno z dwojga: albo ludzie się niały, albo też ja posiadam jakieś wyjątkowe serce, dość, że stryjenka może tryumfować, gdyż pomimo, że mi się to niemożliwym wydawało — ja kocham.

Tyle przecież kobiet w życiu swoim widziałem, tyle pięknych, i przechodziłem obok nich obojętnie, żadna nie sprawiała na mnie głębszego wrażenia; trzebaż było dopiero spotkać ten kwiatek polny, tę dziką różyczkę, wyrosłą zdala od świata, w ustroniu, wśród pól i lasów... „Kismet,” jak powiada Turek, fatalność... nikt nie uniknie swego przeznaczenia! Widać to prawda, kiedy ja mogłem się zakochać jak młodzik, zakochać, zaszaleć, rozmarzyć, poświęcić temu uczuciu wszystkie myśli, całą siłę duszy.

Śmieję się, czy nie, ale powiem ci, że świat cały wydaje mi się wielką pustynią, na której jest tylko jedna oaza, pełna woni i kwiatów — Białka... Tam tylko świeci słońce, tam wody szemrzą, las szumi, zresztą wszędzie pusto, ciemno, głucho.

Stryjenka dowodzi, że próżno się bronić uczuciom, że miłość prędzej czy później upomni się o swoje prawa i dochodzić ich będzie z większą jeszcze zawziętością i energią, niż wierzyciele biednego pana Karola.

Mógłbym dużo, dużo o tem napisać, lecz nie chce. przerywać toku opowiadania.

Tanna Krystyna dtugo jeszcze czytała, a ja słuchałem w zamyśleniu, zapatrzony w nią, jak w obraz. Joasia musiała spostrzedz mój zachwyty, bo uśmiechała się znacząco i, jak sądziłem, złośliwie.

Me spałem prawie tej nocy, a nazajutrz obudzono mnie bardzo rano.

Byłem jeszcze niewywczasowany po podróży i prawie jak rozbity, lecz zebrałem wszystkie siły i wstałem. Postanowiłem mężnie przenieść wszystkie trudy i niewygody, odbyć owo polowanie, które nic uśmiechało mi się wcale, i nie pokazywać po sobie znużenia.

Zdawało mi się, że wyśmiany będę jako zniewieściał, rozpieszczony i do wygod przywykły mieszczuch; lękałem się, żeby mi nie policzono znużenia na karb wieku.

Nie, nie, przemogę się, pokażę im, że młody, zdrowy, silny jak Samson!

Podobno każdy zakochany wyobraża sobie, że ma siłę Samsona, i pragnie oddać z rozkoszą swoją lwia grzywę pod nożyce ubóstwianej Dalili.

Co do mojej lwiej grzywy... ach, lepiej nie poruszać tej kwestyi! Na wierzchu głowy niebardzo już ona imponuje; za to staram się ją nastroszyć z boków...

Ubrany już do polowania, wychodzę naganek.

Pan Karol harcuje na dziedzińcu na swoim Abdelkaderze, pan Marcin dosiada deresza, dla mnie przyprowadził Maciej kasztana, który kręci się niespokojnie i nie chce stać na miejscu.

— Niech go jeno wielmożny pan dobrze w garści trzyma—informuje Maciej półgłosem,—bo twardy jest kaducznie, a czasem lubi się potknąć...

Co mi do tego! Niech będzie twardy jak krzemień, niech się potyka, przewraca, wierzga, szaleje, to mi wszystko jedno... Na Lucypera samego wsiądę, tem bardziej, że zdaje mi się, iż przez okno, z poza firanek i kwiatów dostrzegam oczko błyszczące.

Opanowałem kasztana i spojrzałem śmiało ku oknu.

Niestety, oczko było niebieskie...

Gdyśmy już siedzieli na koniach, a pan Marcin wydawał karbowemu jeszcze jakieś dyspozycje, rozległ się tętent i na dziedziniec wpadł nieznany jeździec.

— Staś, kochany Staś! — zawołał donośnym głosem pan Karol. — Jak się masz, wzorze punktualności!

Zdawało mi się, że firanka poruszyła się w oknie, i że dostrzegłem oczy czarne... A przecież!...

Ściągnąłem cugle. Kasztan wspiął się i dał kilka nieszczęśliwych szczupaków, tak że o mało z siodła nie wyleciał.

— Niechże pan dobrodziej przez okno do pokoju nie wskoczy—zauważy! pan Karol.

— Wskoczyłbym tam chętnie — pomyślałem w duchu — i wolał przepędzić dzień z paniami, aniżeli uganiać się po polach za głupim zającem.

Pan Marcin zaznajomił mnie ze Stasiem.

— Kuzyn nasz daleki — rzeki; — gospodaruje w sąsiedztwie, dzierżawką trzyma.

Podaliśmy sobie ręce, przyczem kasztan miał wielką chęć wierzgnąć karego, na którym siedział ów Staś.

Szkoda wielka, że tego nic zrobił.

Spojrzałem na swego nowego znajomego. Był to młody, bardzo przystojny człowiek, chłopiec raczej. Blond włosy wymykały się z pod jego czapki, twarz miał rumianą, świeżą, którą gotówbym nazwać dziecinną, gdyby nie płowy wąsik i bródka. W oczach przebijał wyraz stanowczości i energii.

Ruszyliśmy. Temu utrapionemu Stasiowi musiało się przy siodle coś popsuć, bo zsiadł z konia i coś koło strzemion poprawiał. Gotów jestem przypuszczać, że mu to dużo czasu zabrało, bo już odjechaliśmy spory kawałek drogi, gdy nas dogonił.

— O maruder! — odezwał się pan Karol; — no, nie dziwo, kto ma takie śliczne kuzyneczki...

— Widziałeś się z paniami? — zapytał pan Marcin.

— Tak, wstąpiłem, żeby powiedzieć „dzień dobry.

Mówił to tak spokojnie, jakby o przeszłorocznym deszczu. Wstąpiłem!

Cóż on tu ma za przywileje szczególne? pomyślałem. Kuzyn, prawda i to.

Nie wiem, dlaczego uczułem w tej chwili nienawiść do wszystkich kuzynów na świecie, a specjalnie do tego, który obok mnie jechał.

— Proszę cię, Stasiu—mówił pan Karol, wpadając w swój sztuczny humor, a myśląc zapewne o niedoli swej i kłopotach — proszę cię, Stasiu, tak to bywa na świecie. Nie jednakowo los ludzi obdziela. Ty na przykład masz piękne kuzynki, a ja znów mam kuzynów. Ty tylko dwie, a ja! żebyś mnie zabił, nio policzę, tak dużo ich jest.

Jakto?

— A tak. Pełne miasteczko, aż się roi. Co żyd, to krewny. Jeden w mniejszym, drugi w większym stopniu, ale krewny.

— Przesada!

— Ani trochę: na wołowej skórze nie spisałbym tych wszystkich koligacyj. Tyle tego, tyle tego!

— Zapomnij o nich, sąsiedzie—odezwał się pan Marcin.

— Jabym to może i zrobił, ale oni sami się przypominają. Zresztą, albowiem mi z tem źle? Do takich interesów można się przyzwyczaić, jak do cygara lub fajki.

— Ładna mi fajka... piękne cygaro.

— No, juści że nie hawańskie, to prawda, ale kubek w kubek cygaro. Z początku nie robi przyjemności, owszem, sprawia nawet przykrość, później przyzwyczajają się człowiek, a potem już się obejść nie może. Zaciąga się i rano, i przed południem, i po południu i w wieczór. W nałóg to wchodzi. Jabym się już nie potrafił obejść bez swoich cygar, a raczej

bez swoich żydów i żydków. Ale, kochany panie Marcinie, zdaje mi się, że mogli

byśmy na tej podorywce spróbować, na pewno tu znajdziemy...

— Właśnie to samo myślałem — odrzekł pan Marcin, wstrzymując konia. Stanęliśmy.

Rola była świeżo zorana, miękka. Ustawiliśmy się jakby w jednej linii, jeden w odległości kilkunastu sążni od drugiego. Na prawym skrzydle jechał pan Marcin, dalej pan Karol, Staś, któremu życzyłem w duchu, żeby kark skręcił, ja, wreszcie Maciej na wielkiej białej szkapie, trzymający dwa charty na smyczy.

Jechaliśmy powoli; koniom w miękkim gruncie zapadały kopyta.

Maciej od czasu do czasu strzelał z długiego harapnika.

Nareszcie tuż przed koniem pana Karola wyrwa! się nieszczęsny zając.

Podskoczył, uszy po sobie położył i zaczął szalonym pedem umykać. Xa co mu się to zdało?

Maciej spuścił psy ze smyczy, rozpoczęła się gonitwa. Staś, na którego ciągle miałem oczy zwrócone, pochylił się trochę na siodle i puści! konia w cwał, z takim samym spokojem, z jakim przed chwilą mówił, że widział panie. On zawsze był taki.

Maciej uderzy! swoją białą szkapę i popędził za psami; ja miałem zamiar obserwować to widowisko z daleka. I byłbym to niezawodnie uczynił, lecz kasztan widocznie miał inny pogląd na tę iprawę i zanim się zdołałem spostrzedz, kopnął się za tamtymi i w szalonych podskokach prześcignął białą



szkapę .Macieja i był tuż za karym wierzchowcem Stasia.

— W garści, panie, w garści!—załatywał mnie gruby głos Macieja.

Zapewne miało to znaczyć, żebym trzymał konia w cuglach. Zbyteczna informacye. Nie garścią, jak mówił Maciej, ale zębami nawet radbym się był trzymać kasztana, który robił skoki tak gwałtowne i nierówne, że potrzebowiałem całego wysiłku, ażeby utrzymać się na siodle.

Trzymałem się też rozpaczliwie, bo pomijając już niebezpieczeństwo, za nic na świecie nie chciałyby spaść, dlatego choćby, żeby nie stracić na porównaniu z tym spokojnym Stasiem, który, pędząc na złamanie karku, najswobodniej palił papierosa.

Jeżeli mam być szczery, to przyznam się, że nie wiedziałem, co się dzieje z zającem, gdzie są charty. Miałem tylko przed oczami karego konia i Stasia, a za sobą słyszałem chrapanie szkapę Macieja.

Nareszcie kasztan zatrzymał się jak wryty, nagle, tak, że o mało przez kark nie spadłem mu przed nogi.

Zanim poiniarkowałem się trochę, już Maciej przywiązywał troczkami do swego siodła zająca, a Staś, puściwszy karemu cugle na szyję, zapala! nowego papierosa.

Za chwilę nadjechali pan Marcin i pan Karol.

— Brawo! brawo warszawiak! — zawołał pan Karol—na honor lepiej się panu wiedzie na polowaniu, niż przy kartach. Brawo, brawo!

Byłem tak sforsowany, że ledwie mogłem oddychać, pot kroplisty wystąpił mi na czoło. Gdybym się nie wstydził, byłbym się położył na niiek kiej roli, obok chartów, gdyż chyba nie mniej od nich byłem zmęczony.

Ręce mi drżały, a w całym ciele doznawałem uczucia dziwnego — jakiegoś rozłamania, jeżeli się tak można wyrazić.

Nie dziw się, że przyszło mi w tej chwili na myśl moje ciche, wygodne mieszkanie w Warszawie. Przypomniałem sobie że tam, w gabinecie, stoi ulubiona moja otomanka... Czemuż jej tu niema?

Myśli te wszelako pierzchły zaraz, gdym spojrział na Stasia.

— Nie—rzekłem w duchu—nie będziesz tryumfował nade mną! Żebyś miał przez siedem dni z rzędu gonić zające po polach, dotrzymam ci placu— co będzie, to będzie!

Polowanie nie trwało wprawdzie siedmiu dni, ale blisko sześć godzin. Z pierwszego pola wjechaliśmy na drugie, z drugiego na trzecie i znów na inne — trzy biedne zające były rezultatem tych łowów.

Kasztan, zmęczony już dobrze, stracił na fantazyi i szedł spokojnie, tak że nie potrzebowałem forsować ręki, aby, stosownie do instrukcyi Macieja, trzymać go w garści.

Głód mi zaczął dokuczać, a przypuszczam, że i towarzyszom moim również. Pan Marcin odezwał się, że czas wracać na obiad.

— Musimy jednak pośpieszać — dodał — gdyż zapędziliśmy się dość daleko od domu.

— Godzinka jazdy wyciągniętym klusem — bąkną! Staś.

Mila perspektywa!

— Czekajcie no, panowie — odezwa! się pan Karol—poczekajcie.

Zobaczycie, jaki ze mnie gospodarz.

Mówiąc to, zaczął odpinać jakieś rzemyki u siodła.

Dopiero teraz spostrzegłem, że sławny Abdelkader, nawiasem powiedziawszy, wielkie i stare konisko, dźwigał na sobie siodło oficerskie dawnego kroju, z ogromnemi ol.strami i mnóstwem kieszonek na czapraku.

— Myślicie może—mówił dalej pan Karol—że w olstrach powinny być pistolety? Ciekawym po co? Są w nich lepsze rzeczy... olo (łaszka podróżna, płaska, ale dosyć pakowna. Panie Marcinie, w twoje ręce! Na chłodku jesiennym nie zawadzi. Pij do warszawiaka.

Przyłgnałem ustami do flaszki. Zwyczajna prosta wódka, na którąbym w innych okolicznościach patrzeć nie chciał, wydała mi się jakimś cudownym, ożywiającym balsamem.

— Ależ spust!—zawoła! pan Karol—jeżeli wy wszyscy w mieście tak pijecie, to wieszczę! Zostawże, dobrodzieju, trochę i dla Stasia. Macie panowie chleb i suchą myśliwską kiełbasę, owiniętą w ostatni pozew, jaki otrzymałem. O Mošku! najdroższy mój wierzycielu, gdybyś wiedział, co się z twym dokumentem dzieje: strefiony został, strefiony! Idź, idź, szacowny tworze procedury cywilnej—

mówił, rzucając w powietrze ów pozew—idź na woję wiatrów, na igraszkę zefirków!

Śmieliśmy się z tej patetycznej przemowy, którą biedny szlachcic z wysokości grzbietu Abdelkadra wygłosił, i byliśmy bardzo radzi z zaimprovizowanego śniadania.

Maciej także się przy nas pożywił, przytroczył mocniej zająca do swej kulbaki, wziął psy na smycz i ruszyliśmy ku Białce.

Jechaliśmy już nic polami, lecz drogą względnie dość równą. Ja ze Stasiem naprzód, starsi panowie za nami, a na końcu Maciej.

Kiedy koń Stasia biegi równym, wyciągniętym kłusem, kasztan, żeby się nie dać wyprzedzić, coraz zarywał galopem.

W trakcie tej jazdy, niezmiernie męczącej, gawędziliśmy.

Pan Stanisław opowiedział mi, że niedaleko Białki trzyma niewielki folwark w dzierżawie i że dopiero przed rokiem powrócił z Niemiec, gdzie po ukończeniu nauk odbywał praktykę gospodarską; że tu u nas trudno jest gospodarować po niemiecku, lecz trzeba się stosować do warunków i łątać biedę jak można.

Wogóle z rozmowy wywnioskowałem, że towarzysz mój jest to skromny, ale energiczny i pracowity chłopiec.

— Nie przykrzy się panu na wsi samemu? — zapytałem.

— Jak to mam rozumieć?

— Samemu jednemu w domu Z kimże pan przepędza czas, powróciwszy z poła, czy też po ukończeniu gospodarskich rachunków?

— Ach, rozumiem. Pan sądzi, że jestem w domu sam jeden?

— Tak.

— Czyż wyobrażasz pan sobie, że w gospodarstwie wiejskiem mężczyzna jeden da sobie rady? Do gospodarstwa, jeżeli ma ono iść jako tako, potrzebny jest koniecznie nie tylko gospodarz, lecz i go. spodyni.

— A...

— Ja mam matkę, panie. Ona prowadzi gospodarstwo kobiece, a co się tyczy nudów, dotychczas nie doświadczałem ich jeszcze. Czas schodzi bardzo szybko: dopiero siewy, już sianokos, żniwa i znów orka, znów siewy, ciągle jedno w kółko, ale to kółko obraca się bardzo szybko.

— Często pan bywa w Białce? — zapytałem, chcąc wyciągnąć go na rozmowę, z której mógłbym się dowiedzieć, jaki stosunek łączy go z domem pana Marcina.

— Czasem—odpowiedział lakonicznie.

— Pan Marcin to kuzyn pana... blizki?

— Dość daleki; czy pana nie męczy jazda?

— Cokolwiek, ale to nic. Obejrzał się.

— Nasi towarzysze daleko za nami — rzekł — wyprzedliśmy ich.

— Może więc zaczekamy—rzekłem, wstrzymując konia.

— Niech pan zaczeka...

— A pan?

— Ja pośpieszę uprzedzić panie, że...

O nie, kochaneczku, pomyślałem, i rzekłem:

— Z przyjemnością dotrzymam panu towarzystwa.

Zrobił minę, z której mógłbym wnioskować, że moja gotowość nie bardzo przypada mu do smaku, ale odezwał się najuprzejmiej:

— Owszem, jedźmy więc.

Pochylił się trochę na siodle, puścił koniowi cugle i równym, wyciągniętym galopem pomknął jak strzała.

Kasztan był ambitny i nie dawał się wyprzedzać, rwał więc z kopyta w szalonych podskokach.

Jak mi było dobrze na siodle, opowiedzieć nie umiem: każdy skok konia odzywał mi się w głowie i w uszach, ale podtrzymywała mnie myśl, że meta bliska, Białka tuż, tuż, dworek pana Marcina i... czarne oczy...

Władziu! Władziu! Jak ci się podobają takie dzieciństwa w moim wieku?

Zauważyłem, że pan Stanisław koniecznie chce mnie wyprzedzić.

O! za pozwoleniem. Od czegoż szpicruta? Kasztan odpowiedział nagłym, gwałtownym skokiem, ale zrównał się z karym i pędził wraz z nim, głowa w głowę.

Jak uragan przelecieliśmy przez wieś, gonieni przez psy; nareszcie wstrzymaliśmy spienione konie przed dworkiem.

W oknie pokazały się oczy niebieskie, śmiejące się figlarnie. Czarnych, niestety, nie dostrzegłem,

Nie zsiadłem, ale stoczyłem się z konia i poszedłem zaraz do swego pokoju, aby się przebrać. Byłem rozłamany, czułem dokuczliwy ból we wszystkich stawach, na nogach utrzymać się nic mogłem.

Przewyciężyłem się jednak. Wyświeżony, ubrany według ostatniej mody, ma się rozumieć, wszedłem do saloniku.

Była w nim tylko panna Joasia. Podała mi rączkę z bardzo życzliwym uśmiechem.

— Dzień dobry—rzekła;— z przyjemnością widzę, że mój kasztan miał dobrego jeźdźca.

— Nie gniewa się pani, że go zmęczył?

— O, nic mu to nie zaszkodzi! Ależ panowie pędzili szalenie. Czy to miały być wyścigi? Jeżeli tak, to się bardzo cieszę.

— Dlaczego?

— Bo pan Stanisław zawsze chwali swego konia że taki szybki, a tymczasem pokazało się, że kasztan nie da mu się wyprzedzić.

— Nie, pani, to nie były wyścigi, tylko pan Stanisław chciał uprzedzić panie, że już wracamy, a ja starałem się dotrzymać mu towarzystwa.

— To bardzo ładnie z pańskiej strony.

— A gdzież się podział pan Stanisław?

— Rozmawia z mamą w stołowym pokoju.

— A panna Krystyna? Figlarka uśmiechnęła się.

— Panna Krystyna — rzekła—jest troche cierpiąca.

— Cóż jest siostrze pani? Zdaje mi się, że ją widziałem dziś zdrową.

— Widział pan Krysią? kiedy?

— Rano, gdy wyjeżdżaliśmy na polowanie. Tanna Krystyna była tu, w tem samym miejscu, gdzie pani stoi w tej chwili.

— Cóż za oczy pan ma, że przez ścianę widzą! Istotnie była tu.

— Stąd też wnoszę, że chyba bardzo chora nie jest...

— Nic wielkiego. Trochę się uskarżała na głowę, ale to bagatelka. Na obiad przyjdzie. Ach, otoż i starsi panowie. Ojczulek z panem Karolem. Jaka ja jestem roztrzępana, zapomniałam zapytać o rezultat polowania, ale bo też panowie wpadli jak uragan.

— Rezultat świetny—odrzekłem.

— Lis?

— Nie, ale aż trzy zające.

— To wcale dobrze, bardzo dobrze.

— Tobie zając i sarna, a mnie soból i panna, towarzyszu mój!—odezwał się w progu pan Karol.— Także to się godzi? Uciec, zostawić nas na drodze! Rączki całuję, panno Joasiu, rączki. Nie dziwię się, że ci panowie pędzili na złamanie karku. Gdybym był wolny, miał mniej o dwadzieścia lat i o jakie pół kopy żydów, pędziłbym tak samo. Pokazałbym wszystkim, co potrafi mój Abdelkader, jak się rozbryka. Nieoceniony folblut i, jeżeli mi komornik nie przeszkodzi, to poślę go na wystawę. Złoty medal napewno!

— Medal medalem, kochany panie Karolu — rzekł gospodarz—ale przedewszystkiem obiad. Jeść się chce straszliwie.

Podano zaraz wazę. Panna Krystyna ukazała się przy stole, śliczna jak marzenie. Dnie czarne jej oczy wydały mi się jeszcze piękniejsze, niż wczoraj. Co za szkoda, że nie jestem poetą! co za szkoda, że nie malarz... opisałbym, odmalował te dwie gwiazdy, do których, ach Władziu, wstyd się przyznać, do których wzdychałem jak student! Siedziałem naprzeciw niej; z jednej strony miałem za sąsiada pana Karola, z drugiej Stasia, który mówił bardzo niewiele.

Po obiedzie Staś pożegnał towarzystwo, tłumacząc się, że ma w domu pilne jakieś zatrudnienie—i odjechał.

Serdecznie i bynajmniej nie obłudnie życzyłem mu w duchu szczęśliwej podróży i nierychłego powrotu, gdyż nic wiem dlaczego, obecność tego chłopca nabawiała mnie niepokoju.

Odzyskałem humor i mężnie walezyłem ze zmęczeniem fizycznym, z bólem kości, roztrzęsionych na polowaniu. Weselość nie opuszczała mnie ani na chwilę; opowiadałem o Warszawie, teatrze, literaturze, sam zresztą nie wiem już o czym, ale to pamiętam, że Joasia śmiała się serdecznie, a panna Krystyna słuchała z wielkim zajęciem.

Niestety, miłą rozmowę przerwał przyjazd proboszcza...

Złożyła się fatalna czwórka, rozstawiono zielony stolik i rad nie rad musiałem opuścić milutkie towarzyszki i oddać się kombinacjom wistowym, których rezultat był mi tak obojętny, jak zeszłoroczny mróz.

Orałem fatalnie. Pan Karol to się złościł na mnie, to wybuchał śmiechem, proboszcz się dąsa! i co chwila robił mi uwagi.

— A dobrodzieju! tak się nie godzi! wychodzić w ten kolor, a pfe! Czy wy tak wszyscy w Warszawie?

Tłumaczyłem się, jak mogłem.

— Karta mi nie idzie...

— Może pod fatalną belką usiadłeś pan dobrodziej—wtrącił pan Karol—bo, proszę cię, bywają takie belki.

— Nie wiem.

.— A może... może masz pan do czego innego szczęście, tak jak ja na przykład mam szczęście do żydów.

— Dajcie mu pokój — odezwał się pan Marcin;—ja się domyślam, co memu kochanemu gościowi jest.

— No?

— Polowanie dzisiejsze go zmęczyło... Człowiek z miasta, nieprzyzwyczajony widać do takich forsownych kursów—prawda?

— Zapewne—odrzekłem,—czuję się trochę sfatygowanym, ale to bagatelka, przejdzie.

— Tem lepiej — rzekł ksiądz — po zmęczeniu oto posiedzieć sobie wygodnie, odpocząć...

— Ma się rozumieć—dodał pan Karol—nic racjonalniejszego. Najlepszy wypoczynek przy kartach. Ciało, panie dobrodzieju, spoczywa, a umysł pracuje. Szelma Berek, żeby wiedział, jak ja dziś wygrywam i jakie mam szczęście, toby mi zaraz proponował jaką spółkę handlową. Znam ja go,



znam dobrze; on powiada, że najlepszy towar na świecie... to własne szczęście.

— Ma słuszość — rzekłem, aby coś powiedzieć.

— Istotnie; oto widzisz pan, ja mam szczęście do zaszarganej hypoteki, do komorników, bajeczne szczęście! Tylko, że go nikt nie chce kupić ode mnie.

Wśród gawędki, przelotnych sprzeczek i gniewów krótkotrwałych, nareszcie gra się skończyła.

Z przyjemnością położyłem karty i zapłaciłem przegraną, w przekonaniu że zobaczę pannę Krystynę.

Niestety, w saloniku było pusto, panienki schowały się, do kolacyi zasiedliśmy sami.

Kiedy znalazłem się sam, w swoim pokoju padłem na łóżko w przekonaniu, że zaraz usnę. Miałem prawo spodziewać się tego po całodziennem fatalnem zmęczeniu. Ruszać się nie mogłem, a jednak sen uciekał od moich powiek...

Zacząłem myśleć. Nie śmieję się, myśli moje nie miały charakteru marzycielskiego... były zupełnie poważne.

Nie zastanawiałem się już nad tem, czy kocham pannę Krystynę, bom uważał to za pewnik, za fakt bezsporny, niezbity. Tak, to nie kaprys przelotny, nie krótkotrwały zachwyty, to uczucie zupełnie poważne.

Z tego punktu wychodząc, pomyślałem co czynić dalej? Rzecz prosta: ożenić się i niech stryjenka tryumfuje. Ożenić się? a czy mogę uszczęśliwić kobietę? czy mogę z ręką na sercu powiedzieć jej:

będę dla ciebie dobrym, wiernym towarzyszem życia—bądź moją!

Zdaje się. Odrzucam podszepty samolubstwa, krytykuję się surowo. Nie jestem młodzik, to prawda, jestem w tak zwanej sile wieku. Co do powierzchowności, nie spostrzegam w sobie nic odrażającego; co do uczucia... doprawdy, nie kochałem jeszcze żadnej kobiety. Majątek mam spory, trzy Białki mógłbym kupić. Pytam się jeszcze sumienia: czy jestem pewny, że uczucia moje się nie zmienia, że będę zawsze jednakowy dla niej? Głos wewnętrzny powiada: tak. Nie jestem przecież wietrznikiem... Tak, tak, niech stryjenka tryumfuje!

Za trzy dni powracam do Warszawy po to, żeby za dwa tygodnie przyjechać znów do Białki i rozpocząć formalne konkury.

Mniejsza o żółtą bryczkę, trzęsącą jak półtora nieszczęścia, mniejsza o kasztana i polowanie z chartami; dla tych ślicznych, czarnych oczów niema poświęcenia, jakiegobym nie zrobił... O moja Krysiu!

Wymówiłem to imię cicho, szeptem prawie, i przeląknęłam się własnego głosu. Zdawało mi się, że ściany słyszą, że drzewa szumiące w ogrodzie powtarzają: moja Krysiu, moja Krysiu...

Co będzie, gdy ukąże się z nią w Warszawie, gdy otworzę dom, mój dom! przyjmować w nim będę każdy mi pozazdrości takiej żony. takiego skarbu...

Każdy bez wyjątku!

Myślę o swoim szczęściu, a czas ubiega. Godzina za godziną, aż do rana. Promienie słoneczne

Już zaglądamy w okienko, a ja jeszcze czuwam. Wreszcie natura upomina się o swoje prawa — zasypiam.

Czuję na swoim ramieniu ciężką dłoń. Otwieram oczy: nad łóżkiem mojem pochylony stoi pan Marcin. Na jego pocziwej twarzy znać troskę, powiedziałbym nawet, że przerażenie.

— Takem się zmartwił—mówi.

— Czem?—zapytuję.

— Sądziłem żeś zasłabł... Kilkakrotnie pukałem do drzwi, nie odzywałeś się wcale; nareszcie, obawiając się nieszczęścia, wszedłem. No, jakżeż się czujesz, kochany panie Janie?

— Zdrowszy jestem.

— Bogu dzięki, a wiesz która godzina?

— Nie mam pojęcia.

— Dwunasta.

— Nie może być!

— Jak cię poważam, spałeś jak kamień.

— Nic dziwnego, nad ranem dopiero zasnąłem.

— A to z jakiego powodu?

— Nie wiem, nie mogłem spać.

— Wstawajże prędzej, bo już obiad niedługo.

Chciałem się zerwać z łóżka... niestety, przekonałem się, że to niepodobieństwo. Ani ręką, ani nogą ruszyć nie mogłem.

— Panie—rzekłem—ja wstać nie mogę.

— Dlaczego?

— Nie wiem... Niby nic mi nic dolega, a wszelkie ruchy mam skrzepowane. Nie jestem w stanie ręką ruszyć.

Pan Marcin rozśmiał się.

— Wiem co to jest—rzeki—to wczorajsze polowanie... ale ja mam na to wyborny środek.

— Och, panie!

— Doskonały. Przedewszystkiem wstań; przeinóż się. i wstań. Orzeźwij się zimną wodą, wypij szklanek herbaty—i zaraz potem pojedziemy w pole. Pośpiesz się, w tej chwili poślę do Macieja, żeby konie kulbaczył.

— Konno?—spytałem zdumiony.

— Tak, tak, nie inaczej. Jedyne środki; przekonasz się o jego skuteczności. No, posłuchaj mojej rady, przemóż się—wołał.

Wszedł.

Podniosłem się z łóżka, orzeźwiłem zimną wodą... Gdym już był ubrany, zjawiał się pan Marcin.

— No, chodźmy—rzekł—konie gotowe. Dwie pieczenie przy jednym ogniu upiekę.

— To jest?

— Ciebie wyleczę i zobaczę, co się dzieje w lesie. Już tam od kilku dni nic bytem, a gajowy nie pokazuje się jakoś. Nie obawiaj się, droga niedaleka, za godzinę będziemy z powrotem.

Pan Marcin dosiadł kasztana, ja z wielką trudnością wwindowałem się na spasego, spokojnego deresza. Ruszyliśmy powoli, stępa.

Szczególna rzecz! Pan Marcin, aczkolwiek zawsze poważny i wzbudzający szacunek, teraz wydawał mi się, jak gdyby jaki patryarcha. Straciłem zupełnie śmiałość wobec niego... Tak; dotychczas był on dla mnie panem Marcinem, uprzejmym gospodarzem, pod którego dachem znajdowałem go

ścinność — od tej chwili wszakże, ten pan Marcin już dla mnie nie pan Marcin, nie; to ojciec Krysi, to człowiek, od którego może niedługo zażądani, aby mi skarb swój najdroższy powierzył.

Miałem szczerą ochotę skorzystać ze sposobności, że jesteśmy we dwóch tylko, sam na sam i powiedzieć mu o swoich zamiarach otwarcie, prosić o pozwolenie starania się o rękę jego córki. Zdawało mi się, że tak będzie lepiej, legalniej. Dlaczego mam się skradać, jak wilk do owczarni? lepiej iść prostą drogą—pewnie.

Ale z drugiej strony, dlaczego zaraz tak obcesowo, przy pierwszej bytności? Nie, nie, stanowczo nie wypada, za nagle; przyjadę znów do Białki za dwa, trzy tygodnie i wtenczas powiem.

Tak postanowiłem—i zamiast mówić o tem, co mi na sercu leżało, wdałem się ze starym szlachcicem w gawędę o sosnach, dębach, o gajowym, o szkodach w lesie i o różnych gospodarskich kłopotach.

Słuchając opowiadania starego szlachcica, zacząłem uczuwać dla niego coraz większą sympatya.

Tyle lat, tyle lat, bo prawie od dziecka, przesiedział w tej wiosce zapadłej, z daleka od świata, wśród trosk różnych, kłopotów, niepowodzeń — a przecież nie czuje się ani zmęczonym, ani nieszczęśliwym. Na los się nie uskarża, przeciwnie, byłby najnieszczęśliwszym, gdyby mu gdzieindziej, na przykład na miejskim bruku, żyć kazano.

Stworzył sobie gniazdko rodzinne, takie sympatyczne, miłe, ciche; ma swój maleńki światek, w którym mu dobrze.

Dlaczego ja nic mógłbym mieć takiego samego światka? Niech mi dadzą Krysie, a zastosuję się we wszystkim do jej woli. Nie podoba się jej miejskie życie—dobrze, kupię folwark w bliskości Białki. Zmienię z gruntu swoje przyzwyczajenia, wyrzeknę się komfortu i dotychczasowych upodobań. Przerobię się całkiem. Będę się trząsał na żółtych bryczkach, rozbijał na znarowionych koniach, będę wstawał skoro świt, będę się kłócił z chłopami, ujadał z żydami, marzył o pogodzie podczas deszczu, błagał nieba o deszcz podczas pogody. Będę gonił zające po polach, a sam, jak zając, zmykał przed wierzycielami. Wszystko, wszystko dla niej uczynię!

Chciałem powiedzieć to panu Marcinowi, wyznać mu swoje myśli i postanowienia—ale nie! Lepiej niech mnie w tem wyreyczy pani stryjenka. Niech swata; będzie w swoim żywiole.

Przejażdżka rzeczywiście mi pomogła. Powróciliśmy z panem Marcinem do domu i przepędziłem najmiłszy, najpiękniejszy dzionek w swoim życiu.

Nie wyjeżdżaliśmy nigdzie, nie było gości, mogłem więc rozmawiać z panienkami, słuchać wesołego szczebiotu Joasi, patrzeć w śliczne oczy panny Krystyny.

Jeszcze trzy dni zabawiłem na wsi, trzy dni tylko... przeszedłem przez jedno polowanie z gończymi i przez dwie wizyty w sąsiedztwie. Nie będę

ci opowiadał szczegółów, bo z dziejami mojem! nie mają one bezpośredniego związku, a po drugie,

pragnę już skończyć ten pamiętnik, czy księgę zwierzeń... jak wolisz. Pożegnano mnie serdecznie, zapraszano, żebym niedługo przyjechał; pan Marcin żądał, abym mu to przyrzekł solennie.

Czy mam mówić, że dałem słowo z najgłębszym przekonaniem, że chyba śmierć jedna nie pozwoli mi go dotrzymać?

Odjeżdżając, uścisnąłem serdecznie drobną rączkę panny Krystyny i powiedziałem, że niedługo dam czekać na siebie.

Joasia spojrzała na mnie, lecz nie z uśmiechem, jak zwykle — przeciwnie, zdawało mi się, że w jej oczach dostrzegłem wyraz smutku, czy może współczucia... Nie wiem.

Wsiadłem na wielki wóz drabiniasty; Maciej cmoknął na deresze.

Jechaliśmy szybko. Białka została za mną daleko. Znów zobaczyłem brudne miasteczko, gadatliwą panią Mońskową, potem małą stacyjkę w lesie. Pociąg zaraz nadszedł, wskoczyłem do wagonu...

Skończona sielanka.

VI.

Stryjenka, gdym przyszedł do niej, zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głowy.

— Już?—rzekła, marszcząc trochę brwi.

— Tak, stryjenko, już, ale to tylko dlatego, żeby za parę tygodni było „jeszcze,” potem znów jeszcze i tak do nieskończoności.

— Naprawdę?—zapytała.

— Najzupełniej seryo.

— W takim razie witam cię, kochany kuzynku, serdecznie!

Ucałowałem jej rękę.

— Opowiadaj teraz—rzekła—wszystko po kolei, od początku, jak było...

Jakże ci się podobała Białka?

— Panna Krystyna...

— fa się o Białkę pytam.

— Prześliczna, zwłaszcza oczy... Jak żyję nie widziałem takich oczu.

— Ech! zdaje ci się tylko, coś osobliwego? oczy jak oczy.

— Stryjenko, nie godzi się doprawdy!...

— Nie godzi! dobry sobie jesteś. Ja przecież znam Krysę doskonale: bardzo dobra i miła dziewczeczka, ale przecież nie żaden fenomen.

— Jak dla kogo.

— Ach, więc dla ciebie... Wiesz co, doprawdy, śmiać mi się chce!

— Z czego?

— Z twoich przechwałek.

— Alboż chwaliłem się kiedy?

— Przypomnij sobie naszą rozmowę przed wyjazdem twoim do Białki; może już zapomniałeś? jeżeli tak, gotowa jestem powtórzyć ją.

— Pamiętam aż do najdrobniejszych szczegółów.

— Żartowałeś sobie z niebezpieczeństwa; mówiłeś ie nie spotkałeś jeszcze na tym padole płaczu kobiety, któraby mogła zburzyć twój olimpijski spokój.

— Prawdę szczerą mówiłem.

— Ha! ha! a przecież! Gdzieżeś to nie bywał, kochany kuzynku!

Zwiedziłeś prawie całą Europę, znasz wszystkie wielkie miasta, wszystkie stolice, nie mówiąc już o Warszawie, w której jesteś jak w domu.

Spotykałeś tyle pięknych, tyle czarujących istot—i nic! Żadna nie stała się dla ciebie niebezpieczną.

— I to prawda — odrzekłem z westchnieniem.

— Przechodziłeś obojętnie obok najpiękniejszych, najwspanialszych kwiatów, aż nareszcie ujrzałeś dziką różyczkę w ustroniu...

— Tak jest, stryjenko, po co się mam zapierać? Tryumf stryjenki jest zupełny. Straciłem spokój, straciłem dawną swoją swobodę... Powróciłem do domu, ale myśli moje, cała moja dusza zostały tam daleko... przy niej...

— Widzę, że albo bardzo dobrze grasz przede mną komedycę, albo też jesteś naprawdę zakochany.

— Nie ośmieliłbym się żartować ze stryjenki; jestem zakochany jak student.

— I cóż myślisz dalej?

— Myślę złożyć swoje losy w ręce stryjenki.

— Co?

— Niech stryjenka wyświadczy mi tę łaskę i zechce pojechać do Białki, pomóż mi, pomówić z rodzicami panny Krystyny... Niech mi pozwolą

bywać i starać się... Na teraz nie żądam nic więcej.

— Ależ mój drogi, to moje marzenie! Będę szczęśliwa, gdy cię ujrzę już jako człowieka żonatego, ojca rodziny. Czas, czas wielki zerwać z brzydkim kawalerskim życiem. Weźmiesz panienkę śliczną, z zacnej rodziny, wychowaną w najlepszych zasadach. Ona ci życie opromieni, ozłoci. Doskonały wybór, doskonały! Czy zostaniesz u mnie na obiedzie? Zostań!

Chciałem się wymówić, ale nie dała mi przyjść do słowa.

— W tej chwili nakryją. Będziemy gawędzili. Wiesz co, że zupełnie inaczej teraz wyglądasz!

— Naturalnie. Dopiero powziąłeś zamiar ożenienia się, a już się spoważniał. Lepiej ci z oczu patrzy. Wierz mi.



- Czy poprzednio źle mi patrzyło z oczu?
- O, niezawodnie! Miałeś w sobie coś, coś takiego, czego nie znoszę; zaczynałeś wyglądać, jak stary kawaler. Były to wprawdzie dopiero początki, ale początki złe.
- Za co stryjenka tak nienawidzi biednych samotników?
- Ach! za cóż miałabym lubić tych egoistów szkaradnych; ale nie mówmy o tem, ty już nie należysz do nich, dzięki dzikiej różyczce.
- Stryjenka ją niezadługo zobaczy, wszak prawda?...

— Jak to mu pilno! Patrzcie go! Szkoda, że nie jestem kawałkiem papieru, bo przylepiłbyś do mnie markę pocztową i wyprawił do Białki pierwszym odchodzącym pociągiem. Nie, mój panie, twoja stryjenka nie ptaszek, żeby mogła wyfrunąć od razu, bez żadnych przygotowań.

— Ależ ja nie nalegam, broń Boże!

— Nic nalegasz, ale zapytujesz, a to na jedno wychodzi. Uspokój się, Krystynka nie ucieknie; ja muszę się przygotować do drogi, jak należy.

— Słusznie, bardzo słusznie.

— Już ja sama wiem, co jest słusznie, a co nie. Ostatecznie poświęcam się dla ciebie i żeby nie wystawiać twej cierpliwości na zbyt ciężką próbę, wyjeżdżam za dwa tygodnie.

— Za dwa!—powtórzyłem z westchnieniem.

— Więc cóż? chcesz, żeby jutro, albo pojutrze? Powiedziałam ci już, że to niepodobieństwo.

— Owszem, ja bardzo dziękuję, bardzo wdzięczny jestem stryjence, że raczyła wziąć do serca moją prośbę.

— Trochę, troszeczkę cierpliwości tylko, wszystko będzie jak najlepiej. Bardzoś dobrze postąpił, że przy pierwszej bytności o swoich zamiarach nic nie mówił. Byłoby to zanadto obcesowo, nagle. Tak zaś, jak uplanowaliśmy, będzie zupełnie inaczej wyglądało. Ja pojedę, pomówię z rodzicami, wybadam pannę, no—i przywiozę ci pozwolenie bywania w Białce w charakterze konkurenta.

- Czy tylko...
- Jakto, miałbyś mieć jakie wątpliwości?

- Nie mam też i pewności bezwzględnej...
- Lękasz się, że ci skarbu nie dadzą? Próżna obawa! Rodzice nie bywają zbyt uparci, gdy się trafia sposobność wydania córki za mąż dobrze... a bądźco bądź, dla panny Krystyny ty jesteś .partya."
- Chciałbym, żeby tak było.
- ?le robi, kto się przecenia, ale nie trzeba znów za mało trzymać o sobie. Jakież masz zamiary nadal?
- Pod jakim względem?
- Pytam, jak się chcesz urządzić? Przypuszczam, że po ślubie pojedziecie na kilka miesięcy w świat, zapewne na południe, do Włoch.
- To zależy.
- Od czego?
- Od woli mojej przyszłej żony, jeżeli kiedy będzie mi wolno ją tak nazwać; gdy ona zechce, to pojedziemy nie tylko do Włoch, ale choćby nawet do Indyj.
- A potem prawdopodobnie zamieszkacie w Warszawie? Urządysz ładny apartament, ja ci w tem dopomogę. Zapewne prowadzić będziecie dom otwarty, będziecie się bawili? Młodej żoneczce to się należy.
- Tak, stryjenko, ale jeżeli młoda żoneczka będzie wolała życie wiejskie, do którego od dzieciństwa jest przyzwyczajona...
- To nic nie znaczy; jak przemieszka w mieście rok, drugi, przyzwyczai się.
- Nie chcę jej w niczem kępować.

— Niepodobna! wiec gdy zechce pędzić życie na wsi, ty się na to zgodzisz? — Bezwarunkowo.

— Ty?

— Zapewniam stryjenczkę, że nie tylko zgodzę się, ale kupię majątek i zacznę uczyć się gospodarować.

— Wiesz, mój drogi, że jestem zachwycona zmianą, jaka w tobie zaszła! Wyglądasz teraz w moich oczach sto razy lepiej, niż dawniej.

— Dziękuję za komplement.

— Nie, to szczerza prawda. Sam przyznasz, że się zmieniłeś bardzo. Stara, stara i doświadczona to prawda. Dopóki nie miałaś zamiaru żenić się, byłeś, jak wszyscy zresztą nieżonaci, skórka na buty, zakochany—jesteś mięciutki jak safian.

— Chce stryjenka powiedzieć, żeś wyborny materyał na pantofelek?

— Owszem, cieszę się, bardzo się cieszę, że mam takiego kuzynka, a na dowód, jaką mi sprawiasz przyjemność, postanawiam...

— Co?

— Być w Białce za tydzień.

Ucałowałem obie rączki stryjenki, zostałem u niej na obiedzie, a potem gawędziliśmy do późnego wieczora.

Opowiedziałem wszystkie szczegóły swego pobytu na wsi, swoją fatygę, podróż, polowania, zmęczenie. Stryjenka była w różowym humorze.

Wyszedłszy od niej, wsiałem w dorożkę i kazałem się zawieźć do resursy. Znajomi powitali mnie tak, jak gdybym z drugiej półkuli powracał.

Opowiedzieli co zaszło podczas mojej niebytności, proponowali mi grę. Słuchałem opowiadania obojętnie, grać nie chciałem.

Ta resursa, bez której jeszcze przed kilkoma tygodniami nie mogłem się być obejść, to towarzystwo, zielone stoliki, kuchnia wykwintna—wszystko wydawało mi się marnem, bezmyślnem, pustem. Nie mogłem wytrzymać długo w tej atmosferze i pojechałem do domu.

Ileż to dni upłynęło od bytności mojej w Białce?

Nie wiem. Niech mi dopomoże kalendarz; tydzień, dwa, trzy, cztery... więcej niż miesiąc, całą trzydzieści sześć dni.

Wówczas jeszcze była jesień, teraz śnieg pada, bieli dachy i ulice.

Brzydki, szkaradny czas!...

Pomimo że dzień jeszcze, kazałem zapalić lampę; na kominku płonie ogień, ale jakież to ogień?! Nie taki wesoły, strzelający jak na wsi, nie; to miejski ogień, bryła skamieniałego węgla tli się za okratowaniem żelaznem, czy stalowem.

Jestem sani.

Nikogo nie przyjmuję, z nikim widzieć się nie chcę. Co mi po tłudziach? Nudzą mnie i dręczą.

Rozmawiałem dziś z lustrem. Wiesz, z tem dużem lustrem, które wisi w moim gabinecie. To prawdziwy przyjaciel. Prawdomówny, szczery i nieobłudny. Wiesz, co mi ono powiedziało? Powiedziało mi, że jestem stary. Stary! stary! a przecież to tylko trzy

dziesięć sześć dni... Lustro nie kłamie, mam na skroniach drobne zmarszczki i sporo siwych włosów, a twarz blada.

Mogę cię zapewnić, że mi to wszystko jedno. Wynajdę sobie zatrudnienie, godne takiego dziada jak ja. Zacznę studyować język arabski, sprowadzę stosy książek i żyć będę wśród nich jak mól.

Doktor śmieje się ze mnie. Oryginał! Zdaje mu się, że zna ludzi i rozprawia dużo o ich nerwach.

Ten doktor... ale zapomniałem! Ty go nie znasz, Władziu: otoż jest to doktor taki sobie, zwyczajny lekarz ludzkich dolegliwości, naprawiacz nadwerężonych płuc i zapalonych mózgow. Bywa u mnie codzień od...

albo ja wiem odkąd? zdaje się, że od miesiąca, od czasu powrotu stryjenki z Białki.

Stryjenka go sprowadziła sama, bo to jej znajomy podobno.

Zacności kobieta! Wyobraziła sobie, że jestem chory, pan doktor to potwierdził, wpakowali mnie do łóżka... leczyli, nie pamiętam już, co ze mną wyrabiali. Doktor mówił o przeziębieniu, gorączce, o nerwach...

Fachowy człowiek! Stryjenka objaśniała go, że się zmartwił, że miałem moralne cierpienia.

Wlewali we mnie lekarstwa—i dziś tryumfują oboje, powiadają, że mam zdrowie.

Co do mnie, sam nie wiem. Nic mnie nie boli, ale też i nic nie zajmuje, nie mam chęci do życia, włóczę się po mieszkaniu z kąta w kąt, czytam, nie rozumiejąc co, patrzę nie widząc, słucham nie

słyszając. Oni powiadają że taki stan, to zdrowie. Niechże będzie zdrowie — ja myślę zaś, że to chyba starość i apatia... zresztą nie wiem — może się mylę.

Dziś by I doktor także. Przychodzi codzień, punktualny jak zegar.

Powiedział, że już jest bardzo dobrze; że o płuca mogę być spokojny (dużo mnie one obchodzą!), że z nerwami jeszcze nie jesteśmy w

porządku, ale i to się polepszy — że wreszcie naostatku zabierzemy się do wypędzania reumatyzmu. Nie wiem, czy znasz tę chorobę? Bardzo przyjemna; dostaje jej człowiek z przeziębienia podobno...

Ale dość już tej karty szpitalnej, zacznijmy inną...

Ciekawy jesteś zapewne, czy pani stryjenka była w Białce?

A jakże, była. Siedziała tam przez trzy dni.

Państwo Marcinowie oboje zdrowi, kazali mi się kłaniać. Panienki również dobrze się mają, wszystko po staremu, jak dawniej, i pan

Stanisław, ten milezący Staś, o którym ci pisałem, bywa jak bywał.

Panna Joasia, zacna, dobra dziewczeczka! Pokazuje się, że jej wesołe oczęta dobrze widzą.

Teraz wiem, co znaczyło jej spojrzenie, które mi na pożegnanie rzuciła, w chwili gdy przysięgałam, że niedługo wrócę.

Wracam do rzeczy.

Dowiedziawszy się, że stryjenka przyjechała, pobiegłem do niej natychmiast. Nie przyjęła mnie. Kazała powiedzieć, że jest zmęczona po podróży,

cierpiąca, że leży — i prosi, żebym ją odwiedzi! nazajutrz.

Przyszedłem o jedenastej z rana.

Przyjęła mnie w salonie; była jakby zawstydzona, nie wiedziała od czego zacząć rozmowę.

Zapytałem, czy nie jest cierpiąca.

— Nie—odrzekła—skądże to wnosisz?

— Uważam że stryjenka jest jakby nieswoja. Sądziłem że może podróż jej zaszkodziła.

— Ach, ta podróż! Rzeczywiście, jeżeli ci mam prawdę powiedzieć, nie zrobiła mi ona wielkiej przyjemności.

— Rozumiem — odrzekłem — i doprawdy nie mam dość słów na podziękowanie stryjence, że podjęła dla mnie tyle trudów... Ja wiem, co to jest. Jeszcze koleją pół biedy, ale owe bryczuszki wiejskie, dróżki i grobelki mogą się dać we znaki.

— Przeciwnie, podróż odbyłam bardzo wygodnie; droga była dobra, przysłano po mnie powóz— nie doznałam więc wcale zmęczenia.

— W takim razie nie rozumiem...

— Bądź cierpliwy. Muszę ci opowiedzieć po kolei wszystko, jak było.

Przyjechałam do Białki, przyjęto mnie naturalnie po swojemu, całym sercem, z otwartymi rękami; pan Marcin, jego żona, panienki... wszyscy słowem prześcigali się w grzeczności; serdeczny dom, stare gniazdo, niema co mówić. Panna Krystyna...

— Prawda, stryjenko, jaka ona piękna! Stryjenka wzruszyła ramionami.

— To — rzekła—rzecz gustu. Nie to piękne, co piękne, lecz to, co się komu podoba. Wiadomo

o tem od początku świata. Mnie panna Krystyna nie zachwyca.

— Dlaczego?

— Jest za mało ożywiona, a przytem zamknięta w sobie i skryta, o ile mi się zdaje. Nie rozumiem, dlaczego na tobie wywarła takie wrażenie. Siostrzyczka jej młodsza to zupełnie co innego, to prawdziwy kwiateczek polny.

— Zapewne—rzekłem przerywając—ale...

— Domyślam się, ciekawy jesteś rezultatu mojej misji. Zaraz. Otoż panna Krystyna odzywała się o tobie bardzo dobrze, nawet z pewną sympatya, wszakże przeczucie mi jakieś mówiło, że twoje papiery nie stoją dobrze. Wzięłam ją zrećcznie na egzamin, chciałam wybadać, ale to nie łatwo. Wywijiała się bardzo zgrabnie ogólnikami, dość że nie mogłam wybadać, co myśli. Dałam więc za wygraną i postanowiłam wprost porozumieć się z rodzicami.

Nic przerywałem tej relacji ani jednym słowem, a chociaż nie trudno było się domyśleć, że nic dobrego dla mnie stryjenka nie przywiozła, słuchałem dalej w niepewności i trwodze. Zdaje mi się, że gdybym był graczem i postawił na kartę całe mienie, to nie oczekiwałbym wyroku fortuny z takim niepokojem, z jakim słuchałem opowiadania stryjenki.

— Prosiłam państwa Marcinów o chwilę rozmowy na osobności; wyprawiono panienki z pokoju pod jakimś pozorem, zostaliśmy tylko we troje. Było to już późno wieczorem, prawie przed samem udaniem się na spoczynek. Zaczęłam od tego

naturalnie, że zwierzyłeś się przede mną, jakie na tobie Krysia zrobiła wrażenie, że pragniesz starać się o nią i że wydelegowałeś mnie naprzód z prośbą o pozwolenie rodziców. Nie przeczę, że im się to bardzo podobało; podobało się zaś jeszcze więcej, gdy im zaczęłam opowiadać o twojem położeniu majątkowym i o osobistych przymiotach. Mogę Cię zapewnić, że miałeś we mnie bardzo wymownego adwokata.

— O, stryjenko!

— Tak, tak; dla ciebie kłamałam nawet do pewnego stopnia, bo przedstawiłam cię lepszym, niż jesteś. Państwo Marcinowie byli bardzo kontenci i zgodzili się...

— Zgodzili się!—wykrzyknąłem.

— Czekajże, mój kochany, i bądź cierpliwy. Zgodzili się, powiadam, ale pan Marcin oświadczył, że ostateczną decyzję musi pozostawić córce, której woli nie chce krępować. „Rozumie to pani — rzekł do mnie—że ja, zarówno jak i moja żona możemy mieć tylko głos doradczy. Niech Krysia sama postanowi.” Nie mogłam przecież temu oponować i na tem się rozmowa przerwała. Sądziłam, że mając pozwolenie rodziców, zaczniesz bywać i starać się o względy panny. Udałam się na spoczynek, ukołyszana różowemi nadziejami. Wprawdzie wołałabym za synowicę Joasię, ale skoro ci się tamta podobała—trudno! Nazajutrz pan Marcin, powróciwszy od gospodarstwa, już przed samem południem, poprosił mnie na słówko. Rozmawiałem z córką...—rzekł.

— Ach!

— Rozmawiałem z córką i... odpowiedziała odmownie. Prosiła, żebyś zaniechał swoich zamiarów, gdyż ona ci wzajemnością odpowiedzieć nie może. Dlaczego?—zapytałam. Pan Marcin powiedział, że i dla niego była to niespodzianka. „Droga pani—mówił—mam kuzyna, porządny chłopiec,



pracowity, a chociaż materyalnie świetnie nie stoi i jest na dorobku, jednak nic mu zarzucić nie mogę..."

— Pan Stanisław—rzekłem ze smutkiem.

— Tak, mój drogi, ten sani. Tan Marcin wcale a wcale nie wiedział, co się święci; kuzynek bywał, to bywał, nikt się temu nie dziwił i nikt go o jakieś poważniejsze zamiary nie posądzał. Tymczasem młodzi porozumieli się cicho, w sekrecie, zamienili nawet pierścionki i w przyszłym roku mają się połączyć.

Wstałem i wziąłem kapelusz do ręki. Chciałem wyjść, ażeby ukryć wzruszenie, nad którym trudno mi było panować.

Stryjenka zatrzymała mnie.

— Cóż znowu!—rzekła—odchodzisz? nie chcesz słuchać do końca?

— Skoro już wiem wszystko...

— Nie bądźże dzieckiem. Siadaj, proszę cię, mój drogi. Uważałam, że państwo Marcinowie był; oboje zmartwieni postanowieniem córki, ale ostatecznie, ponieważ żadnych zarzutów twemu rywalowi nie mogli robić, więc musieli się pogodzić z losem, lecz mają przecież i drugą córkę. Gdybyś chciał tylko...

— A nie! nie! — zawołałem — dość już jednej próby!

— Pomyśl, zastanów się.

— Nie!

— Odrzucasz szczęście? Rozpaczasz, że cię nie chce cudza narzeczona, a nie chcesz patrzeć na dziewczynkę, której podobales się i która ma dla ciebie sympatyę?

— Sympatyę!

— Zapewniam cię, że tak jest. Możesz mi wierzyć, my kobiety umiemy się na tem poznać. Joasia polubiła cię.

— I cóż mi z tego?

— Dziwne pytanie. Będiesz miał żonę dobrą, kochającą, poczciwą, rozpoczniesz nowe życie, a ja cieszyć się i tryumfować będę.

— Mało stryjence jednego tryumfu?

— To wcale nie tryumf. Żebym wiedziała, co się święci, byłabym cię wyprawiła do Białki dopiero po weselu panny Krystyny i po jej wyjeździe z domu rodziców, ale kto z wami dojdzie do ładu, moi panowie?

Podziękowałem stryjence za jej trudy, za tak żywe zainteresowanie się moim losem, i poszedłem do domu... do siebie.

Nie potrzebuję dodawać, że cały świat wydawał mi się pusty... szkaradny, wstrętny prawie. W domu nie mogłem wysiedzieć, było mi duszno, powietrza brakło. Zrzuciłem palto na ramiona, wyszedłem. Chodziłem bezmyślnie przez kilka godzin. Gdzie się włóczyłem, nie wiem; majączeją mi w pamięci stawy łązienkowskie, to znów żelazny

most na Wiśle. Musiałem być i tam i tam. Wróciłem do domu w gorączce, a na drugi dzień rozchorowałem się na dobre. Doktor twierdzi, że z przeziębienia. Być może.

Otoż cała historia. Teraz jestem rekonwalescentem, polecono mi, żebym się szanował. Co mi tam! Już moja karyera skończona. Stryjenka śmieje się, mówi że czas mnie uleczy. Doprowadza mnie to do pasyi...

Zamykam się w domu, nie wychodzę, nie przyjmuję nikogo. Poświęcam się studyoni nad literaturą arabską, uschnę w starych szpargałach.

Bywaj zdrów! Żałuj mnie, jeżeli masz serce, śmiej się ze mnie, jeśli możesz...

Ps. Kochany Władku, jeżeli kiedy, włóczęc się po Włoszech lub Hiszpanii, ujrzysz ustronny jaki klasztor, wstąp tam. Kto wie, czy wśród ascetów rozmyślanu oddanych nic znajdziesz swego... starego przyjaciela.

Ta myśl zaczyna mnie opanowywać, a cisza samotnej celi klasztornej wydaje mi się najmiłszym schronieniem dla takiego jak ja rozbitka.

VII

Z kilku listów twoich, na które nie odpowiedziałem, widzę, że jesteś we Włoszech i że zwiedzasz klasztory.

Szukasz mnie, dobry, kochany przyjacielu! Piszesz, że byłeś w „Propagandzie,” aby się dowiedzieć, czy z pod szarego nieba naszego nie przybył jaki człowiek w celu kształcenia się na misjonarza do Afryki? Nie szukaj na próżno, nie znajdziesz. Jestem w kraju, wcale nie mam zamiaru wyjeżdżać.

Zapytujesz mnie, jak dalece postąpiłem w literaturze arabskiej? Czy umiem już na pamięć wszystkie utwory Firdusiego i Szeika el Sady? Czy czytanie w oryginale pełnych mądrości surat Alkoranu nie przynosi mi pociechy w strapieniach?

Cóż ci na to odpowiem? Żartujesz sobie ze mnie widocznie, przyjacielu, bawisz się moim kosztem; niech ci będzie na zdrowie! Może masz niejakię prawa do żartowania, gdyż wiele wrażeń, o których człowiek sądzi, że się w duszy jego wyryją na wieki... zacierają się z czasem, przemijają, ustępują drugim, nowym. Wygląda to na tłumaczenie, na usprawiedliwianie się z mojej strony, prawda?

Może i tak. Ostatecznie w klasztorze nic jestem, po arabsku nie umiem ani jednego wyrazu (aczkolwiek do biblioteki mojej przybyła pełna szafa dzieł uczonych orientalistów), wyjeżdżać nie mam najmniejszego zamiaru, a natomiast ciebie proszę najusilniej, najgoręcej, abyś zrobił dla mnie to poświęcenie i przyjechał choćby na parę tygodni.

Przez dwa lata nie widzieliśmy się z sobą, przez rok cały nie napisałem do ciebie ani jednego wyrazu.

Wybacz mi to wspaniałomyślnie i przyjeźdź! Uprzedzani cię tylko, że adres mój zmieniony. Nie mieszkam już w Warszawie.

Pytasz gdzie?

Nie domyśliłbyś się! Mieszkam w kącie zapadłym, deskami, jak to mówią, zabitym, za światem po prostu, i co dziwniejszym ci się zapewne wyda, wcale nie tęsknię za tak zwanym 'światem,' wcale mi nie żal dawnego trybu życia, jeżeli wegetację wygodną a bezmyślną można życiem nazywać...

Mieszkam w blizkiem sąsiedztwie Białki, od której oddziela mnie tylko mila drogi przez las, wertepy różne i grobelki. Przyzwyczałem się już do nich, mogę się trząść na bryczce choćby przez dwadzieścia cztery godzin z rzędu, i nic mi to nic szkodzi... Nie wyobrazisz sobie, jak jestem obecnie zdrów i silny. Wprawdzie opaliłem się trochę, wąsy mi spłówiały, ale ponieważ jest ktoś, co mówi, że mi z tem do twarzy...

Zapytasz u kogo przebywam na wsi? U kogóżby? u siebie. Kupiłem majątek, uczę się gospodarować. Mistrzem, który mi wyklada tę sztukę, jest mój rządca, doskonały agronom, chociaż nie Niemiec. Pan Marcin mi go nastreczył.

Wstaję rano, o tej samej godzinie, o której w Warszawie, powróciwszy z resursy, spać się kładłem. Przez cały dzień w towarzystwie pana Franciszka (takie nosi imię mój rządca), jestem przy gospodarstwie, w polu, w lesie, na łąkach, w stodołach, oborach, spichrzu, słowem wszędzie. Mam

ogromnie dużo zatrudnienia, stawiam nowe budynki, dom porządkuję, Co drugi, trzeci dzień, a w święta już jak zapisał, jestem w Białce.

Przypuszczasz, że pan Stanisław zniknął z horyzontu, a panna Krystyna zwróciła wreszcie na mnie swoje czarne oczy? Nie. Panna Krystyna od kilku miesięcy już nie jest w domu rodziców.

Wyszła za swego mileżącego Stasia i jest teraz na swoim. Kochają się bardzo, są szczęśliwi, ale ja im nie zazdroszczę, owszem, cieszę się ich

szczęściem. Bardzo dobrana para. Byłem na weselu, prowadziłem ją do ślubu i... żyję!

Śmiejesz się, prawda? Śmieję się, cóż to szkodzi. Dlaczego nie mam żyć? Przeciwnie, nigdy życie nie wydawało mi się tak ponętne i pełne uroku...

Czas leci jak na skrzydłach, dzień za dniem goni, zapomniałem co nudy. Metamorfoza istna! Wyrazy chaotycznie cisną się pod pióro, nie mogę pisać jak chciałbym—spokojnie.

Przywołuję się do porządku.

Gdy już niby to powróciłem do zdrowia i zacząłem wychodzić, przedewszystkiem złożyłem wizytę stryjence. Było to zupełnie naturalne. Człowiek, któremu się dom spali, pomimo woli wlecze się na zgliszcza, aby popatrzeć chociaż na ślady swego zburzonego gniazda, a ja przecież bytem w tem położeniu, bo spłonął nie dom, ale cały gmach moich marzeń.

Poszedłem i zastałem tam... pannę Joasię, którą stryjenka pod jakimś pozorem na parę tygodni

zaprosiła do siebie. Tym razem figlarka nie śmiała się, jak zwykle, lecz była zamyślona i poważna. Rozmawialiśmy z sobą bardzo niewiele, prawie nic. Stryjenka prosiła, żebym przyszedł nazajutrz. Naturalnie nie wypadało odmówić, przyszedłem, i na drugi, trzeci, dziesiąty dzień tak samo. Byliśmy kilka razy w teatrze. Wszystkie lornetki z krzeseł zwracały się na piękną wieśniaczkę.

Smutek mój powoli, stopniowo zacierał się, doszło z czasem do tego, że mogłem się uśmiechać i mówić spokojnie... o pannie Krystynie i jej przyszłym zamążpójściu.

Panna Joasia opowiedziała stryjence i mnie dzieje tej dobranej pary. Kochali się wzajemnie i od dawna, ufając sobie i wierząc w lepszą przyszłość.

Słuchałem tego opowiadania spokojnie, bardziej spokojnie, niż się spodziewałem.

Po kilku tygodniach pobytu w Warszawie, Joasia" pojechała z powrotem do Białki. Przybył po nią sam pan Marcin.

Pocziwe, zacne człowieczysko!

Tęskno mi było po odjeździe Joasi, tęskno było także i stryjence, która ją pokochała, jakby rodzone swe dziecko...

Przez cały tydzień pani stryjenka zachowywała dyplomatyczne milezenie; mówiła ze mną o wszystkim, ale o niej ani słówka.

Ja odezwałem się pierwszy.

— Smutno stryjence bez miluchnej towarzyszki?—spytałem,

— Spodziewam się że smutno, ale cóż zrobię?

— Niech ją stryjenka znów zaprosi do siebie—rzekłem nieśmiało;— sądzę, że dla takiej młodej osóбки pobyt w Warszawie...

Wzruszyła ramionami.

— Dajmy temu pokój—rzekła niechętnie. Umilkłem.

— S[uchajno, mój kochany — odezwała się po chwili, — zapomniałam ci powiedzieć, że trafia się do kupienia bardzo ładny majątek ziemski.

— Majątek?

— Dziwi cię to?

— Nie mam zamiaru kupować.

— Ja też nie namawiam, ale powiadam tylko dla twojej wiadomości. Doktor zalecił ci pobyt na wsi, sądziłabym więc, że najwygodniej byłoby ci u siebie. Pod względem finansowym na kupnie nie stracisz, a jeżelibyś nie chciał gospodarować, to możesz przecie wypuścić w dzierżawę.

— Cóż to za majątek?—zapytałem.

— Zacisze... znam bardzo dobrze; należało ono niegdyś do rodziny mojej matki.

— W której to stronie?

— Dojeżdża się koleją do stacyi ci znanej, a stamtąd pięć mil boczną drogą.

— Więc to musi być blisko Białki?

— Zdaje mi się że tak — odrzekła. — Nie namawiam cię, ale pojedź, obejrzyj, cóż ci to szkodzi? Rozerwiesz się troche w swoich smutkach.

Pojechałem, kupiłem Zacisze i zaraz objąłem je w posiadanie. Jako sąsiad, złożyłem wizytę w Białce. Pan Marcin zajął się mojem gospodarstwem, dopomagał mi dobrą radą, nastęrczył mi

rzadcę. Bywałem też w Białce coraz częściej, anim myślał o Warszawie... Obraz panny Krystyny, chociaż miałem ją tat często przed oczami, znikał z mego serca. Zapytywałem sam siebie dlaczego? badałem duszę własną. Czy uczucie ludzkie jest tak niestałe wogóle, czy tylko moje takie zmienne? Przecież szalałem za tą dziewczyną, a dziś z najzupełniejszym spokojem patrzę na przygotowania do jej ślubu z kim innym. Próbowałem bronić swej sprawy przed trybunałem własnego sumienia i rozsądku i zdaje się mi, że wygrał. Panna Krystyna podobała mi się od pierwszego wejrzenia, zachwyciły mnie jej oczy prześliczne, delikatne rysy twarzy, kształty wysmukłej kibici. Podobała mi się, jak piękny obraz lub posąg... Zresztą nie znałem jej prawie. Czyż zachwyty można nazwać miłością?! Co się tyczy Joasi, obserwowałem ją przez czas dłuższy, miałem sposobność poznać jej charakter, jej serce złote, miałem powód i zasadę do przywiązania się.

Nie będę ci opisywał dziejów tego uczucia, które nie wykwitnęło nagle, nie objawiło się jak błyskawica, lecz rosło i dojrzewało stopniowo, niby źdźbło pszeniczne, co z drobniuchnej trawki, w ciężki, złocisty kłos się zamienia.

Było to na weselu panny Krystyny, na którym znajdowała się także i stryjenka. Pomimo że było dużo osób, znalazłem jednak chwilę stosowną i szepnąłem w różowe uszko Joasi: — Bądź moją...

Podawała mi drobną rączkę na odpowiedź.

Po toastach za pomyślność nowożeńców wzniesiono nadprogramowy toast za szczęście narzeczonych.

Nie miałem piękniejszego dnia w życiu. Stryjenka tryumfuje!

Pocziwa, urządza mi dom. Pełno jej wszędzie; przestawia, ustawia, sprowadza różne graty z Warszawy, organizuje służbę domową.

Była już dwa razy w Zaciszu pani Marcinowa z Joasią.

Moja narzeczona osobiście wydała dyspozycje co do niektórych przeróbek w oborze, kurnikach, w ogrodzie.

— Tu już — mówiła — ja samowładnie rządzić będę i gospodarować tak, jak nasza kochana mateczka. Będziemy mieli wszystko, jak się należy. To zrobię, owo zrobię, to zaprowadzę — całe kobiece gospodarstwo przerobię po swojemu.

Droga moja gosposia! Ileż poezyi w jej prozie.

Drogi Władziu, za dwa miesiące od dziś, staruszek proboszcz pobłogosławi nasz związek w wiejskim drewnianym kościółku.

Przyjeżdżaj, przyjeżdżaj, przyjeżdżaj!

Bądź świadkiem naszego szczęścia, a kto wie, czy wpośród druchen i rówienniczek Joasi nie znajdzie się i dla ciebie jaki kwiatek polny, jaka dzika różyczka...

Może i nad tobą tryumfować będzie stryjenka.

Zapraszani cię do Zacisza całym sercem, czekam z niecierpliwością.

Ps. Poznałeś z moich poprzednich listów palla Karola, tego szlachcica, u którego miałem grać w wista z komornikiem. Owdowiał nieborak.

Nieszczęśliwa jego żona przestała cierpieć i przeniosła się do lepszego życia.

Splakał się nieboraczysko na pogrzebie, zmartwił, ręce zupełnie opuścił.

Poratowaliśmy go przecie z panem Marcinem: pół folwarku sprzedaliśmy



chłopom, popłaciliśmy jego długi... Dziś szlachcic siedzi na piętnastu włókach czystych jak szkło i potrosze przychodzi do siebie. Na losy swoje wszakże narzeka.

— Coście najlepszego zrobili, moi panowie — mówi nieraz do mnie i do pana Marcina, — zburzyliście cały dotychczasowy porządek mego życia!

— W czym? jak? — pytamy.

— We wszystkim. Dotychczas na śniadanie miewałem zwykle pozew, na obiad wyrok, na kolację komornika... Oprócz sobót i uroczystych świąt żydowskich, widywałem codziennie żyda, niekiedy dwóch, a jak dobrze poszło, to i trzech na raz. A teraz co? Cicho, smutno, żadnych wrażeń, żadnych emocyj, psy nawet chodzą jak śpiące i nudzą się, bo nie mają szczebrać na kogo...

Tak to on mówi tylko, ale w rzeczywistości szczęśliwym się czuje, że po kilkunastu latach

męczarni i szarpania się z biedą może nareszcie spać spokojnie pod własnym dachem, pewny że go nikt już z pod tego dachu nie wyrzuci... Jeszcze Ps. Przyjeżdżaj koniecznie. Prosi o to Joasia, i ja i tryumfująca stryjenka!

**CZŁOWIEK O SKRZYPIĄCYCH BUTACH.**

(Kartka z pamiętnika rachmistrza.)

Dwadzieścia pięć lat pracuję w głównym biurze wiele szanownego  
.Towarzystwa ubezpieczeń różnych rzeczy od rozmaitych wypadków."  
Tak się zowie ta kompania akcyjna.

Dwadzieścia pięć lat! Gdybym był piękną aktorką lub śpiewaczką,  
wyprawionoby mi jubileusz, ma się rozumieć z kwiatami, biżuterią, ale że  
na nieszczęście ani piękność, ani talent, ani nadobność pici nie jest moim  
udziałem, przeto obchód jubileuszu mego odbył się prywatnie w gronie  
rodziny i kilku kolegów. Nie było biżuteryi ani kwiatów, ale zato  
szanowna moja małżonka wystąpiła z kolacją, o jakiej nawet Lukullus nie  
marzył. Była baranina, młode kartofle, kwaszone ogórki, przytem piwo  
Graliśmy w winta, gawędzili, wesola zabawa trwała do trzeciej po  
północy.

Tak odbył się mój jubileusz, rocznica ćwierćwiekowej pracy dla dobra  
Towarzystwa. Śliczna jest ta nasza instytucya... Piękne biuro! Zżyłem się  
z niem;

przechodziłem od najniższych szczebelków kantorowej drabiny, aż do  
średnich — i na jednym z nich szczęśliwie utkwivszy, siedzę i  
prawdopodobnie siedzieć będę aż do ostatnich dni żywota.

Przez pierwszy rok pracowałem bezpłatnie dla otrzaskania się i nabycia  
wprawy, potem płacono mi dyety. W trzecim roku ofiarowano pensye  
stałą, z obietnicą dalszych awansów i gratyfikacyj, Dalej szło jakoś  
pomaleńku.

Co prawda, przerzucano mnie jak piłkę z wydziału do wydziału, z sekcji  
do sekcji. Nie gniewałem się o to, gdyż ta ciągła zmiana zatrudnienia

pozwoili mi poznać wszystkie gałęzie tego szlachetnego drzewa, które rodziło dywidendę dla akcyonaryuszów, a szczęście dla ludzkości. Ćwiczyłem się w kaligrafii na polisach i raportach, w rachunkach w wydziale statystyki i buchalteryi, a od tych umiejętności ogólnych, niezbędnych dla każdego służebnika biurowego, przechodziłem stopniowo do ocierania się o specjalności.

Nie mogę powiedzieć, żebym się nudził, gdyż w zajęciach moich nie brakło urozmaicenia.

Weźmy na przykład taki wydział tlomoków, wędrujących po drogach suchych i mokrych —jaka to rzecz przyjemna! Człowiek kombinuje ruch pociągów i parostatków, oblicza odległości i ma takie złudzenie, jak gdyby sam podróżował.

W tym wydziale byłem krótko, przeniesiono mnie do ognia, do sekcji pogorzeli. Miałem zacności zwierzchnika. Godny ten mąż w każdym człowieku widział podpalacza, nawet pioruny wydawały mu się podejrzan.

— Pamiętaj o toni, młodzieńcze — mówił nieraz do mnie,—że pozory mylą. Absolutnie nikomu wierzyć nie można. Nawet piorun nie jest wiarogodny, chociaż spada z chmur i, o ile można przypuszczać, nie dzieli się z ludźmi nieprawym zyskiem z występnej spekulacyi.

— Zdaje się jednak...

— Otoż to najgorsze, młodzieńcze, że ci się zdaje!—mówił mój zwierzchnik.—Pozbądź się tej wady, gdyż z nią do niczego nie dojdiesz, a w obronie pioruna nie stawaj. Ludzie są przewrotni, łatwo wśród nich może znaleźć się łotr, który podpali budynek podczas burzy, a winę spędzi r.a piorun. Widziałem ja już takich kawalerów... Podejrliwość i ostrożność—oto hasło nasze!

Pomimowoli, pod wpływem szanownego swojego zwierzchnika, i ja stawałem się podejrzliwym, nawet na zabawach (młody jeszcze byłem wówczas), na wieczorkach tańczących nie opuszczały mnie czarne myśli.

Nie mogłem się zakochać, chociaż nie brakło pięknych panien... Alboż piękna nic potrafi podpalić?!

Na jednym balu miałem to szczęście, że sama pani dyrektorowa raczyła zwrócić uwagę na moją mizerną osobę. Była to dama w średnim wieku, dość korpulentna i jeszcze bardzo przystojna. Tańczyłem z nią walezyka, jak przystoi na dobrze wychowanego podwładnego, z głębokim uszanowaniem, a zarazem z ogniem. Zdaje mi się, że tak samo zachowałby się młody Chińczyk, gdyby miał szczęście tańczyć z wyobrażeniem wielkiego smoka.

Musiła zacna pani coś szepnąć mężowi, gdyż nazajutrz po balu przeniesiono mnie do sekcji nagłych śmierci, w charakterze pomocnika referenta.

Tam było mi bardzo wesoło. Mieliśmy śliczny pokój od ogrodu, umeblowany z pewną elegancją. Na ścianach drukowane dużymi literami wisiały tablice śmiertelności i kolorowane mapy główniejszych epidemij, nad biurkiem mego zwierzchnika umieszczony był portret znakomitego Włocha z XVII wieku, signora Tonti, który tak piękne kombinacje na pożytek cierpiącej ludzkości pozostawił.

Zwierzchnik mój był to człowiek wesołego charakteru i niezmiernie uprzejmy. Nie używał nigdy w rozmowie wyrazów zwyczajnych, tylko zdrobniałe: „premijska,” „poliseczka,” „kwitczek,” „pleurka,” „tyfusik,” „Cholerka.” „apopleksyjka,” „hydropsik,” „kamyczek,” „pęknięcie aorteczki” etc.

Bardzo miły i elegancki człowiek! Dla wdów, zgłaszających się z polisami, był niesłychanie uprzejmy. Podsuwał każdej ogromny fotel, dopytywał o kwitczki, o szczegóły choroby i ostatnich chwil „mężuleczka,” a jeżeli znalazł jaką „przeszkódkę,” w takim razie kłaniał się jeszcze niżej i zapewniał, że to jest „głupsteweczko,” które jednak nie da się usunąć inaczej, jak drogą maleńkiego „procesiku.”

Wdowa gniewała się, obrzucała obelgami naszą instytucję, a uprzejmy człowieczek kłaniał się jeszcze niżej i służył adresem „adwokateczka,” który niedawno wygrał taką samą „sprawkę.”

Gdy „przeszkódek” nie było, zwierzchnik mój załatwiał wszystko piorunem, asystował wdowie aż do chwili wypłaty, odprowadzał do drzwi głównych

i polecał instytucji; pamięci łaskawej „klienteczki.”

— Przekonała się pani — mówi! — jaka to nocieszka w smuteczku; śmiem przypuszczać, ufam, że drugiego nieżulka zaasekurujemy podług tej samej tabelki. Niech sto lat żyje, ale na wypadek tyfusiku, apopleksyjki... miejmy przynajmniej czem łezki ocierać... a nic ich tak nie osusza, śmiem twierdzić, jak gotóweczka. Polecamy się pamięci, do nóżek upadam, do nóżek! .

Dwa lata przebyłem w wydziale nagłych śmierci; niespodziewanie przeniesiono mnie do sekcji posagów. Były to najcięższe chwile mojej służby w instytucji. Musiałem się uczyć dyalektyki i sfizmatów, aby przekonywać ludzi ustnie i piśmiennie, że dwa a dwa czyni pięć.

Jeszcze gdy się trafiło na człowieka dobrodusznego, było pół biedy, słuchał, uśmiechał się, kiwał głową i zachwycony myślał, że jego córeczka będzie miała posag, dawał się przekonać. Twardy miewaliśmy orzech do zgryzienia, gdy zjawił się spokojny pan z ołówkiem i zwracał nam głowę opowiadaniem o kasach oszczędności, o procencie składanym. Taki bawił się w rachunki i zapytywał wprost, czy nasi akcyonariusze nie biorą dywidendy i czy utrzymanie ogromnego biura nic nie kosztuje? Uśmiechał się pod wąsem i ciekawy by i poznać, gdzie jest właściwie źródło naszej filantropii i poświęcania się dla dobra szanownych klientów?

Ja bo sobie z takim jegomościa nie mogłem dawać rady, ale zwierzchnik mój, człowiek do

świadczony i w dyalektyce bieglejszy, wytaczał na tychmiast, niby działa największego kalibru, argument o przymusie moralnym.

— Ogromna to różnica, panie dobrodzieju — mówił—nadzwyczajna! W kasie oszczędności skła dasz pan ile chcesz i kiedy chcesz, nie jesteś skrepowany terminem, ani warunkami. Jednym słowem, w kasie pan dobrodzieju ilość pieniędzy nieoznaczoną, rozmaita, dowolną, zależną wprost od okoliczności, chwilowego kaprysu, częstokroć od jakiejś potrzeby urojonej, czysto fikcyjnej składasz, u nas zaś tyle, ile zobowiązałeś się i w terminach z góry oznaczonych. My dajemy klientom swoim podarunek niezmiernie cenny, mianowicie dajemy im przymus. W sprawach oszczędności ma to wartość nieoszacowany. Co innego jest składać posag dla córeczki z dobrej woli, która w tem jest podobna do szklanki, że przy pierwszej lepszej okazji stłuc się może, a co innego składać z musu, a skoro pan podpisałeś warunki, to nic płacić nie możesz, bo to, coś zadatkował, przepada.

Jegomość słuchał, kiwał głową, uśmiechał się pod wąsem i odchodził nie przekonany, ze szczerem postanowieniem składania dobrowolnie i bez przymusu, zwierzchnik mój zaś w takim wypadku użalał się przede mną, że społeczeństwo nasze za mało jest jeszcze dojrzałe i rozwinięte, aby mogło zrozumieć ogrom dobrodziejstw, wyciekających z kombinacji ubezpieczeń posagowych.

Jednego dnia, gdy pochyleni nad księgami,robiliśmy wykazy do rachunku rocznego, w sąsiedniej sali dał się słyszeć odgłos ciężkich kroków i de

nerwujące niemiłosiernie skrzywienie butów. Byliśmy przekonani, że co najmniej siedmiu ojców pe." dzi na wyścigi, aby ubezpieczyć posagi ala czternastu córek. Tymczasem był to tylko nasz dyrektor i jakiś obcy człowiek.

Dyrektor zwrócił się do nas i rzeki:

— Przedstawiam panom nowego kolegę. Pan Sylwin Zawracalski. Mam nadzieję, że będzie pożytecznym dla naszej instytucji pracownikiem.

— Postaram się o to—rzekł pan Sylwin z taką pewnością siebie i tryumfującym uśmiechem, jak gdyby już powiększył akcyonaryuszom dywidendę przynajmniej o dwadzieścia pięć procent — postaram się.

— Czy szanowny pan jest obznajmiony z czynnościami asekuracyjnymi?

— Wogóle tak, a jako wyznawca zasady, że nie święci garnki lepia, mam nadzieję że po kilku dniach będę mógł to samo powiedzieć o szczegółach.

— Nie wątpię o tem—rzekł dyrektor, a zwracając się do mego zwierzchnika, dodał — tymczasowo pan Zawracalski pozostanie w tym wydziale.

Rzekłszy to, wyszedł.

Spojrzeliliśmy na nowego towarzysza pracy.

Był to mężczyzna dość wysoki i korpulentny, twarz miał wielką, tłustą, oczy male lecz bystre, brodę przystrzyżoną krótko. Wogóle z powierzchowności więcej był podobny do rzeźnika, aniżeli do biuralisty.

— Czy pan już pracował w jakim biurze? — zapyta! mój zwierzchnik.

— O tak... tu i owdzie, więcej za granicą, aniżeli w kraju.

— W jakichże mianowicie instytucjach?

— W rozmaitych, przeważnie finansowych, chociaż szczerze mówiąc, powołanie szczególne miałem zawsze do dyplomacyi.

— Piękne powołanie...

— Tak jest, ale nie każdy ma szczęście. Mniejsza o to... Zdaje mi się, że zrobię coś w dziedzinie asekuracyi. Przedewszystkiem trzeba zwależyć

zastarzałą rutynę i pokonać przesady. Mam ideę pod tym względem, a przede wszystkim uważam za wielkie głupstwo pobieranie premij. Zwierzchnik mój zerwał się z krzesła.

— Co pan mówisz?—zawołał.

— Przy sposobności wytłumaczę to obszerniej. Na Zachodzie dawno myślą o takiej reformie.

— Pierwszy raz słyszę.

— Bo wieści z Zachodu nie prędko się dostają do naszego partykularza. Warszawa w porównaniu z takim na przykład Londynem wygląda jak Pacanów. Dużoby o tem można mówić.

— Zapewne... ale przepraszam... czy pan wie, na czym się opierają wszystkie ubezpieczenia wogóle?

— Och, naturalnie!... Każda rzecz musi się na czemś opierać... tembardziej instytucya. Jestto ogólne prawo, że tak powiem, fizyczne. Odbierzmy stołowi nogi, a oczywiście runie...

— Pan jednak chce odebrać instytucji asekuracyjnej premia. Cóż pan da na to miejsce?

Pan Sylwin uśmiechnął się tajemniczo.

— Szanowny panie—rzeki,— każdy wynalazca trzyma swój pomysł w tajemnicy dopóty przynajmniej, dopóki nie uzyska patentu... Rozumie pan zapewne, że...

— Bardzo słusznie —odrzekł mój zwierzchnik— bardzo słusznie. Nie mówmy o tem. Jeżeli pan życzy sobie objąć obowiązki, to przystąpmy do rzeczy. Oto księga... należy zsumować kolumny.

— Czy robić zwyczajne dodawanie?—przerwał pan Sylwin.

— Tak jest.

— Nie do tego ma się wyższe zdolności i pochlebiam sobie... energię.

— I o tem nie wątpię, ale w tej chwili, a nawet w późniejszych, nie będę mógł dać panu zajęcia, które odpowiadałoby jego wyższym aspiracyom i wysokiemu uzdolnieniu. My jesteśmy zwyczajni wyrobownicy biurowi.



Mamy; instrukcją, ściśle "kreślony rodzaj zatrudnienia, a wszelkie projekty, teorye choćby najgenialniejsze, o ile byśmy je mieli, musimy zachowywać na swój prywatny użytek.

— Wie pan—odrzekł pan Sylwin —że przypomina mi to Chiny.

— Piękny to podobno kraj i nie taki głupi, jak o nim sądzą. Proszę pana, oto księga... niech pan będzie łaskaw dołoży starań, aby rachunek był gotów przed czwartą.

Pan Sylwin zasiadł przy biurku, wziął ołówek do ręki i, mocno sapiąc, zaczął rachować. Nic szło

TrJ kominku.

mu jakoś, a na jego twarzy malował się wyraz wielkiego niezadowolenia.

Po kilku minutach zwrócił się do zwierzchnika wydziału z zapytaniem:

— Panie, czy ja zawsze będę się zajmował tymi rachunkami?

— Zapewne... przynajmniej dopóki pan będzie w tym wydziale.

— To nie jest zajmujące.

— Przyznaję, ale potrzebne.

— Ja wychodzę na chwilę, ale niezadługo powrócę, jestem strudzony i głodny. W życiu mojem chwile apetytu są bardzo rzadkie i dlatego ze względu na samo zdrowie muszę z nich korzystać. Czy pan niema nic przeciwko temu?

— Ja osobiście nic, ale zwyczaj w naszym biurze przyjęty żąda, aby chwile nadzwyczajnego apetytu nie przychodziły od godziny dziesiątej rano do czwartej po południu. Pozostałe osiemnaście godzin na dobę można poświęcić choćby wyłącznie zaspakajaniu apetytu.

Pan Sylwin zaczerwienił się jak burak i wyszedł; zwierzchnik odezwał się do nas:

— Panowie, możemy powinszować sobie nowego towarzysza. Mam przecucie, że będziemy mieli gorzkie życie z tym blagierem.

Nie mylił się.

Pan Sylwin dręczył nas przez dwa tygodnie, papląc nieustannie o swych pomysłach, o konieczności wytepienia przesądów i zastarzałej rutyny... o tem że należy zapatrywać się na działalność instytucji z lotu ptaka, z góry, mieć poglądy szerokie i nie tracić czasu na drobiazgi. Wykładał nam

swoje zapatrywania, skrzypiąc niemiłosiernie butami, a jedynym naszym wypoczynkiem, jedynym wytchnieniem były godziny, podczas których wybiega! z . biura, aby odżywić swój szlachetny organizm. Wychodząc, powtarza! stereotypowo jeden frazes:

— Ponieważ to jest jedyna chwila, w której zaczynam uczuwać apetyt... Słusznie powiedział niegdyś wesoły szef wydziału nagłych śmierci, że biuro podobne jest do zegarka: jedno kółko psuje się i zegarek nie idzie regularnie, opóźnia się lub zupełnie staje.

— Jest to konsekwencyjka nieporządeczku — konkludował.

Nasz energiczny kolega w czynnościach swoich zalegał, a raczej, wyrażając się ściślej, nie odrabiał ich wcale; na skutek tego wkradł się nieporządek i nasz wydział posagów, słynny z idealnego ładu i akuratności, zaczął coraz bardziej tracić opinię w biurze. Główny buchalter złościł się, że nic dajemy mu na czas materyałów, groził że z powodu naszej opieszałości bilans roczny nie będzie gotowy przed zebraniem ogólnem — i niechby dyabli wzięli bilans—ale gorsza rzecz, że akcyonaryusze nie zatwierdzą nam gratyfikacyi, a nawet kto wie, czy nic wypędzą nas na cztery wiatry, jako niedołęgów i próżniaków.

Gdy buchalter, niby drugi Jonasz w naszej kantorowej Niniwie, prorokował tak złowrogo, wtórowali mu jego pomocnicy, oraz ci wszyscy, którzy mieli grzech próżniactwa na sumieniu. Ci ostatni byli szczęśliwi, że znalazł się wreszcie kozioł ofiarny, na którego głowę wszystko złożyć można.

I takim kozłem stał się dla nas nasz świetny do niedawna, słynący z akuratności i wzorowego porządku wydział posagów...

Przyszły na nas ciężkie czasy. Zwierzchnik rozchorował się na wątrobę, był na drodze do żółtaczki, my zaś doznawaliśmy nieustannego szumu w głowie. Uosobiona energia w skrzypiących butach oszołamiała nas, byliśmy jak zahypnotyzowani przez nieustanne gadanie i skrzypienie nieznośne. Wprawdzie był bardzo prosty na pozór sposób, powiedzieć genialnemu człowiekowi, żeby siedział cicho, pracował, nie szermował językiem i nie skrzypiał butami, lecz środka tego użyć nie było można, gdyż genialny człowiek protegowany był silnie przez samego dyrektora, który przy każdej sposobności mówił, że pan Sylwin stanie się kiedyś filarem instytucji. Występować przeciwko kawalerowi, mającemu taką opinię, było w wysokim stopniu ryzykownem.

Zwierzchnik naszego wydziału, nie mogąc poradzić sobie inaczej, uciekł się do podstępu. Zaprosił „skrzypiącego” na winta i przy tej sposobności wyraził ubolewanie, że taka wielka zdolność, taka ogromna energia i inteligencja marnuje się w wydziale posagów.

— U nas—mówił—nie masz pan pola do działania, nie masz po prostu przestrzeni do rozwinięcia skrzydeł; czynność, którą spełniasz, może wykonać najzwyczajniejszy przeciętny biuralista, byle tylko umiał rachować.

— Więc cóż mi pan radzi? — zapytał upojony komplementami Sylwin.

— Jesteś pan podobno w blizkich stosunkach z dyrektorem...

— Naturalnie... w bardzo blizkich... i nic tylko z uim, ale ze wszystkimi członkami zarządu. Co więcej, znam prawie każdego akcyonaryusza.

— To bardzo szczęśliwie dla pana. — Zapewne.

— Należy też korzystać z okoliczności i postarać się o trochę lepsze, odpowiadające zdolnościom zatrudnienie.

— A cóż mi pan radzi?

— Transporty, panie szanowny, ogień, to zupełnie co innego! A możeby pan pracował samodzielnie, nie angażując się do czynności w wydziałach.

— Na przykład w jaki sposób?

— Hm... to zależy ..

— Niechże mi pan powie.

— Mógłby pan na przykład opracować projekt ubezpieczeń rolnych od gradobicia. Zna się pan na tem?

— Na gradzie?

— Tak.

— Przewybornie. Wie pan, to jest idea! Czy ja się znam na gradzie?...

Jeszczeby też! Wie pan co... jutro zaproponuję to dyrektorowi.

Rzeczywiście to rzecz na czasie, to idea, a jak ja się do tego wezmę, stworzymy coś, za co nam pomniki stawiać będą. Serdecznie, serdecznie dziękuję za radę...

Nazajutrz energiczny nasz kolega skrzypiał w wydziale ogniowym. Nad gradem dyrektor miał

się zastanowić później. Nasz zwierzchnik niiał do nas mówkę tej treści:

— Drodzy panowie! Weźmiemy się wszyscy energicznie do pracy i odrobimy zaległość kolegi, który nas w dniu dzisiejszym opuścił. Opinia naszego wydziału przywrócona być musi, choćbyśmy mieli siedzieć całe dnie i noce...

W ciągu tygodnia połączonemi siłami udało nam się odzyskać straconą sławę: główny buchalter przestał narzekać, zwierzchnik wyprawił nam sute śniadanie i przyrzekł, że o gratyfikacye dla nas wależyć będzie jak

Iwica... Dotrzymał słowa — dostaliśmy je w dozach bardzo umiarkowanych.

W kilka tygodni później szef wydziału ogniowego, kubek w kubek tak samo jak nasz, tłumaczył panu Sylwinowi, że asekuracja ogniowa, jako oparta na kombinacjach bardzo prostych, nie daje pola działania dla ludzi wyjątkowo inteligentnych, że

wiele łatwiej wielka zdolność może być zużytkowana przy ubezpieczeniach transportów lądowych

wodnych. Skutek był dobry... w wydziale ognia święcono uroczystość wyzwolenia, tak jak niegdyś u nas.

Szef wydziału pływających tłumoków był o wiele sprytniejszy, aniżeli jego koledzy od posagów i od pożarów. On od razu poznał w panu Sylwinie i przeczuł geniusz akwizytorski.

— To jedyne — mówił — zajęcie dla takiego człowieka, jak pan. Pańska energia niby wezbrana rzeka, znajdzie sobie ujście. Będiesz samodzielny, nieskrępowany systematyczną pracą kancelaryjną,

która dla ludzi genialnych jest najmniej odpowiednia i nieznośna.

Będiesz pan podróżował, będziesz wyszukiwał ludzi zdolnych na agentów, rozrzucisz po całym kraju siatkę, w którą łowić się będą klienci dla naszego towarzystwa. Prawda, że to zatrudnienie prześliczne?

— Ponętne... tu istotnie będę mógł pokazać, co umiem.

Po kilku dniach w salach naszego biura przestał się rozlegać przeraźliwy skrzyp butów genialnego człowieka. Zostaliśmy jak dawniej i wszystko szło jak dawniej, regularnie, porządnie, jak w zegarku.

Człowiek energiczny, dopóki był w biurze, nie robił nic, podróżując w interesach instytucji zaczął robić głupstwa. Pierwsze mu uszło, za drugie zrobiono mu wymówkę, za trzecie otrzymał delikatne consitum abeundi i na tem zakończy! karierę.

W kilka tygodni później spotka! go na ulicy wesoły szef wydziału nagłych śmierci.

— A, kochanego! — zawołał — szanownego koleżkę! Jakże tam?...

— Już waszym kolegą nie jestem.

— O! proszę, cóż to za wypadeczek?

— Nie poznali się na mnie.

— Tak... tak... ja przewidywałem... są to bowiem obskuranciki w dobrym gatunczku... Żałuję mocno! Ale pan dobrodziej ślicznie wygląda! Buzia pełna, karczek rumiany jak wisienka, brzusek wspaniały, wątróbki ze trzy funciki za wiele, więc...

— Więc CO?

— Warto by zaasekurować się od wypadeczku, bo to, panie łaskawy, sto lat żyć można, ale przy króciutkiej szyjce...

— Idź pan do dyabła! — mruknął genialny człowiek i odszedł oburzony, skrzypiąc przeraźliwie butami.

**BABSKA DUSZA.**  
Szkic wiejski.

Szary był dzień jesienny. Chmury zakryły słońce, po szybach karczemki w Zarwańcu łąziły muchy jakby senne... Jankiel Aksamitny, tej karczemki dzierzawca, drzemał, i dwaj chłopci, co przy stole nad prózną już kwartą siedzieli, ziewali co chwila.

Wielki biały kot na kominie spal jak zabity, a nawet wróble na dachu nastroszyły piórka i siedziały osowiałe całkiem i drzemiące.

— Ja wam powiadam, kumie Janie — odezwał się nawpół pijany chłop, ziewając — że Bóg miłosierny duszę lekko w człowieku osadził...

— Ale...

— Siedzi ona, chudzina, ta dusza nasza nieśmiertelna, niby piórko we ptaku, albo choćby i ten listek na drzewinie; przyjdzie wiaterek, dmuchnie i już jej niema.

— Nieprawdę powiadacie, kumie Piętrze; dusza Jest na moc we człowieku osadzona... i ciężko ją wyrwać...

— Wy swoje, a ia swoje: i ja mam rację... bo żeby, na to mówiący, była dusza drewniana, toby ją kołeczkiem przybił, albo żeby była żelazna, toby ją na śrubkę i na muterkę przykręcił; ale że ona ni taka ni siaka, ale z ducha jest, to jakże ją przymocować?

— Bóg Najwyższy to obmyślił, a my głupi ludzie nie dojdziemy...

— Zawdy nie na moc...

— Spytajcie się Jankla... Hej Janklu, Jankiu. słuchajcieno!

Żyd się przebudził.

— Co chcecie?

— Powiedzcie nam, czy dusza we człeku mocno siedzi, czy nie?

— Co: Dusza w człowieku? albo ja wiem... Na co wam taka ciekawość? Póki może, to ona siedzi, a jak nie może, to odchodzi. Skąd wam takie myślenie? Wy lepiej pijcie wódkę...

— Kiedy to jest taka rzecz, że trzeba wiedzieć — rzekł Piotr — a Jan się spiera; ja mówię nie mocno, a on powiada mocno...

— Dajcie pokój—rzekł Jankielnie wasza głowa na to... nie jesteście rabini, żebyście się mieli takimi rzeczami zajmować...

— luści rabin nie jestem, ale wiem, że jak temu dwa lata Michał Zaba, co teraz w kryminale siedzi, żyda zabił...

— Pfe! nie wspominajcie o takim przykrem zdarzeniu. Niech ten Michał zdechnie w kryminale, niech go robaki zjedzą...

— A niech go zjedzą; ja mu nie brat i nic swat, żyda mu nie kazałem zabijać. Ale com widział, toni widział i tom na sądzie przyświadczył: jako że Micha! dużo się nad nim nie znęcał; jeno go raz po czapce kłonicą trąci! i już po żydzie... trup od razu...

— Fe, dajcie pokój... po co wspominać!...

— Juści po to, żebyście wiedzieli, że dusza w człowieku siedzi nie mocniej, jak piórko w pta zku. Lada co i już...

— Ot, też gadanie! Dusza niechrzczona, mocy żadnej w niej niema; siedzi ona w żydzie, jak gwóźdź w spróchniałej desce; dość palcem trącić, to wyleci.

— Ja was proszę — odezwał się Jankiel — nie gadajcie głupstwa; jesteście grubi ludzie, a na duszach tyle się znacie, co kura na pieprzu. Co wam do żydowskiej duszy? Czy ona mocna czy słaba, wy za to nie będziecie płacili ani jednego grosza. Mówicie że wolno wam gadać o czym chcecie, to prawda, ale jaki macie z tego pożytek? Mocno siedzi, słabo siedzi... niech siedzi jak chce! Wy patrzcie, żeby w waszych bronach mocno zęby siedziały, to jest gospodarski interes, a nie dusza...

Przekonał się Jankiel wszakże, że jego wymowa tym razem nie zdała się na nicchłopi ani myśleli zmienić przedmiotu rozmowy. Jankiel oparł się plecami o beczkę i udawał śpiącego.

— Lonskiego roku—mówił Jan—nakazali nam za szarwark reparować groblę na Zamłyniu. Woda ją całkiem przerwała. Woziliśmy faszynę z lasu, jak zwyczajnie w drabinach, i dworscy fornale



też wozili. Jeden fornał, Antek Wierzgaj, znacie go pewnie?...

— A dyć znam.

— Nakładał i on też, a potem na wóz wlaź i udeptywał nogami owe gałęzie, żeby więcej nabrać, a taki dowcipny był, jeszcze sobie przyśpiewywał, Juści chłopisko młody, zdrów, czemu nie miał przyśpiewywać... Tymczasem konie nagle ruszyły, ów Antek poślizgnął się, padł i ledwie zdążył krzyknąć „Jezus, Marya” — zaraz omdlał... Het się nadział na lusznę brzuchem i tak zawisnął... przebiła go, jak, nie przymierzając, wieprzaka... Może nie prawda?

— Juści prawda, i ja o tem słyszałem.

— Wyście słyszeli, a ja patrzyłem oczami mojemu... ratowałem go... Zdjęliśmy go z luszni i ranę zapchali świeżą ziemią, liśćmi i mchem, zapakowaliśmy jak się patrzy, żeby wnętrzości nie pogubił i żeby krew z niego nie uszła...

Jankiel już dłużej wytrzymać nie mógł. Zerwał się z miejsca i wybiegł na środek karczmy.

— Co wam dziś do głowy przystąpiło? — zawołał — co wy za gadanie dziś macie? Pfe! Ja słuchać tego nie mogę; mnie koło serca zaraz boli, zdaje mi się zaraz, że, broń Boże, sam jestem j przebity.

— O, delikatny!

— Ja was proszę, idźcie wy sobie z waszem gadaniem przed karczmę! Ciepło na dworze, możecie usiąść na kamieniach i pleść, co wam się podoba. Ja mam, Bogu dziękować, żonę i dzieci,

mnie zdrowie potrzebne; ja wcale nie chcę mieć mgłości.

— A to niech Jankiel sam idzie.

— Pójdę, i owszem, woję pójść, niż takich rzeczy słuchać...

— Bestya żyd—mruknał Jan po wyjściu Jankła i dalej rzecz swoją prowadził. — Myśleliśmy — mówił—że z onego Antka nic nie będzie, tak się szkaradnie przebił. Doktora do niego przywieźli... mech i liście z rany wyjmowali, zszywali, smarowali i wyzdrowiał chłop całkowicie i jest fornałem, jak i był, i śpiewa przy robocie. Do tego mówię właśnie, że dusza w człowieku mocno siedzi, twardo, że jest już tak przez wolę Boską ugruntowana, że nie łatwo się odrywa... Sami powiedzcie: na takie poranienie, takie przebicie—i człowiek życia nie postradał; dusza z ciałem jak była w kupie, tak i jest. Widzicie, jak mocno siedzi!

Dowodzenie to przekonało Piotra w połowie...

— Ha, no, juści — rzekł — może to i prawda, może insza dusza mocno siedzi, ale też zważcie sobie, że to była chłopska dusza.

— To i cóż?

— A no, chłopska krzepka... w chłopie wszystko mocniejsze.

— Juścić tak.

— W babie nie siedzi ona tak twardo, bo kobiecy naród mdły jest i w sobie kruchy...

— Ale!... insza będzie też, jak z żelaza.

— Żelazo żelazu nierówne; jest i kruchsze i mocniejsze, a jest też i stal. Ot, kumie kochający, co się mamy spierać; jaką Bóg miłosierny dusze

dal, taką trzeba przyjąć — oto wypijmy sobie jeszcze po półkwatku i idźmy do chałupy.

— Ha... jak wypić, to wypić... Jankiel! hej Jankiel! Gdzież ten niedowiarek?

— Musi przed karczmą stoi... Nie chciał słuchać o chłopie, co na Insania, się nadział, i uciekł... lankiel! chodźcieno duchem...

Ponieważ żyd nie odzywał się wcale, chłopci wyjrzeni oknem i na razie nie mogli zrozumieć, co się stało.

Jankiel stał przed karczmą blady jak płótno, ręce mu się trzęsły, nogi ugięły się pod nim, ustami poruszał, jak gdyby powiedzieć coś chciał, ale głos odmawiał mu posłuszeństwa.

— Co to? Jankiel, co to?—zawołał Jan, w oku., stukając—co wam się stało?

Usłyszawszy głos znajomy, Jankiel wstrząsnął się, wbiegł do izby, padł na ławę i jękając się, wyszeptał:

— Pa... fa... fajer!

— Co?

— O... o... ogień na wsi!

Na tę straszną wiadomość obydwaj chłopci wytrzeźwieli nagle i, nie zważając na lankła, na jego wołanie o ratunek, wybiegli. Palił się dom i zabudowania na drugim końcu wsi. Czarne kłęby dymu zasłaniały niebo, płomienie czerwone wznosiły się coraz wyżej. Jak smolna pochodnia płonęło drewniane domostwo... Trzeszczały belki, krokwie i łaty; rozpadał się dach, podnosząc fontanny iskier, I wnet się ogień na oborę i na stodołę przerzucił, a stodoła była pełna niedawno zżętego, doskonale

wysuszonego zboża... Płomienie wznosiły się coraz wyżej, rozciągały się coraz szerzej; baby, dzieci zawodziły w niebogłose; z płonącej obory rozlegał się rozpaczliwy, przerażający ryk krów, które żywcem spalić się miały...

Gospodarza w domu nie było: powlókł się ze swoją kobietą na jarmark, małego dzieciaka zostawiwszy samego. Dzieciak zapałki w izbie znalazł i poszedł się z nimi bawić koło chlewika... Zapalił jedną, drugą, płomień buchnął, dzieciak przerażony uciekł w pole, a sucha słoma i drzewo płonęły bez przeszkody.

I buchnął dym na całą wieś, zabudowaną, zwyczajnie jak wieś, przy drodze, w jednej linii, chałupa prawie przy chałupie, stodoła przy stodole..

Potrącili ludzie głowy, nie wiedzieli sami, co pierw ratować, jak ratować i czym ratować. Wynosili graty z domów, worki ze zbożem, skrzynki z przyodziewkami, zapasy jakie kto miał, wynosili na wieś, na pole; wypędzali bydło z obór, konie ze stajen. Tu i owdzie gospodarz z synami na dach, się wdrapał i mokremi szmatami iskry padające gasił... Ale co to pomoże! Jedną iskrę stłumisz, drugą, dziesiątą—a tu leci setna i tysięczna...

Wiatr się rozhulał, niewiadomo skąd przyszedł i szarpie się z płomieniem, i mocuje z nim i tarłosi, zakręci się, aż zawyje, dmuchnie, porwie płonącej słomy snop, targnie nim i już nie iskry, ale deszcz iskier ognisty, straszny deszcz niesie na drugie budowle, na dachy... Płomienie syczą, gną się, kłębią, wykręcają w różne strony, jak węże.

czepiają się płotów, żórawi studziennych, wszystkiego. I nie obronić się przed nimi, nie uniknąć klęski.

Woda w sadzawce tuż za wsią jest; noszą z niej po trochu konewkami, ale cóż to znaczy. Wody konewka, a ognia jezioro!

Z dachu na dach, ze strzechy na strzechę płomień przeskakuje, pali, niszczy, pochłania... Skwierczy w nim młoda topola koło domu, kurczy się żywcem, palona wisienka, czernieją malwy, co je sobie dziewczęta dla uciechy koło domów zasiały. Dym się rozpościera ostry, gryzący i gęsty. Duszi za gardło, szczypie oczy, oddech tamuje...

Ludzie jęczą i płaczą, widząc stratę taką i zniszczenie, a pewnikiem cała wieś zgorzeje, bo wiatr tak się nieszczęśliwie obrócił, że wprost na zabudowania ogień niesie...

Już z tej pierwszej chałupy, z której pożar się zaczął, tylko okopcony komin został i kupa węgla dymiących... Na miejscu, gdzie stodółka była i obora, zczerniałe szczątki słomy i drzewa, a wśród nich zwęglone bydłota... Płot leży już na ziemi i żarzy się, czerwienieje, niby długa, krasna wstążka.

sąsiednia chałupa też zgorzała, i trzecia i czwarta, i piąta i sołtysowe obejście, nowe całkiem, zbudowane niedawno.

Wójt przyjechał, z innych wsi ludzie nadbiegli, z sąsiednich dworów na ratunek dwie sikawki przywieźli.

Ratunek! Roześmiać się gorzko... Jakież tu ratunek być może? Kto da radę szalejącym płomieniom, kto poskromi wiatr, snopami iskier miotający? Gdzież taki jest? Ach, tam wysoko... Może usłyszysz

wołanie nieszczęśliwych: „Panie ratuj!” —może ulituje się nad nimi.

Tymczasem ogień się wzmaga, wichura szaleje, dom za domem pada, z całej wsi ledwie dziesięć chałup zostało.

Jan i Piotr, ratowaniem dobytku swego zajęci, wmieszali się w gromadę ludzi, biegających w te i w tę stronę, bezładnie, nieprzytomnych, nie wiedzących co czynią. Jankiel karczmarz drżącymi rękami graty swoje wyrzucał i znów do karczmy je wnosił, biegał, krzyczał, za brodę się targał z rozpaczy...

Naraz, wśród ogólnego lamentu, rozległ się okrzyk tak pełen zgrozy i rozpaczy, że aż wszyscy umilkli i obejrzeli się z trwogą.

Przez wieś do chaty, którą płomienie już objęły i na której dach gorzał jak pochodnia, biegła kobieta usmolona, z pokrwawionymi rękami, wyciągniętymi przed siebie, a biegła tak szybko, jakby stopami ziemi nie dotykała; z piersi jej dobywał się przeraźliwy okrzyk:

— Jaś! Jaś!!!

Ona od samego początku pożaru ratowała swoje biedne gospodarstwo; ratowała sama, bo męża jej akurat w tej chwili nieszczęścia w domu nie było, a z sąsiadów każdy niedolą swoją był zajęty. Tchu jej w piersiach brakło, pot oczy zalewał w tym pośpiechu gorączkowym, szalonym.

Pokrwawiła re ce, poszarpała ubranie przy tem dźwiganiu i wynoszeniu, twarz jej poczerniała od potu i dymu... Moznaby sądzić, że to nie młoda, od dwóch lat zaledwie na swoim gospodarstwie osiadła kobieta, lecz

jakaś wiedźma z bajki. Wyniosła wszystko, co do wyniesienia było, na pole, w miejsce bezpieczne, poukładała i stanęła na straży, żeby jej tego majątku kto nie ukradł, bo tam były drogie rzeczy: skrzynka zielona na kółkach, kilka kożuchów, czapek, sukman, siekiery dwie, kosa, garnków i misek trochę, motyka jedna i druga, niecka, stół, łóżko, pościel, worki. Wszystko to wydźwigała, wyniosła, ocaliła i, uspokojona trochę, starała się zebrać myśli i przypomnieć sobie, czy nie zostało co jeszcze w domu... Naraz chwyciła się za głowę i wydała przeraźliwy okrzyk: — Jaś! Zdawało jej się niebodze, że zapomniała o dziecku, że je w kolebce uśpione w chacie zastawiła, a ta chata już płonie, już zasypały ją iskry, już ją czerwonymi językami liżą płomienie. Biednej kobiecie całkiem w głowie się zmąciło. Zapomniała, że pierwszym przedmiotem, który wyniosła z domu, była właśnie kołyska z dzieckiem; zapomniała że ta kołyska stoi tuż koło niej wśród rozmaitych rupieci, że dziecko śpi, przykryte ojcowską sukmaną. Wszystko to wyszło jej z pamięci... krzyknęła, pociemniało jej w oczach i pedem szalonym pobiegła ku płonącemu domowi. Ludzie rozstępowali się przed nią, takie miała oczy straszne, takie przerażenie na twarzy. Nikt jej nie zatrzymywał, bo nie wiedzieć po co tak biegnie, jak szalona, czego chce. Wpadła jak piorun do gorejącego domostwa, a wtenczas jeden

okrzyk przerażenia wyrwał się z piersi wszystkich co na to patrzyli.

— Spali się!

— Zginęła!

Trwało to kilka sekund, a kiedy wybiegła z izby, to wyglądała jak słup gorejący: ubranie paliło się na niej...

O kilkanaście kroków od domu była sadzawka. Wiedziona jakimś instynktem, kobieta rzuciła się w wodę.

Wydobyli ją stamtąd bezprzytomną i złożyli na brzegu tak, jak zwykle składa się topieleców i innych, niezwykłą śmiercią ze świata zeszyłych.

Przyjdzie sołtys, wartę postawi, potem sąd zjedzie, śledztwo zrobią, pochowają i już.

— Szkoda chłopca, bo dobrą żonę stracił; szkoda dziecka, co się sierotą zostało..,

Na ogień przyszedł nareszcie ratunek z nieba. Deszcz lunął obfity i zagasił płonące domostwa, ze zgliszczy buchała para i dym biały, ciężki, włókł się po ziemi.

Większe pół wsi zgorzało; ludzie z załamaniem rękami chodzili, lub wydobywali z pogorzeliska obgorzałe belki, kawałki żelaza, szczątki różne. Przy zwłokach kobiety sołtys wartę chciał postawić, ale gdy pochylił się nad trupem, aby chrześcijańskim obyczajem oczy mu zamknąć, odskoczył przerażony. Mniemany trup westchnął i ręką poruszył.

Do spalonej wioski przyjechało pod wieczór kilku dobrych ludzi z sąsiedztwa. Jeden przywiózł chleba, drugi zboża, tzeci pieniędzy cokolwiek.

Zakrzęmeli się, ażeby biednym ludziom chociaż na razie dopomóc. i proboszcz też przybył. Pocieszał i przeciw woli Hożej szemrać zakazywał, a do ufności w miłosierdzie zachęcał. Do nieszczęsnej poparzonej poszedł, doktora wnet kazał dla niej sprowadzić.

Uspokajał ludzi, pocieszał, do poddania się woli Niebios zachęcał. I schylili ludzie głowy w pokorze, a nazajutrz po nieszczęściu do odbudowywania się wzięli. Skrzypiały wozy pod ciężarem sosen, zgrzytały piły traczów, stuk siekier rozlegał się po wiosce. Niezadługo na

miejscu spalonych chałup błyszcząły świeże zręby, bieliły się nowe ze świeżej słomy poszycia. Na wiosnę już ani śladów pogorzeli nie zostało; ludzie szli na pole z pługami, z bronami; rozpoczynały się siewy i praca. Ten i ów jęczał że mu ciężko, że nie prędko stracony dorobek odzyska, ale tem gorliwiej brał się do roboty, tem pilniej do roli chodził i rzucał w nią ziarno, z otuchą, że plon bogaty zbierze.

Wieczorem, przy święcie, Jan z Piotrem do karczmy wstąpili—i jeden i drugi za kołnierz wylać nie lubił, a że i kumostwo i sąsiedztwo blizkie i przyjaźń ich łączyła, więc też sobie honory świadczyli nawzajem.

Jankiel beczek i flaszek pilnował, o mądrych rzeczach rozmyślał, rachunki podwójną kredką zapisywał... O ogniu we wsi, o strachu swoim dawno już zapomniał, a nawet, co prawda, i rad był z wypadku, bo przy odbudowie ruch większy był we wsi, robotników dosyć, więc i gorzałka więcej odchodziła, niż zazwyczaj.

Gdy Piotr z Janem do karczmy wchodzili, minęła ich młoda kobieta z dzieckiem na ręku. Ruchy miała zwawe, twarz uśmiechniętą, a gdy pozdrowiła sąsiadów, to błysnęła zębami jak mleko białymi.

— Niech będzie pochwalony—rzekła.

— Na wieki—odpowiedział Piotr;—jak się miewacie, Wałkowa?

— Chwalić Koga, nieźle.

— Nie dolega wam już nic?

— Co ma dolegać! A choćby, to na stękanie niema czasu, a tu i tego małego raka, póki o swei sile nie pójdzie, trzeba nosić...

Rzekłszy to, poszła dalej ku domostwu swojemu.

— Janierzekł Piotr,— pamiętacie wy, cośmy to na jesieni gadali o duszy, jak mocno siedzi w człowieku?

— Dyc pamiętam, i to pamiętam, że Jankiel słuchać nie mógł i aż przed izbę wyszedł, bo go het zemdliło, jakieście o tym przebitym chłopie wspominali. I akurat po tej rozmowie we wsi ogień buchnął—ten straszny.



— Aha... właśnie mówiliście, że w chłopie dusza mocno siedzi, a w babie ledwie że ledwie.  
— Bo i tak czasem bywa...  
— A ot, Wałkowa!... Poparzyła się tak ciężko, mało nie utonęła w wodzie, za trupa ludzie już ją mieli, wartę koło niej stawiali... i przecie żyje. Coś ze sześć tygodni jak martwa leżała, skóra z niej i ciało kawałkami odpadały — a dziś kobieta jak łania...  
— Gospodyni zawzięta.

— Mocno w niej dusza siedzi, choć babska dusza...  
— Macie rację, kumie... babska, ale krzepka. Jankiel ramionami wzruszył.  
— Słuchajcie, moi kochani—rzekł—ja wam co powiem: nie gadajcie wy już lepiej o tych duszach, bo, broń Boże, może się zrobić fajer, jak wtenczas, na jesieni.

Obywatel z tamki.  
(OBRAZEK Z BRUKU.)

Krakowskie Przedmieście jest piękne, Marszałkowska wspaniała, Piae Teatralny importujący, ale takiej ulicy, jak nasza Tamka, nie tylko w Warszawie, ale w całej Europie, a może i na całej kuli ziemskiej, nie znajdziesz. Możesz dowodzić, że jestem w błędzie, ale to bynajmniej mego przekonania nie zmieni. Malowniczość jej położenia, nierówność, różnorodność budowli nadają jej charakter szczególny i urok niesłychany. Tak mówił pan Telesfor Ziółko, stary dziwak, od lat nie wiem ilu zamieszkały na Tamce.

— Bo to widzisz, kochany przyjacielu—ciągnął dalej,— sama spadzistość Tamki ma stronę nie tylko poetyczną, ale i moralną, praktyczną. Krzewi ona wstrzeźliwość i cnoty rodzinne, zapobiega marnotrawstwu i wszelkim występkom, z tego źródła płynącym.

— Ulica?!...

— A ma się rozumieć. Otwierasz oczy szeroko i dziwisz się, bo masz krótki wzrok, a myślą nie sięgasz daleko. Wyobraź sobie, że masz żonę i kilkoro dzieci.

— Wcale nie mam, panie Telesforze.

— I ja także nie mam, ale to nic nie szkodzi; wyobraź sobie i miej w imaginacji.

— Ano, już mam...

— To bardzo ślicznie z twojej strony... Wyobraź sobie dalej, że pracujesz w jakimś biurze, kantorze, banku...

— Jeszcze gorzej... w redakcji...

— do tego można się przyzwyczaić z czasem. Ale idźmy dalej. Twoje biuro jest w środku miasta. Otrzymałeś pensję i powracasz do domu. Po spadzistości ulicy nie idziesz, nie biegniesz, ale toczysz się jak kula i nie zatrzymasz się, aż przy ognisku domowym, na łonie rodziny, obok najdroższej małżonki i kochanych dzieci. Przywitałeś żoneczkę, oddałeś

jej pensye, zjadłeś obiad—i spokojny, zadowolony, przespałeś się godzinę. Wszak prawda?

— W imaginacyi.

— Ma się rozmieć!.. Wieczorem zaczyna cię lichy kusić.

— No?...

— A olo poszedłbyś z przyjaciółmi do ogródka na piwo, straciłbyś parę groszy, a może i parę rubli.

— Zdarza się to...

— A widzisz. Na Tamce zaś, gdy sobie pomyślisz, jak ciężko windować się pod górę —mach

niesz ręką i zostaniesz w domu, albo też zabierzesz żonę i pójdziesz na umiarkowaną przechadzkę, w dół do Solea, na wybrzeże Wisły. Tam takie śliczne widoki!... Jak para zadumanych kochanków gapicie się na wodę, co się bezustannie przelewa, na berlinki, łodzie, łobuzów wybierających piasek, na rybaków nawet, co cierpliwie nad wodą z podrywkami siedzą. Ślicznie tam jest! Z przeciwnego brzegu uśmiecha się Praga, wał, Saska Kępa, wielki błękit nieba, wielki szmat zieleni, a pośród niego wielka wstęga wody, z której tu i owdzie wychylają się niekiedy żółte łany piasku. Patrzysz, patrzysz i napatrzeć się nie możesz. Zona trąca cię delikatnie, mówi że już dość... Wracacie do domu. Zjadłeś kolację, poszedłeś spać wcześniej, jak Bóg przykazał, a nazajutrz rano, windując się w górę do pracy, rozmyślasz nad tem, jak droga obowiązku jest ciężka, jak się trzeba zasapać i dobrze napocić, zanim ona do upragnionego celu doprowadzi. Taki to jest moralny charakter naszej ulicy. Śmiało moge powiedzieć „naszej,” bom się z nią zżył, bo od wielu lat jej turkot budzi mnie ze snu, bo nie opuszczę jej nigdy, choćby mi nawet kto najpiękniejszy pałac w Alejach Ujazdowskich ofiarował.

— Cóż pana tak przyciągnęło do Tamki?

— Co o tem mówić!—odrzekł, ręką machnąwszy—to dawne dzieje... Piękna jest ulica i dość na tem. Co za malowniczość, jakie położenie!

Wygląda ona niby dno górskiego potoku, wpadającego do rzeki... Nie wznoszą się przy niej zwyczajne, wielkie, jak pod sznur wyciągnięte kamienice, bliźniaczo podobne do siebie, lecz tu ją zdobi nizki

domek drewniany, tam parkan zczerniały, a owdzie wielkie domisko, intruz, niby z Nowego Świata przypadkiem tu zabłąkane. A owe wielkie schody na Ordynacką, to nic? A gmach Instytutu na wysokiej górze, to nic? A zakład Śgo Kazimierza, to nic? A te domy, domki, małe, krzywe, pochylone, z oknami przy ziemi, te sklepy i sklepiki, dziwaczne szyldy nad nimi i tunele. Ale albo ty wiesz, co to jest tunel?

— Wiem, jest to otwór przebity w skale, przez który przechodzą pociągi drogi żelaznej ..

— Pleciesz...

— A jednak...

— Zapewne, ale u nas na Tamce tunel znaczy zupełnie co innego. To jest, uważasz, taka sobie bezpretensjonalna knajpa w piwnicy, a grzeczniej mówiąc, w suterenie. Bardzo miłe i wygodne miejsce do odpoczynku. W zimie tam ciepło, w lecie chłodno. Otoż właśnie tunel, wejdźmy tam, zobaczysz...

Wchodziło się po kilkunastu schodkach.

W pierwszej izbie był bufet, zastawiony kieliszkami, flaszkami i przekąskami na zimno, w drugiej kilka stołów i stołków, w trzeciej bilard stary jak świat, zniszczony, pokryty suknem wypłowiałym, w wielu miejscach cerowanem niezgrabnie.

Za bufetem siedziała jejmość okazałych kształtów, która, ujrawszy pana Telesfora, podniosła się i z uśmiechem bardzo uprzejmym rzekła:

— Co się stało? Pan Telesfor dziś się spóźnił o całe pół godziny, a właśnie tylko ro świeży antałek kazałam nastawić.

Zagawędziłem się z tym oto młodzieńcem, moja najśliczniejsza pani.

— Zawsze się pana Telesfora psie figle trzymają... Zamiast się oto żenić jak porządny człowiek, pan tylko kobietom głowy zawraca. I komu to świat durzyć?!

— Alboż nie kawaler jestem, hę?

— Jak zwietrzałe piwo... Od iluż lat to samo słyszę

— I do śmierci będziesz pani słyszała. Nie jestem waryat, żebym się miał żenić.

— Proszę! Alboż to mój nieboszczyk mąż był waryat? Albo mu to źle było, że się ożenił? Nie miał to wszelkiej wygody? Nie chodził sobie czysto jak laleczka? Nie dogadzałam mu w jedzeniu, nie pielęgnowałam w chorobie? Nie pochowałam przystojnie, gdy umarł?... W niebie mu lepiej nie będzie. Ja tu harowałam, ja pracowałam i przy bufecie i w kuchni, ja się ogryzałam z dziewczynami, ja pilnowałam gości, żeby nie uciekali nie zapłaciwszy, a on—świeć Panie nad jego duszą—niedołęga, co? Siedział sobie spokojnie, jadł, pił i używał. Pamięta pan Telesfor przecie, że kiedy się ze mną żenił, wyglądał jak śledź wędzony, a potem rozbuchał się i rozpał tak, że kto na niego spojrzał, to myślał że jakiego znacznego rzeźnika ogląda.

— Pani też wdzięków nie brakuje...

— Co to, to nie... Pan myśli, że jestem okropnie korpulentna? To się tylko tak zdaje. Przy robocie, a jeszcze latem, trudnoż się tłokować

i w gorsetach ścisnąć... Człowiek się luźno ubiera, żeby miał ruch swobodny.

Mówiąc to, obciągała na sobie kaftanik, chcąc dowodnie przekonać, że jest zgrabna i szczupła.

Pan Telesfor się śmiał.

— No—rzekł—nie sprzeczam się zresztą; figurka jest, bo jest—zawsze powiadam, że bardziej ładnej kobiety jak pani, na Tamce niema...

— Akurat! O Malinowskiej to już pan Telesfor zapomniał.

— Ja? Wcale... chowaj Boże... ani mi się śniło...

— Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi, mój panie...

— Co mają wiedzieć, już dwadzieścia lat temu...

Wejście kilku rzemieślników przerwało rozmowę. Gospodyni zaczęła nalewać kieliszki, pan Telesfor trącił mię w ramię.

— Nie w humorze dziś baba—rzekł.—Chodźmy do drugiej stancyi.

Usiedliśmy przy stoliku. Dziewczyna, ubrana pretensjonalnie, śmiejąca się bez ustanku i bez żadnego powodu, przyniosła nam piwa.

Gości przybywało coraz więcej, gwar się wzmagął, na starym bilardzie łomotały poszczerbione bile, dym z papierosów jak obłok unosił się pod sufitem.

Pan Telesfor siedział zadumany i mileżał. Nie mogłem się domyśleć, z jakiego powodu stracił humor tak nagle.

— Panie—rzekłem, chcąc go na rozmowę wyciągnąć—ten tunel, to bardzo porządna instytucja.

— Spodziewam się!... Nawet na pryncypalnych ulicach niema takich zakładów.

— No, zapewne... są dużo lepsze. Wzruszył ramionami.

— Głupstwo — odrzekł. — Lepsze albo nie lepsze. Może więcej w nich blagi, błyskotliwości, ale w gruncie rzeczy wszystko jedno. I tu i tam piwo, przekąski, bilard—a u nas taniej. Zakład to nie dla utracyszów, chcących pieniądze trwonić, lecz dla ludzi żądnych posiłku i ochłodzenia się, lub rozrywki; piwo tu pyszne, z przyjemnością można wypić jeden, drugi, a nawet trzeci i czwarty kufelek...

— Panie Telesforze—zapytałem, gdy już towarzysz mój po kilku kufelkach lepszego humoru nabrał, — powiedz mi pan, kto jest ta Malinowska, o której gospodyni wspominała.

— Niepotrzebna ciekawość — odburknął nie chętnie.—Malinowska jest sobie Malinowska.

— Domyśliłem się od razu... I zapewne córka starego Malinowskiego?...

— Wcale nic córka...

— A więc żona?

— Zona... żona, a jakże...

— Czy także mieszka na Tamce?

— Wszystkie piękne kobiety mieszkają na Tamce, bo to już taka ulica szczęśliwa.

— A jednak pan nie mogłeś znaleźć szczęścia.

— Albo nie mogłem, albo mogłem; moiem chciałem, a mozem nie chciałem. Co komu do tego? Malinowska jest Malinowska, a ja jestem ja. Ona

ma męża, ma dzieci, a ja nic mam żony, nie mam dzieci... i pomimo tego żyję...

— Smutne takie życie—zauważyłem.

— Może smutne, może i nie, ale dość głupie. Pracujesz, zabiegasz, zbierasz... dla kogo? po co? Trzeba ci wiedzieć, kochany panie, że ja biedny nie jestem i nie byłem. Po matce mam domek drewniany, ale intratny, bo i szynk i sklepik w nim jest, i mieszkania i warsztat w podwórku. Po ciotce spadło na mnie trochę pieniędzy, przytem sani fachowy jestem. Dopiero przed kilkoma laty zwinąłem warsztat ślusarski, bo już mi było trochę ciężko i zresztą nie potrzebuję. Gotówką obracam jak mogę i umiem, aby tylko grosz darmo nie leżał. Zresztą albo mi to dużo potrzeba? Mam gdzie mieszkać, co jeść, przyodziewku do śmierci nie zedrę

a na cygaro i na kufelek piwa niewielki wydatek... „Kuryera” ma się rozumieć trzymam, książki z czytelnicy biorę i basta. Znają mnie tu wszyscy; w każdym prawie domu mam chrzestne dzieci. Ludzie bo widzisz proszą, a odmówić takiej chrześcijańskiej posługi nie wypada. Malinowskiemu najmłodszego też do chrztu trzymałem. Ładny dzieciak, teraz już podrósł, jest w terminie u powroźnika... Ładny chłopiec!...

— Zapewne! Dużo też mają dzieci?

— Malinowscy?

— Tak.

— Czworo. Eh! widzę, że za język mnie ciągniesz. Zaciekała cię baba... Ha! skoro koniecznie chcesz, to opowiem, ale ciekawego nic tam nie będzie. Proste to, zwyczajne rzeczy. Było temu

lat dwadzieścia, może więcej, bo już nic pamiętam dokładnie.

Siedzieliśmy przy tym samym stoliku; jeden obywatel z Tamki, jeden kotlarz i ja... Jeszcze ten tunel nie należał do dzisiejszej gospodyni.

Niemiec go trzymał jakiś, ale porządny Niemiec, nie taki kartoflarz, jak inni. Piwo miał pyszne, po osiem groszy kufel, że zaś je warto pić było, siedzieliśmy tedy i gawędzili, a na bilardzie grali w drugiej stancyi. Grali to grali, na to jest knajpa. Naraz zrobił się krzyk, kłótnia... Zajrzeliśmy z ciekawości, a Michalak, stolarz, z jakimś elegantem sprzeczkę miał.

Zamierza się na niego kijem. Awantura!... A u Michalaka tego nie kupić, bo miał strasznie prędki charakter. Lada o co zaraz bójka. Tymczasem tamten galancik, niepozorny jakiś chłopaczyna, chuchro, jak się odsądzi, jak go pchnie... Panie święty!... Michalak ledwie zdąży! krzyknąć: Jezus Marya!—i trup.

— Trup?...

— Od razu! Żeby choć zipnął, żeby okiem mrugną!!... Uderzy! głową o róg bilardu, kość pękła, krew bryznęła i po wszystkim... Ma się rozumieć: gwatt! Sprowadzili policję, doktora, zamknęli tunel... było śledztwo, a tymczasem biedny Michalak legi sobie na Powązkach. Zostaia



po nim wdowa i troje dzieci. Bieda, że siekierą nie urąb... Z dzieci najstarsza była Józia, dziewczyna piętnastu lat, prócz niej dwóch chłopców. Na początek zebrało się na tę biedę składkę, ale po opłaceniu pogrzebu niewiele co zostało, a ludzie, jak to ludzie, z początku, póki im jeszcze ten wypadek okropny stał w pamięci, to byli dość chętni ku

pomocy, ale potem!... Co ich obchodziło, czy wdowa wychowa dzieci i czy z głodu nie zmarnieje? Małoż to biedy w Warszawie? Mnie jednak żal ich było... Patrzyłem na śmierć tego biedaka własnymi oczami... a ta Józia... śliczna była, powiadam ci, kochany panie, krew z mlekiem... — Domyślam się...

.— Niewielka sztuka!... Ja byłem wtedy o dwadzieścia lat młodszy, kawaler jako i dziś jestem, nie biedny, pomyślałem tedy: niech co chce będzie, wychowam sobie żonę po swojemu, dla siebie, będę miał przyjaciółkę, wychowanicę, wdzięczną za to, com dla niej uczynił...

— Zawiodła?...

— Czekajże pan. Umyśliłem to zrobić porządnie, uczciwie, po gospodarsku. Poszedłem do wdowy i powiadam wprost, co myślę: dopomogę pani, chłopców ulokuję, szczerzyć na nic nie będę, a za to Józia za dwa, trzy lata będzie moja... żona, ma się rozumieć. Co moje, to i jej; majątku do grobu nie wezmę, ani go za życia nie przepiję. Stary jeszcze nie jestem, będę dla niej mężem kochającym, dobrym, a jeżeli ona również mnie uszanuje, to jej nic na tym świecie nie zabraknie... Zdaje się, że źle nie postąpiłem?...

— Owszem... ale jakże wdowa?...

— A panie! wdowa mi do nóg, Józia mnie ucałowała po rękach, a po całej Tamce, na Soleu, na Furmańskiej nawet gawędy takie, że aż się mury trzęsły. Józci zazdrościli, a ze mnie się śmieli do rozpuku.

— Cóż śmiesznego?

— No, zawsze: obywatel, właściciel domu bierze biedną sierotę, nie mającą nic, nawet na owinięcie palca, i w dodatku, zanim ją weźmie, jeszcze i na nią i na całą rodzinę łoży. Śmieli się i gniewali, bo niejedna matka oddałaby mi z chęcią była córkę, z posagiem nawet... Na co daleko szukać?... Ta oto gospodyni też chciała za mnie wyjść i do dziś dnia zapomnieć mi tego nie może. A trzeba wiedzieć, że była swego czasu panna przystojna co się zowie i nie biedna. Żeby nie Józia, kto wie, możebym się by! z nią ożenił, ale przez tę dziewczynę nie ożeniłem się i nie ożenię już nigdy.

— Uważasz pan, że za późno?...

— Nie warto!... Dość, że urządziłem dla nich wszystko jak najlepiej; dałem mieszkanie we własnym domu, na utrzymanie fundusz, chłopców umieściłem u majstrów, do Józii — ma się rozumieć na mój koszt— przychodziła jedna pani, niegdyś guwernantka, światła kobieta, co jak zaczęła po francusku pyłować, to jej sam dyabeł nie rozumiał... Chciałem żeby dziewczyna miała ogładę i naukę, jak na obywatelską żonę przystoi. Wołałem dłużej trochę czekać na ślub, byle dziewczyna korzystała.

— A robiła też postępy?...

— Spodziewam się. Zdatna była do wszystkiego. Ja przychodziłem do nich czasem, ale nie codzień, nawet nie co tydzień. Chodziło mi o plotki, o ludzkie języki. Na co mają gadać na porządną dziewczynę?... Swoją drogą i tak gadali.

Pan Telesfor umilkł, kazał podać świeży kufel, wychylił go i, westchnąwszy głęboko, rzekł;

— No, teraz już wiesz pan, kto jest Malinowska?

— Skąd? Mówiłeś pan przecie o sierocie...

— Prawda, ale że cała Tamka o tem wie, myślałem że i tobie, kochany panie, mógł ktoś coś szepnąć. Otoż, uważasz pan, naznaczyliśmy dzień ślubu; dwa miesiące tylko brakowało. Jednego dnia chciałem uciechę Józii zrobić, pojechaliśmy całą kompanią na Kępę. Od Solea przewoźnik na krypę nas zabrał i niedługo znaleźliśmy się między drzewami w chłodzie. Nie żałowałem grosza, chciałem gości swoich ufetować. Niechby pamiętali, zem był szczęśliwy. Po dobrym podwieczorku rozbiegło się to wszystko po łące, bawiło w chowanego, goniło — a ja pilnowałem bufetu i zamawiałem kolację. Pragnąłem żeby jedzenie było porządne, żeby się goście uraczyli. Rozmawiam tedy z restauratorem, a tu przychodzi panna Marta, ta sama oto gospodyni, co u niej siedzimy, i powiada: — „Panie Telesforze, wszyscy się bawią, a pan nie? Chodź pan ze mną, pokażę panu coś... ślicznego ptaszka, tylko trzeba iść ostrożnie, po cichutku, bo ptaszek płochliwy. Złęknie się, frunie i już go we sto koni nie dogoni!...” Tak to jakoś dziwnie mówiła, aż mróz po skórze mi przeszedł, a takie miała przy tem spojrzenie złe... Poszedłem... Wzięła mnie pod rękę, przymila się i szepce: „Tylko pan sobie do serca bardzo nie bierz... Takiego człowieka jak pan niejedna pokocha... O, przypatrzno się pan tu, z za tego krzaka... Ładny widok? co?” Panie! myślałem, że mnie paraliż ruszy, albo apopleksya zabije!... Taka podłość!...

— Co?...

— Ha!... Józia, ta, co za dwa miesiące miała być moją żoną, całuje się z jakimś młodzikiem. Ryknąłem takim głosem, że się wszyscy zbiegli, ją Chwyciłem za rękę, jego za kołnierz... chciałem zabić oboje. Oderwali mnie przemocą... Zacząłem płakać, jak małe dziecko...

— A ona?...

— Nic!... żeby się choć tłumaczyła!... Powiada po prostu: „nie chcę pana, boś stary i brzydki, tamtego kochani—i dość.” Matka w lament:

perswaduje, powiada że to się przemieni, że tak, że owak, nie chciałem już słuchać... Zapłaciłem co się należało i przyjechałem do domu.

— Któż był pański rywal?...

— Kto?...—odrzekł, ręką machnąwszy—szklarz golec, biedak, tyle tylko że gładki. Za tydzień przyszła do mnie matka z lamentem, z płaczem. Nic miałem chęci z nią mówić... Co dałem, to sobie pani trzymaj, nie odbieram, mieszkanie od kwartału wymawiam, a Józia niech sobie idzie za Malinowskiego, kiedy jej się tak podobał. Ja już do tego nic nie mam i mieć nie chcę. Matka mi do nóg.

— Cóż znowu?...

— O! nie dlatego, żeby mnie chciała przebłagać, ale o radę, o pomoc prosić. Wyobraźże pan sobie, że szklarz żenić się nie chce.

— Z Józią?

— A tak... Powiada: nie i nie. Znajdę sobie z majątkiem. A! za pozwoleniem! Wdałem się w to. Poszedłem do niego i powiadam: słuchajno,

smyku, mam sześciu czeladników i trzech chłopców a sam też coś znaczę. Jeżeli od dziś za trzy tygodnie nie ożenisz się z Józią, przyjdziemy tu wszyscy i stłuczemy cię na leśne jabłko, po slusarsku.. On zaczyna się wykrecać; a to, powiada, funduszu nie mam, a to to, a to owo. O fundusz, mówię, to moja głowa, a ty, jeżeli ci kości mile,żeń się.

— ożenił się?...

— Niechby spróbował nie ożenić się, poznałby ślusarskie pięście!...

— Byłeś pan na ślubie?

— Nie mogłem. Czeladników posiałem, żeby byli świadkami... a później przez dobrego znajomego posłałem pieniędzy, dopomogłem. Nie chciałem już ich więcej znać... No, teraz wiesz pan, kto jest Malinowska?... pani Malinowska!...

— Mówiłeś pan, żeś im najmłodszego syna trzymał do chrztu?

— Cóż miałem robić? Z początku, zaraz po tym wypadku, zamknąłem się w domu, nie wychodziłem prawie na ulicę. Sprowadzałem książki z czytelnicy i czytywałem dniami całymi. W jakiś czas później spotkałem ją na ulicy.

— Józie?...

— A tak. Mizerna była biedaczka, chora. Jakże nic zapytać, nie dopomódz? Żałowała swojej lekkomyślności, ale cóż, już się nie wróci. Czasem ich odwiedzam, na tej samej ulicy mieszkają, na Tamce. Chodźmy stąd, duszno mi jakoś...

Przy bufecie gospodyni zapytała:

— już? Tak wcześnie? Dokądże pan Telesfor śpieszy?

— Przejdę się...

— Wiem, wiem, panu tylko jedna droga, koło tego domku, co ma okiennice zielone...

— Ej! nie wydziwiaj pani, bo się rozgniewam.

— Tak jak na Malinowską?...

— Niemożliwa baba—szepnął do mnie. Wyszliśmy na ulicę. Wozy z turkotem pędziły w dół, ludzie biegli po spadzistości.

— Śliczna ulica—mówił do mnie pan Telesfor,— śliczna ulica. W świecie takiej poszukać! Oto widzisz pan, ten drewniany domek na prawo jest mój, a tu, gdzie okiennice zielone, Malinowscy mieszkają. Za nic w świecie nie wyprowadziłbym się stąd.

## SEN NA KWIATACH, SZKIC.

Słońce jaśniało w całym blasku; na polach lalowały zboża, na łąkach krzątało się pełno \_l ludzi. Brzęk kos, dźwięki pieśni, donośne okrzyki lub śmiechy wesołe napępniały powietrze. Droga od miasteczka szedł Mosiek Pomeranz a snać gorąco mu było, bo zdjął z siebie kapotę przewiesił ją przez ramię i kroczył w lekkim stroju domowym, złożonym z nankinów, koszuli i kamizelki, z pod której widać było rąbek szaty białej z czarnymi szlakami, opatrzonej pęczkami długich nitek. Tak zwykle prezentował się Mojsie przy ognisku domowym, zwłaszcza gdy na kominie się paliło, w takim też stroju przechadzał się przed domem podczas gorących letnich wieczorów.

Mógł sobie Mojsie z całą swobodą i w podróży dzisiejszej na negliż pozwolić, gdyż droga była pusta, mało uczęszczana. Osoby żadne po niej nie przechodziły — co najwyżej chłopci, którzy przy

robocie i gorącu także nie występują we frakach i w białych krawatach. Damy zajęte grabieniem siana znajdowały się w tak znacznej odległości od drogi, że choćby się nawet zarumieniły, Mojsie nie mógłby tego dostrzedz, a skoro nie mógł dostrzedz, to i nie mógł wiedzieć, że jego kostium zwraca uwagę. Nieświadomość w tym razie, jak i w wielu innych, grzechu nie czyni.

Zresztą ta kwestya umysłu Mojsia wcale nie zajmowała. Co mu do dam, do ich rumieńców, wreszcie do kostiumów, które przy grabieniu siana na niskich i wilgotnych łąkach także nie są ściśle zastosowane do mody?

Mojsie nie krawiec, żeby go moda miała interesować.

Dzięki niebu, nie trudni się on ordynaryjnym rzemiosłem, lecz oddaje się zajęciom o wiele delikatniejszym. Trochę czyta, trochę myśli, trochę handluje. Dotychczas nie wymyślił jeszcze nic takiego, czegoby ludzie już nie wymyślili, nie wyczytał, czegoby przed nim już nie wyczytano, ani nie zrobił majątku na handlu, jak inni — ale to nic... Mojsie żyje i nie traci nadziei, że jeszcze kiedyś, kiedyś zostanie wielkim bogaczem. Dlaczego nie? Teraz ma dopiero czterdzieści lat życia, to znaczy że przehandlował mniej więcej połowę swoich dni. Może druga połowa da się sprzedać drożej, bo, jak wiadomo, czas płaci, czas traci. Nieraz, po kilka lat z rzędu, żyto bywa za bezcen, nagle, ni stąd ni zowąd tak w górę podskoczy, że najwięksi ekonomiści chwytają się za pejsy z rozpaczą, że podobnego obrotu przewidzieć i zarobić na nim nie mogli.

Dlaczego nie? Już się nawet na to zanosi, B dzisiejsza podróż Mojsia ma z tem ścisły związek; bo i to wiedzieć trzeba, że Mojsie nie idzie z próżnymi rękami, on coś niesie.

Chociaż rzecz ta dała się schować w malej kieszeni kamizelki, jest ona jednak duża, bardzo duża...

Cóż to za rzecz?

Na pozór tyle co nic. Kawalek szarego papieru, a na nim dziesięć wierszy korespondencyi. Krótko mówiąc: list... ale jaki list!

To cała historia! Należy ją opowiedzieć w krótkości, może ona się bowiem przydać autorowi biografii Moska Pomeranza.

Mojsie jest człowiek biedny, można powiedzieć nawet że lapserdak, ale z porządnej familii. Ma on krewnych prawdziwych „more morajne,” kupców takich, którzy obracają tysiącami, często jadają mięso, a jak się wystroją na szabas w atlasowe kapoty, to bije od nich blask, jak od

siedmiu świeczek groszowych, a w oczach jaśnieje im taka pyszność, jak gdyby zamiast kaszy z gęsim smaleem, jadaliby perty gotowane w roztopionem złocie. Mojsie, jak dotąd, nie miał nic z tych bogatych familiantów, ale trzymał się ich boku. Człowiek to ma taką naturę, że lubi się garnać do blasku, lubi patrzeć jak kto je rybę z szafranem, bo choć nie dostanie tej ryby, może jednak bezpłatnie nasycić się jej zapachem. To jest także coś warto, bo jeżeli człowiek się stara o zadowolenie języka, to powinien też pamiętać i o nosie i dawać mu od czasu do czasu coś

przyjemniejszego, aniżeli ordynaryjną tabakę. Nie zaszkodzi także przy okazji pochwalić się takim kuzynostwem — czasem to wyrabia kredyt, czasem przydaje się w innych celach. Trzymać się bogatych krewnych zawsze się opłaca — nie dziś, to jutro, nie jutro to za miesiąc, za rok, przecież kiedyś coś kapnie, zwłaszcza jeżeli człowiek jest uprzejmy, uczynny, chętny do rozmaitych posług za małe wynagrodzenie.

Mojsie Pomeranz czekał nie rok, ale dwadzieścia pięć lat — przez ten czas faktorował, nosił listy, posyłany bywa! na zwiady, załatwiał różne drobne interesy, za co wynagradzano go oszczędnie, jak zwyczajnego człowieka. Te dochody były dla niego niby drobny deszczyk, który kapał od czasu do czasu po troszeczkę, nie mając jednak wielkiego znaczenia na ogólną wegetację Moska, Mośkowej i licznego ich potomstwa — ale przyszedł nareszcie czas na chmurę co się zowie, na rześisty deszcz, można powiedzieć nawet na ulewę, która pozwoli Mośkowi ruszyć się z miejsca, wzmocnić swoje siły i zakwitnąć jak słonecznik w chłopskim ogrodzie.

Ten list...

Wielka to zasługa ciotki Dwojry, że taką myśl szczęśliwą wujowi Abramowi podsunęła, wielka zasługa wuja Abrama, że do współnika swego Lejbusia napisał, ale największa zasługa Ity, zacnej małżonki Mojsia, bo żeby Ita nie lamentowała i nie płakała przed Dwojrą, to Dwojra nic byłąby prosiła swego męża Abrama, a żeby nie prosiła swego męża



Abrama, to Abram nie napisałby do swego współnika Lejbusia, Mojsie nic niósłby w kieszeni

szacownego listu, nie pociłby się z radości i gorąca, nie zdjąłby z siebie kapoty, wietrzyk nie figlowałby z pęczkami nitek przy jego starożytnej szacie — i wszystko byłoby po dawnemu, zwyczajnie, szaro.

Teraz jest jasno w duszy Moska i w jego umyśle. Świeci wspaniale słońce nadziei, na twarzy Mojsia wywołuje uśmiech, w jego sercu rozbudza nadzwyczajne pragnienie, w głowie wytwarza żwawy, szybki ruch myśli. Teraz Mojsie już wie przynajmniej, że jest Mojsie, osoba, że coś na świecie znaczy—a dotychczas był wart, prawdę powiedziawszy, nic... był łapserdak, tyle tylko, że z porządnej rodziny.

I tą zmianę, tak ważną, tak pożądaną zrobiła kobieta. Bywały już takie zdarzenia w historii i zapewne mogą się przytrafić w przyszłości, stąd płynie jasny wniosek, że szczęście obiera sobie różne drogi, jeżeli do człowieka chce przyjść, że nie waha się nawet wsiąść na tak rozhukanego i niesforne konia, jak język niewieści. Szczęście, jako pojęcie oderwane, jako przedmiot bez ciała i bez kości, może jeździć na takim dzikim rumaku, aczkolwiek nikt nie jest w stanie zaręczyć, czy nie naraża się przez to na wielkie udręcenie i skutki z niego wynikające. Zdaje się, że szczęście Mojsia było też udręczone.

Abram napisał list, a w tym liście... To jest piękna historia, chociaż krótka. Abram Friedland, mąż cioci Dwojry i Lejbuś Szwereluft, wcale nie krewny Mojsia, obcy człowiek, kupili do spółki resztkę przerzedzonego lasu w Przetaczkowie i zaraz mieli się zabrać do wycinania drzewa.

Do pilnowania robotników, kontrolowania furmanek, do wypłat i prowadzenia rachunków potrzebny był „pisarz.”

Na te posadę, dzięki lamentom Moškowej, hałaśliwej interwencji cioci Dwojry i listowi Abrama. przeznaczony został właśnie p. Mojsie Pomeranz, z pensją wynosząca dwadzieścia rubli na miesiąc, z prawem należenia w drobnej części do spółki, tudzież z przywilejem sprzedawania chłopom, pracującym w lesie, gorzałki, bułek, śledzi i tytoniu na własny rachunek.

Mojsie miał zamieszkać w lesie, w baraku naumyślnie dla niego skleconym, i miał zaraz objąć posadę i pełnić przywiązane do niej obowiązki.

Nic tedy dziwnego że idzie z podniesioną głową, z miną człowieka mającego przed sobą przyszłość świetną, nic dziwnego że stawia kroki różne... i również nic dziwnego że się trochę męczy.

Duch jest silny, ale ciało mdłe i niemocne, nędzna, zdezelowana lokomotywa, w której, chcąc żeby się posuwała naprzód, trzeba obficie palić chlebem, kartoflami, cebulą, rzodkwią—a Mojsie oszczędny jest palacz i dlatego pociąg jego, który z początku szedł z kuryerską szybkością, zwalniał bieg coraz bardziej, włókł się jak towarówka, aż nareszcie stanął.

Jest to objaw naturalny; nawet oblubieniec w dzień swego wesela, nawet nabożny hasyd po skończeniu świąt jesiennych nie tańczy bez końca, ale tylko do pewnego kresu. Gdy ten kres przychodzi, tanecznik siada, ociera pot z czoła i powiada, że już więcej tak dzielnie dokazywać nie potrafi.

Pisarz leśny odsapnął i obejrzał się wkoło. Zdawało mu się, że jego osoba z całym swoim honorem i godnościami musi położyć się na ziemi, poleżeć i odpocząć, choćby tylko przez godzinę, aby nabrać siły do dalszej drogi.

Wieczór się już zrobił, ludzie z łąk powrócili do domu, słońce zaszło. Mojsie zauważył, że niedaleko drogi jest łąka, a na niej liczne kopice świeżego siana. Kilka wielkich oleń rośnie nad rzeczką, a w oddaleniu czerniał las, ale nie ten, w którym Mojsie miał rozpoczynać swoją karierę. Do Przetaczkowa od tej łąki jest jeszcze ze dwie mile drogi.

Mojsie zeszedł z drogi i przybliżył się do kopicy. Siano było w niej już dosuszone, pachnące, pełne ziół aromatycznych i kwiatów. Rozgarnął je ręką i położył się wygodnie nawznak, zmęczonym kościom dał wypoczynek, oczy pał widokiem gwiazd, które wysoko na pogodnym niebie jaśniały.

Prześliczna była ta noc letnia, rozpoczynająca się za ledwie; ogarniała ona ziemię słodkim, łagodnym tchnieniem, przynosiła balsamiczną woń lasów i orzeźwienie po dziennym upale.

Może nigdy jeszcze ten człowiek z godnej rodziny nie miał tak rozkosznego spoczynku.

Zapach kwiatów polnych upajał go, wietrzyk chłodził mu czoło, marzenia o przyszłości napępniały radością. Wziął do ręki garstkę siana i przypatrywał się ściętym roślinom, o ile na to mrok pozwalał. Poznał koniczynę.

— To jest śliczny kwiatek—pomyślał,—najpiękniejszy kwiatek na świecie. Korzec bywa po trzydziści rubli i drożej. Cudny kwiat! Może jeszcze

kiedy ja będę takimi interesami handlował, koniczyną, sianem, zbożem, wełną, okowitą... wszystkim, wszystkim, czego tylko wieś dostarczyć może, nawet wsią samą...

Przemykał oczy powoli, sen go ogarniał zniemacka. Mojsie nie wiedział, czy czuwa jeszcze, czy śni. Niby czuł to, że się znajduje na łące, że leży na świeżym sianie, pod sklepieniem niebieskim, ale jednocześnie zdawało mu się, że jego istota rozszczepiła się na dwoje, że się zrobiło z niej dwóch Mojsiów, jeden leży na sianie, a drugi.

Co ten drugi wyrabia, jak jemu się wiedzie, jak szybko kroczy po drodze, prowadzącej do bogactw, zaszczytów i szczęścia! To jest stanowczo za mało powiedziane kroczy: on pędzi, biegnie, leci, aż mu się głowa trzęsie, aż pantofle gubi po drodze. Skacze jak młody jelen, rzuca się, niby lew głodny, ujrzawszy kozę na swej drodze.

Jest w lesie, ten drugi Mojsie, Mojsie Pomeranz, niby drugi, ale właściwie pierwszy, ten sam. Siedzi przed barakiem, pali fajkę. W lesie rozlega się łoskot siekier, słychać, jak sosna pada z szumem, z chrzęstem łamanych gałęzi i krzaków, które ciężarem swym miażdży. Coraz chłop przychodzi, wódki żąda, tytoniu, miedziaki wpadają do kieszeni Mojsia, ta się napętnia. Przeszedł miesiąc, pan pisarz ma już dwadzieścia rubli pensyi, handel mu przyniósł piętnaście. Ładny grosz Za tę sumę kupił partyę wierzchów i gałęzi, każe je rąbać, wywozić do miasta.

Już jest kupiec leśny, wprowadzie tylko opałowy, ale z czasem Bóg wie, co może być.

Przeszedł rok, Mojsie jest wielki antreprenier, bierze na swoje ryzyko opoły i wióry, zakupił osinę do spółki z gąciarzem, ma kilkaset kóp gatów na sprzedaż.

Już wcale inaczej wygląda! Sprawił sobie porządną kapotę, ma czapkę, śliczną czapkę! Prawdziwy aksamit. Moškowa zaczyna tyć, dzieci łażą sobie po lesie jak robaki. Śliczne dzieci!

Po dwóch latach firma A. Friedland i L. Szwereluft to już firma, a Mojsie Pomeranz jeszcze pisarz, ale nie taki, jak dawniej. Całkiem co innego.

Kupili spory las, Mojsie od razu zakontraktował dla siebie wszystkie wierzchy.

Sążnie układa, pieniądze zbiera, każdy robotnik jest mu coś winien, z wypłaty to się potraça.

Handelek przy baraku prowadzi Moškowa, Mojsie ma ważniejsze rzeczy na głowie. On już jest nad rzeką, tratwy szykuje.

Chłopi coraz spychają ze spadzistego brzegu ciężką belkę na wodę. Belka spada, miliony kropel wzbijają się w powietrze, a światło słońca łamie się w nich i rozkłada przepyszny wachlarzem tęczowym; oryle, głupie chamy, śpiewają.

Jest to istotnie rzecz zadziwiająca, dlaczego oni śpiewają? Właściwie powinienby śpiewać kupiec i to grubo, pisarz trochę cienie, gdyż mniej zarabia, ale ten chłop... po co on śpiewa? co go raduje?

Tratew robi się już coraz więcej. Już powiązano je w pasy, już słomiana budka na nich stoi... lada dzień odpłyną.

Mojsie ma jechać do samego Gdańska... do tego miasta, o którym cuda słyszał, gdzie drzewo z całego świata przyplywa i dokąd się kupcy z całego świata zjeżdżają.

Mojsie zobaczy wielkie okręty, nadzwyczajnych pieniędzy, szwargotać będzie z milionerami. On tam pozna świat, zobaczy interesy, jakich nie widział jeszcze, ruch, o jakim nie miał pojęcia.

Był w Gdańsku, już powrócił, nabrał takiego glansu, że go ludzie zupełnie inaczej traktują. Gdy przyjdzie do bogatych krewnych, pozwalają mu siedzieć, częstują herbatą! Abram prosi go o cygaro z Gdańska. Owszem, Mojsie daje, nie jest skąpy, nie będzie się targował o jedno cygaro, chociaż kosztuje go trzy fenigi pruską monetą, ale jaki zapach ma, jakie czarne jest, jakie mocne, a duże.... Kosztuje trzy fenigi, to prawda, lecz jest co trzymać w ustach i można użyć smaku. Pali się najmniej trzy godziny, a dymu daje tyle co komin, przytem ma jeszcze tę zaletę, że jest pruskie, że przyjechało tu do miasteczka, dzięki zręczności Mojsia, ominąwszy wszelkie niepotrzebne formalności.

Mojsie jest teraz osoba, człowiek z glansem, prowadzi na swoją rękę interesy, a jeżeli faktoruje trochę, to w grubszych sprawach.

W mieście już jego głos znaczy, musi znaczyć, bo Mojsie ma własny dom o czterech stancyach,

jego żona w święto potrafi włożyć na siebie jedwabną suknię, a dzieci, chwalić Boga, będą miały się Czem dzielić.

I jeszcze parę lat przechodzi.

Aj, aj... parę lat szczęścia! Mojsie liczy już swój majątek na tysiące, jest kupiec, opłaca gildye., pisze weksle, jak ślicznie pisze! nie darmo był pisarzem...

Kredyt jest i duży, taki duży, że aż kusi. Dlaczego nic?

Mojsie już czuje pewne znużenie, napracował się dość, należy mu się odpoczynek i zasłużone wynagrodzenie za tyle lat fatygi.

Trzeba zbankrutować.—Wierzyciele wezmą dziesięć za sto w drodze dobrowolnej zgody, dziewięćdziesiąt zostanie na stare lata. Niech to będzie emerytura.

Mojsie bankrutuje.

Jest to rzecz korzystna, ale trochę przykra, jeżeli się trafi na wierzycieli hardych i upartych...

Nieszczęście chce, że Mojsie trafia na upartych, na takich niedelikatnych ludzi, którzy gardzą wszelkimi zwyczajami handlowymi i grubą, ciężką łapą chcą zastępować formy proceduralne.

Robią ogromny gwałt, chwytają go za kołnierz, za rękawy, ciągną do więzienia.

Biedny Mojsie doznaje takiego wrażenia, jak gdyby staczał się w przepaść.

Stacza się istotnie, stacza i pada na twardą ziemię. Otwiera oczy z przerażeniem.

Co się dzieje, gdzie barak w lesie? gdzie własny dom? gdzie Gdańsk? gdzie cygara po trzy fenigi? gdzie majątek, gdzie kredyt, gdzie układy? Niema nic. Jest łąka, kopica siana, blady poranek letni i Mojsie, ten pierwszy Mojsie, bez glansu, ten biedny Mojsie, który ma wprawdzie porządną rodzinę, ale znaczy tyle co nic.

Nad nim stoją dwaj chłopci, źli, zagniewani; krzyczą, klną, mają pretensję że Mojsie kopiec zepsuł, siano porozrzucił, grożą wójtem, sądem, wymyślają od złodziejów.

Tak się skończył słodki sen na kwiatach. Mojsie otrząsnął się, jak kura nagle wodą oblana, wytłumaczył chłopcom że złodziejem nie jest, że ani cudzych koni, ani siana kraść nie chciał, tylko że znużony wypoczynku szukał.

Powoływał się na poważne referencje, dowodził że w najbliższej wiosce zna go pachciarz, w drugiej szynkarz, że obadwaj mogą za nim poręczyć. Wreszcie na co poręczenia? On jest taka osoba, co sama za siebie ręczy, on jest Mojsie Pumeranz, pisarz leśny, idzie do Przetaczkowa, aby objąć posadę.

Opowiedział chłopcom, że podczas jesieni i zimy będą mieli w lesie doskonałe zarobki, czy to z siekierą, czy z furmanką, że on, Mojsie, przez wdzięczność za taki wygodny nocleg będzie pamiętał o właścicielach tej łąki i przy pierwszej okazji sprawi im doskonały poczęstunek.

Puścili go wolno.

W pół godziny później znajdował się u pachciarza Judki w Rudawce, zmówił pacierz, posilił się i poszedł w dalszą drogę, marząc o tem, że może przyjdą dla niego lepsze czasy i że może się chociaż w części sprawdzi prześliczny sen na kwiatach.

## DOBRE WIEŚCI. HUMORESKA.

Szanowny Czytelniku Dobrodzieju! Uzbrój się w cierpliwość i chodź... Pójdziemy aż na zataj padte Podlasie, pójdziemy tam przez piaski, wydmy i bagienka, przez wyboiste grobelki i mosty, które należy omijać. Nie wiem co sobie ludzie do Podlasia upatrzyli i dlaczego odzywają się o niem z pewnego rodzaju przekąsem... Jest to tak dobry ką, jak każdy inny, a może nawet od wielu innych lepszy. Ziemia nie rodzi tam wprawdzie ananasów ani pomarańcz, nie rosną na niej palmy ani banany, ale za to żółto kwitnącej dziewanny jest dość, a wiadomo przecież, jaki to szacowny środek na myszy! Zresztą nie jedna dziewanna tylko przedstawia bogactwo Flory i Pomony podlaskiej; jest tam albowiem wszelkiego zielska i badyli wbród: pokrzywy w najlepszych gatunkach, ostów olbrzymich, szaleju, czego tylko dusza zapragnie. Znajdzie się tam



i macierzanka, i rozchodnik i rumianek, z przeproszeniem... psi, który jednak, w braku lepszego, doskonale za rzymski uchodzić może.

Wszystko tam jest, bo też i grunt tam szlachetny a rozmaity. Jaki jest, to jest, ale zawsze w najlepszym gatunku—fuszerki bowiem ta ziemia nie znosi. Jeśli jest piasek, to już taki, że się w nim po kolana można zapadać; gdy bagno, to niezgłębione; a jak się trafi nieco kamienisty kawałek, to już taka tych kamieni masa, taka obfitość, że przebrać nie sposób.

Dziwne o Podlasiu wieści krążą po świecie i są ludzie, którzy z jakimś przekąsem odzywają się o tej cudownej krainie... Co do mnie, nie znam piękniejszego zakątka na ziemi! Wszelkiego dobrego użyć tam można: w strugach, które wśród bagnisk leniwie się toczą, chłapie się mnóstwo piskorzy, a pijawek znajdzie tam jak mrowia... Zmij, węzów, jeżów, żółwi—moc, a zwierzyny taka obfitość, że w jednej gminie można znaleźć przynajmniej z pięć zajęcy i półtorej pary kuropatw. Nie mówię już o wronach, srokach, kawkach i jastrzębiach.

Ostatecznie, ludzie żyją na tej wzgardzonej niesłusznie ziemi, i jak jeszcze żyją! Mają swój chleb, okrasę, nabiał, warzywa, a czasem, gdy jaka krowa nogę złamie, lub wół od koniczyny pęknie, to i mięso jest dobre i nic takie szkaradnie drogie, jak po dużych miastach... Znajdzie się tam i grzybek, i rybka i jagódka, kolezaste gruszki na miedzach rodzą rok rocznie miliony „ulegalek,” a leszczyna orzechów dostarcza.

Tomy, olbrzymie tomy in folio możnaby zapisać o piękności, wdziękach i nieocenionych zaletach panien podlaskich — i, o ile wiem, pewien łysy statysta już od kilku lat nad tym przedmiotem pracuje—nie chcę więc wchodzić mu w drogę, tem bardziej, iż jestem przekonany, że da wyczerpujący traktat o podlasiankach wszystkich wieków, począwszy od głębokiej starożytności, aż do dni dzisiejszych.

Co do mnie, jak teraz, mam na myśli jedną tylko podlasiankę, pannę Ewę, śliczne stworzenie o chabrowych oczach i włosach lnianej barwy, pełnych kształtach i czarującym dołkaczem na buzi. Piękność panny Ewy słynęła na

kilka mil w okolicy i nie jedno serce topniało jak wosk pod jej powłóczysem spojrzeniem. Kawalerya podlaska ubiegała się o względy pięknej Ewuni, nadskakiwała, prawiała jej komplimenta, ale nadaremnie. Wszystkie te zabiegi nie odnosiły pożądanego skutku i były zupełnie bezowocne. Ewunia miała już swego Adama, a ponieważ specjalną cnotą podlasiemek jest stałość, przeto wszelkie komplimenta młodzieży nie przydały się na nic.

W tej chwili właśnie Ewunia stoi w furtce ogrodowej, przysłoniła chabrowe oczy dłonią i patrzy. Wzrok jej szuka kogoś na drodze piaszczystej, ciągnącej się wśród dwóch szeregów brzoź białych, płaczących. Furtka ogrodowa, pokryta wijącym się powojem, jest niby ramką, obejmującą dorodną postać zapatrzonej dziewczyny.

Dość długo stała, tak patrząc, nagle w oczach jej zaświecił blask żywszy, na usta wybiegł uśmiech

szek; widocznie zdawało jej się, że gość oczekiwany nadjeżdża. Złudzenie wszakże trwało bardzo krótko: bystre oko dziewczyny dojrzało omyłkę...

Nie „oczekiwany” nadjeżdżał, ale ktoś obcy zupełnie. .

Ewunia zrobiła smutną minkę, machnęła rączką, a przypomniawszy sobie widać, jak dużo ma jeszcze do roboty, pobiegła na folwark. W pół godziny później już srebrzysty jej głos brzmiał w ogrodzie; pochyłona nad zagonem, nuciła sobie jakąś piosnkę smętną, zdaje się że o duszyczce, która roi, o otwieranej bramie i kasztanku...

Któraż z podlaskich dziewcząt tej piosnki nie nuci?...

Na polach ruch był wielki, gdyż pogoda, od kilku dni trwająca, pozwalała zbierać zboże. To też rzucono się do sprzętu całą siłą. Sierpy dzwoniły na zagonach, snopy składano w mendle, a ciężkie, ładowne fury dążyły do stodół. Gdzieniegdzie dla pośpiechu wznoszono sterty na polu, a śpieszono się, śpieszono gorączkowo, bo od zachodu coraz pokazywały się chmurki, niewielkie wprawdzie, ale zawsze chmurki, a podczas żniwa każdy, choćby najmniejszy, obłoczek budzi podejrzenie i obawę.

Wśród robotników uwijał się człowieczek niewielkiego wzrostu, opalony jak cygan, z dużymi blond wąsami. Na głowie miał on wielki słomiany kapelusz, z pod którego runda dostrzedz było można niebieskie oczy, od czasu do czasu niespokojnie patrzące na niebo.

Ów człowiek był właśnie ojcem Ewuni i właścicielem niewielkiego, dziesięciowłókowego fol

warczku. Na trzystu morgach niezbyt urodzajnej, lecz dobrze uprawianej ziemi uwijał się on nieborak jak mucha w ukropie, do dnia wstawał, późno spać chodził, ekonoma nie trzymał, sani był wszystkiem w folwarku.

Pomimo tego nie działo mu się zbyt świetnie—musiał sztukować i latać; a chociaż czynił to z wielką oględnością, jednak musiał wchodzić w stosunki to z Dawidkiewem, to z lekiem, to z innym szlacheckiego rodu dobrodziejem. Nakłął się przy tem, napiorunował, nasapał, wzywał wszelkich pomst ziemskich i niebieskich, ale ostatecznie podpisywał rewers lub kontrakt, aby dalej, aby dalej...

Co prawda, trzeba mu oddać tę sprawiedliwość, że zanim grosz wydał, to go wpierw dziesięć razy obejrzał, i że zobowiązań, które z straszliwymi klątwami przyjmował, dotrzymywał sumiennie i rzetelnie. Skutkiem tego posiada! on u miejscowych bankierów kredyt stosunkowo dość znaczny i ci z chęcią wchodzili z nim w interesy, nie zważając na klątwy, jakich nigdy przy takiej okazji nie szczędził.

Niech pan dobrodziej naprzód nawymyśla na żydy mówił główny kapitalista miasteczka, stary Abramniech pan dobrze na nich nakrzyczy, a potem pogadamy o żyto. Ja wiem, co pan dobrodziej ma taką naturę, że lubi żydom wymyślać, ale pan rzetelnie płaci. Drugie panowie nie wymyślają i nie płacą. Pan wymyśla... niech pan sobie wymyśla; ale ja wiem, że mam swoje zboże na termin,...

Taką miał opinię pan Michał W oczach kapitalistów. Sąsiedzi również szanowali i lubili go bardzo, gdyż ze wszech miar na to zasługiwał: był spokojny, zgodny, uczynny, unikał wszelkich procesów i sporów, jednym słowem nie naraził się nigdy nikomu. Dom jego był ogniskiem, w którym zgromadzali się sąsiedzi na pogawędkę.

I dziś, gdy już ostatnia fura do stodoły wjechała, a ludzie rozeszli się z pola, gdy mrok zapadać zaczął, przed dworkiem pana Michała znalazło się kilka bryczek. Był do tej wizyty specjalny powód, a mianowicie imieniny pani domu. Ten i ów pośpieszył złożyć solenizantce życzenia i przepędzić kilka godzin w gościnnych progach sąsiada. Salonik zaczął się napełniać, a w sąsiednim pokoju pani Michałowa z Ewunią krzątały się około przyrządzenia herbaty. Ewunia, aczkolwiek pilnie pomagała matce, zdawała się jednak roztargnioną i co chwila rzucała nieśmiałe wejrzenia na drzwi saloniku. Być może, że pragnęła głos oczekiwanego gościa usłyszeć...

Tymczasem same tylko basy i barytony rozbrzmiewały w salonie, a Adaś miał przepyszny tenor o nadzwyczaj sympatycznym brzmieniu, w uszach Ewuni przynajmniej. —

— Panie dobrodzieju—mówił ktoś basem grubym,—zdaje się, że w tym roku będzie trochę lepiej ze zbożem.

— Skąd lepiej?! cóż znowu!

— Konjunktury... wyraźnie czytałem, konjunktury fluktuacyj kursów, przy ewentualności mniejszej frekwencji w imporcie...

— Toś pan czyta!?!

— To, słowo daję, na własne oczy czytałem...

— I cóż stąd?

— A cóż? jasna rzecz, lepiej będzie na świecie; przecież konjunktury fluktuacyj... powdada... przy ewentualności... powiada...

— Niech mnie licho, jeżeli chociaż jeden wyraz rozumiem...

— Zachciałeś sąsiad!... przecież cała mądrość polityki zasadza się na tem, żeby jej nic można było zrozumieć...

— W takim razie skądże znów takie pocieszające wnioski i nadzieje?

— Gdyż poniżej dodano już po polsku, że zboże pójdzie w górę.

— Pójdzie w górę?... he? jakto?... pan dobrodziej powiedziałeś?... — zapytał jeden staruszek, nieco głuchy.

— W górę, panie dobrodzieju, w górę! — huknął mu w samo ucho zapytany.

— Czegóż pan tak krzyczysz? Przecież słyszę, że w górę... zapewne o zbożu tu mowa?... Daj Boże! daj to Boże Najwyższy! ale ja wątpię.

— Rzecz bardziej niż pewna. W Ameryce, słyszę, nieurodzaj, indyjska szlachta także na łeb na szyję straciła; a u nas nieszczególnie wprawdzie, ale zawsze coś jest, zawsze chociaż troche będzie do sprzedania. Wszak prawda, panie Łukaszu?

— Ja tam, moi panowie, jestem niedowiarek; dopóki nie dostanę ośmiu rubli za korzec psze

niey, dopóty nie uwierzę, że za korzec pszenicy płacą osiem rubli. Co mi tam gazety... gazeta zboża nic kupi!

— Zawsze jednak... przecież oni w Warszawie prędzej coś wiedzą, aniżeli my na swoim marnym partykularzu.

— Co oni mogą wiedzieć!... powtarzają jeden za drugim, jak za panią matką pacierz, i kontenci: zdaje im się, że już świat zbawili! W tym razie jednak są inne znaki, wskazujące, że rzeczywiście dzieje się coś na świecie, a te znaki rzadko kiedy zawodzą.

— Jakież to znaki, panie Łukaszu? jesteśmy bardzo ciekawi.

Pan Łukasz odchrząknął i zaczął mówić z powagą:

— Kochani sąsiedzi! jestem ja człowiek starego autoramentu, i aczkolwiek szanuję wszelkie nowe wynalazki, jednak lubię się trzymać dawnej metody. Ładna to jest rzecz termometr na przykład, ale i bez termometru, jak wyjrzę tylko lufcikiem, to zaraz zmiarkuję, czy na dworze jest ciepło, czy zimno. Tak samo i co do gazet. Kie powiem, żebym czytać nic lubił, owszem, trzymam pisma dla żony, dla córek, no, i sam także w wolnym czasie czytuję, ale skoro naprawdę chcę wiedzieć, co się dzieje na świecie i jak faktycznie rzeczy stoją, to posyłam po Icka.

— Co też sąsiad dobrodziej mówisz?!... Skąd taki żyd, chałaciarz, może wiedzieć, co się dzieje na świecie, kiedy on poza granicą powiatu rzadko kiedy bywa?

— Nie obawiaj się pan; chociaż siedzi na Podlasiu, wie on jednak dobrze, co się dzieje na całym świecie, bo od (ego on jest żyd, panie dobrodzieju. On słyszy jak trawa rośnie; a że nie wyjeżdża z granic powiatu, to nie dowód. Zagraniczni żydzi bywają w Warszawie, warszawscy w Lublinie lub Siedlcach, tamtejsi znów włączają się po jarmarkach, po małych miasteczkach i osadach, więc konkluzya prosta, że nasi żydzi wiedzą to, co i zagraniczni, którzy, jak wiadomo, wszystko wiedzą i trzęsą... całym światem...

— Eh, panie, przez takie etapy to wiadomość, zwłaszcza wobec telegrafu i poczty, nie bardzo może być świeża.

— Zwracam uwagę pana, że nie wszystko dobre, co świeże.

— Ale też i nie wszystko co nieświeże, jest dobre.

— O co się panowie spierać macie? wtrącił gospodarz—tym sposobem oddalamy się tylko od przedmiotu, który przecież nas tak blisko obchodzi. Wspomniał pan Łukasz, że są jakieś znaki, zapowiadające dla nas pomyślniejsze wieści, niechże nam z łaski swojej opowie, co to mianowicie za sygna.

— Opowiedz, sąsiedzie, opowiedz! — zawołano chórem.

— Kiedy powiadacie, że moje wiadomości są stare...

- Sam przed chwilą mówiłeś, że nie wszystko dobre, co świeże...
- Nie dajże się prosić, sąsiedzie!

— No, dobrze, kiedy już tak koniecznie chcecie, to powiem; zastrzegam sobie tylko, żeby mi nie przerywano.

— Ani słowem.

— I żeby się nie śmiać, gdyż chociaż to, co wam powiem, wydać się może śmiesznym, jest ono jednak w gruncie rzeczy prawdziwe. Ja to obserwuję już bardzo dawno i podzielę się z wami swoim sekretem...

— Słuchamy, słuchamy!

— Otoż od czasu, jak sprzedaję zboże, a sprzedaję już nie pierwszy rok, zawsze obserwuję naszych kupców zbożowych i sposób, w jaki noszą czapki...

— Czapki?!

— Obiecaliście nie przerywać mi. Tak jest: czapki. Żyd każdy, a szczególnie, taki, który zbożem handluje, ma dwojaki sposób noszenia czapki, to jest, że albo ją nasuwa na czoło, albo też zsuwa całkiem na tył głowy; to dzieje się stosownie do cen zboża; jeżeli ceny stopniowo spadają, czapka nasuwa się na oczy, aż wreszcie zjeżdża na sam nos. Przeciwnie, gdy ceny w górę idą, czapka też wędruje do góry, odkrywa zupełnie czoło i ledwie się trzyma na jarmulce. Może was to dziwi? Mnie nie, albowiem jest to rzecz zupełnie naturalna. Żaden z tych kupców nie jest właściwie kupcem, wszyscy są tylko pośrednikami, dla nich więc im lepsze ceny, tem lepszy interes, gdyż więcej mogą zarobić. Przytem puszczają się oni z drobnymi kapitałami na kupno zboża na pniu: otoż, gdy cena niska, mogą stracić, a przytem wobec niskich ce

i między nami chęć do sprzedaży niewielka, i obroty mniejsze i procent faktora mniejszy. Wtenczas, naturalnie, czapki idą na oczy, na nosy, a smutek do serca. W przeciwnym zaś razie czapki w górę!

— Wiesz pan co?... to może racya!

— jest racya, bez najmniejszej kwestyi, rzecz to albowiem całkiem naturalna.

— A jakże teraz czapki stoją, panie hukaszu, gdyż ja nie obserwowałem wcale?

— W górę idą, w górę, ledwie się na czubkach głów trzymają... żebym tak pociechy z dzieci doczekał!

— Dobra nasza! wytchniemy przynajmniej, gdyż w zeszłych latach wzięliśmy takie cięgi, że aż się zimno robi na samo wspomnienie.

— Z tem wszystkiem, aczkolwiek pogład pana Łukasza co do owych czapek ma za sobą niejaki pozory słuszności, jednak ja jeszcze nie widzę stanowczego dowodu—rzekł ktoś z gości.

— Bo nie znasz pan dobrze sytuacji.

— Zapewne, sytuacji mogę nic znać dokładnie, ale że znam swoją własną kieszeń, to mogę wam zaręczyć.

— Kieszeń kieszenia, a czapka czapką; a ponieważ czapki idą w górę, więc dobrze! Radziłbym się trzymać ostro i nie śpieszyć ze sprzedażą, tem bardziej, że są jeszcze i inne okoliczności.

— Na przykład?

— Są, są; już nie od jednego słyszałem, a nawet, o ile z gazet dorozumiewać się można, to się na coś zanosi.

— Zanosi się? tam do licha! ale na co?



— Otoż w tem sęk, 'ie ja sam nio wiem, na co; to tylko jest pewnikiem, że Prusacy bardzo się dopytują o groch i ofiarują dobre ceny. Abram mi to powiedział, jak dzieci Kocham!

— Bagatela! skądże wziąć tego grochu, kiedy całkiem przepadł?...

— To prawda! Ale, panie Łukasz, powiedz nam, czy groch jest także barometrem politycznym?

— A naturalnie, jakbyś sąsiad wiedział. Przypomnijcieno sobie rok, który tak obfitował w wypadki najmniej spodziewane. Otoż wówczas Francuzi zmarnieli, gdyż Prusacy mieli politykę z grochem, a Napoleon bez grochu. Pytajcie najmądrzejszych statystów i mężów stanu, co było przyczyną pruskich tryumfów? Sądźcie że dobra organizacją armii? zdolność wodzów? Broń Boże! Kiszka grochowa odniosła zwycięstwo, jak zbawienia pragnę, kiszka!...

— He!... jak to pan dobrodziej powiedziałeś?— zapytał nieco głuchy staruszek.

— Kiszka grochowa! — krzyknął pan hukasz.

— Grochowa... ano, dobra bywa, zwłaszcza z wędliną, ale trochę przyciężka...

— To też zaważyła na szali... i skoro, panie dobrodzieju, dziś Niemcy kupują groch, to widać że coś będzie na świecie...

— Moje uszanowanie państwu — odezwał się nowoprzybyły gość dźwięcznym tenorem, a jednocześnie w sąsiednim pokoju rozległ się dźwięk stłuczonej szklanki.

— Cóż tak późno, Adasiu? — zapytał gospodarz — sądziłem, żeś już zapomniał drogi do nas...

— Eh! mam ja dobrą pamięć wogóle, a o tem, co się domowi pana dobrodzieja ode mnie należy, to nawet w grobie nie zapomnę.

— A gdzież to ojciec twój?... nie łaskaw na nas dzisiaj?

— Nie przyjedzie, nie mógł.

— Z powodu?

— Jeszcze w zeszłym tygodniu wyjechaliśmy obadwaj do Warszawy, interesa zatrzymały nas dłużej; ale ponieważ dziś jest taki dzień, więc ja przyjechałem, a ojciec jeszcze pozostał, poleciwszy mi przeprosić państwa za niemożność przybycia i złożyć ukłony i życzenia pani.

— Bóg zapłać wam obydwom, Adasiu; ale gadajno naprzód, cóż tam w Warszawie?

— Doprawdy, nie wiele umiem o tem powiedzieć; cały czas byliśmy zajęci interesami, to u rejenta, to po różnych składach i sklepach...

— Oho! cóż to znowu?—zapytał pan Kukasz— ojczulek pański ekwipuje się na starość?

— A tak... trochę...

— To powinszować, powinszować!... zapewne żeni się? Ha! cóż dziwnego? Człowiek jeszcze czerstwy, pięć lat temu owdowiał.

Adaś nic mógł już na to pytanie odpowiedzieć, gdyż wysunął się z saloniku i poszedł powinszować gospodyni domu i przywitać Ewunię. Tymczasem goście nie przerywali rozmowy — wiadomość o zamiarach pana Franciszka (takie

ojciec Adasia miał imię) była bardzo interesującym tematem do rozmowy i dawała sposobność do robienia przeróżnych uwag i domysłów.

Wiadomość ta szczególnie jednak zastanowiła ojca Ewuni. Zamyślił się też nad nią tak dalece, że chwilowo zapomniał nawet o gościach, którzy w dalszym ciągu prowadzili rozmowę o spodziewanej podwyżce cen zbożowych.

Pan Michał pragnął wybadać Adasia i dowiedzieć się, skąd jego ojcu przyszło postanowienie tak niespodziewane i nagłe, postanowienie które dziwiło go tem bardziej, że Adaś wyrażał wcale niedwuznacznie swoją sympatyę dla Ewuni, a sam pan Franciszek wspominał niejednokrotnie, iż jedynem już tylko marzeniem i celem jego życia jest ustalenie losu syna, którego pragnie połączyć z najzaciejszą i najpiękniejszą zarazem w całej okolicy panienką.

A czyż mogła być zacniejsza i piękniejsza nad Ewunię, nie tylko w okolicy, ale nawet w całym świecie!? Pan Michał nie miał pod tym względem najmniejszej wątpliwości.

— Taka dziewczyna, jak Ewunia—myślał częstokroć—to perła, to brylant czystej wody! Wszystkie przymioty znaleźć w niej można: bo i poczciwa, i dobra, i pracowita, i gospodarna i nie bez edukacji; a co do urody, to niema co mówić, piękność skończona.

Należy oddać panu Michałowi sprawiedliwość że w pochwałach, jakie w myśli córeczce swej oddawał, nio było wiele przesady i ojcowskiego zaślepienia—istotnie bowiem Ewunia była prawdziwym

brylantem wśród podlaskich panien, z których, między nami powiedziawszy, każda, oddzielnie wzięta, była co najmniej perki. Kiedy pan Michał marzył o przyszłości swej jedynaczki, robił w myśli przegląd wszystkich konkurentów, którzy ubiegali się o jej serduszko i rączkę, uwaga jego zwracała się głównie na Adasia, a chociaż młody ten człowiek nie oświadczył się dotąd i nie występował w roli konkurenta, jednak zdawało się nie ulegać najmniejszej wątpliwości, że to prędzej czy później uczyni. Zwłócząc krok stanowczy, Adaś czynił nawet bardzo rozsądnie, jedynaczka albowiem była młodziutkiem dziewczęciem, rodzice nie nacieszyli się nią jeszcze i nie pilno im było oddawać ją z domu.

Pomimo tego, pan Michał uważał Adasia za ewentualnego męża i opiekuna Ewuni i o innej przyszłości dla córki nie marzył.

Pan Michał nie mógł sobie wesołości Adasia wytłumaczyć; przecież małżeństwo ojca dla dorosłego syna, pragnącego ustalenia swego losu, przyjemnem być nie może. Postanowił rozproszyć niepokojącą go wątpliwość i zapytać Adasia wprost, jak rzeczy istotnie stoją.

Nie było to jednak łatwem — od gry oderwać się nie było sposobu, a kiedy chwilowo pulę przerwano, Ewunia przyszła prosić na kolację.

Cafe towarzystwo udało się do jadalnego pokoju, gdzie już stół, śnieżnej białości obrusem nakryty, oczekiwał biesiadników. Takie biesiady na podlaskich wioskach nie bywają zazwyczaj zbyt wykwintne. Co Bóg dał, to

stawiają na stół, bez wielkich fanaberyj i pańskich fumów. Nikt się nie wysadza nad stan, nic wystawia delikatesów i drogiego wina, nie stara się o znakomitego w swej sztuce kuchmistrza, jaka doświadczona Maćkowa lub Michałowa sporządzi kolację, pani ciasta upiecze i własnej roboty konfitury na stół poda — a serdeczna, pełna prostoty i szczerości gościnność potrafi całe to przyjęcie tak uprzyjemnić i umilić, że gościowi się zdaje, iż jest w najbliższym kółku i otoczeniu rodzinnem. Wartoby jeszcze dodać słów parę i o apetycie podlaskim, ale wyczerpujące przedstawienie tej kwestyi wymagałoby oddzielnego traktatu, o napisaniu którego zresztą myśli pewien BrillatSavarin krajowy. Musimy więc czekać, aż ów mąż znakomity studium swoje ukończy, a tymczasem starajmy się nawiązać przerwany wątek opowiadania. Goście zajęli miejsca podług upodobania. Panowie rozmawiali o szczegółach gry i o interesach, a panie zarzucały Adasia w dalszym ciągu gradem zapytań, dotyczących Warszawy. Nie było to młodemu człowiekowi na rękę, gdyż wolałby rozmawiać wyłącznie z Ewunią, obok której siedział—lecz trzeba było poddać się nieuniknionej konieczności. Pan Łukasz nie mógł się wydziwić, że zamiary ojca żadnego na Adasiu nie zrobiły wrażenia — postanowił też wybadać młodego człowieka i dowiedzieć się prawdy. — Panie Adamie! — zawołał — panie Adamie! śliczna to jest rzecz i kawalerski obowiązek bawić

damy, ale i nam się takie coa należy... Z Warszawy wracasz, nowin zapewne przywiozłeś ze trzy fu ry, dajże więc i nam choć odrobinę. Co słycać? przedewszystkiem co słycać? bo my tu jak tabaka w rogu...

— Niewiele panom mogę powiedzieć, gdyż obadwaj z ojcem tak byliśmy zajęci interesami własnymi...

— Bardzo dobrze, ślicznie, interesy własne przedewszystkiem, ale przecież jak zboże? bo to nasz główny interes. Idzie w górę, czy nie idzie?

— To wiem, proszę pana: stanowczo idzie.

— A co, nie mówiłem? Kto w tym roku majątku nie zrobi, ten go nie zrobi nigdy; a kto się w tym roku nie wykwipuje...

— Kto się ekwipuje? — zapytała jedna z pan.

— Niech się pani dobrodziejka pana Adama o lo spyta, on przecież o tem wie najlepiej.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się na Adasia— pan Łukasz, jak sędzia śledczy, badał.

— Ja wcale o żadnem ekwipowaniu się nie wiem.

— Przecież sam mówiłeś... No, zresztą, co tam w bawełnę obwijać... powiedz, coście kupowali: karetę? powóz? meble?

— Nie, panie, do karet nie jesteśmy przyzwyczajeni: jeździmy zwykle bryczką, a że ojciec kupił skromny garnitur mebli, to czegóż to dowodzi?...

— A widzicie panowie rzekł, śmiejąc się, pan Łukasz;—sporządzają już klatkę.

Adaś zarumienił się po same uszy.

— No, no, mc lo złego, każdy porządny człowiek do tego dąży, a jak się spóźni, to także niema nic złego, przysłowie albowiem powiada, że lepiej późno, niż nigdy. Wszak prawda, panie Adamie?

— Zapewne. Skoro tak mówi przysłowie, a przysłowia są mądrością narodów, więc...

— Zdaje mi się, żeś wspomniał coś, panie Adamie, o rejencie...

— Tak jest, byliśmy i u rejenta; ojciec miał tam interesy

Pan Łukasz nachylił się w stronę gospodarza i szepnął.

— A co? powiedziałem, że kuta baba; ona już ma taki zwyczaj, że bez intercyzy ze mąż nie pójdzie.

Głośno zaś dodał:

— Niedyskrecya nie leży w mojej naturze, więc też nie pytam, jakieście mieli czynności; zresztą są rzeczy, które, do czasu przynajmniej, należy chować w tajemnicy...

— Ciekawym, dlaczego? Nie robimy nic takiego, z czym potrzebowałibyśmy się kryć... Ojciec wziął w dzierżawę folwark w Lubelskiem.

— Co pan mówisz?

— Niepodobna!

— Mało mu jednej biedy!

— Przepraszam państwa, ale ja w tem żadnej biedy nie widzę. Folwarczek porządny, ziemia prześliczna, warunki dogodne, więc przy pracy, jeżeli Pan Bóg dopomoże, źle nie będzie.

— Ale na cóż wam dwa gospodarstwa?

— Ma, to już ojca rzecz.

— Tanie Adamie — rzeki pan hukasz,— Adasiu, mogę tak mówić, gdyż znam cię od dziecka... pozwól, ie ci wyrażę swoje współczucie...

Przepraszam, że tylko tyle, ale wierz mi, że płynie ono z serca...

— Nic a nic pana nie rozumiem...

— Iakto? więc lo ekwipowanie sie, wzięcie dzierzawy, to przygotowywanie klatki... nic cię nie martwi?

— Ani troszeczkę.

— Ha, w takim razie jesteś wzorowym synem, a skoro ciebie to nie martwi, to mogę, z czystym sumieniem wznieść toast za zdrowie przyszłych państwa młodych. Wiwat!

Wrzasnął tak głośno, że jegomość o przytępionym słuchu powstał i rzeki:

— Nie wiem za czyje... ale piję i życzę konso lacyi.

— Ja mogę tylko powtórzyć to samo — odezwał się jego sąsiad.

— Wiecie państwo — odezwał się gospodarz, — bywałem czasem na niemieckim kazaniu, ale nie sądziłem nigdy, że będę we własnym domu na niemieckiej kolacyi. Nic a nic nie rozumiem, o czym mówicie i czyje zdrowie mam pić...

— No, to zapytaj pan Adama; już wróble na dachach o tem świergoczą, więc niema co udawać sekretu...

— Ja o niczem nie wiem — rzekł Adaś.

— Taak?... więc nie mieliście żadnych zamiarów co do małżeństwa?...

— Temu nie przeczę; mogliśmy mieć.

— A widzisz...

— Lecz to niczego nie dowodzi; do małżeństwa potrzeba zgody dwóch stron, tymczasem tamta strona dotychczas nie wie o niczem.

— Ha! ha! to mi się podoba! to dobre jest, dalibóg!

— Lecz, panie Łukasz—odezwała się jedna z pan,— mówisz pan samemi zagadkami, a przecież jesteśmy tu wśród swoich, po cóż więc sekret?... Z tego, co pan mówisz, wnoszę że przybędzie nam dom w okolicy. To wiadomość, która dla nas, kobiet, jest bardzo interesująca.

— Kiedy pan Adam nie mówi, cóż ja mam mówić?...

— Powtarzam panu, że o niczem nie wiem.

— Jak nie, to nie.

— Czy ta pani młoda ładna, wesoła?

— Phi!... co do młodości, to szeroko o tem Dawid pisał... una sama mówi, że jest młoda!.. Co do urody, to rzecz gustu: są tacy, którym się takie twarze podobają; wesoła, bo wesoła; a z charakteru, to, nie owijając w bawełnę, istny Herod.

Adaś zerwał się z krzesła i rzekł:

— A, na miłość Boską, dość już tego! I żarty mają swoje granice. W domu, który tak wysoko szanuję, nie mogę się z panem rozprawić, dlatego proszę, zechciej pan przerwać tę rozmowę do czasu, gdy ją na inueni miejscu wznowimy.

Pomiędzy gośćmi zrobiło się pewne zamieszanie; gospodarz zerwał się z krzesła i rzekł z pewnym wyrzutem:

— Panie Adamie...

— Zapewne—odpowiedział miody człowiek, — nie mam może prawa wchodzenia w atrybucye pańskie, ale nie mogłem ścierpieć, żeby ktoś w przytomności tyłu osób nazwał pannę Ewę Herodem!

— Co?... jak?... Pannę Ewę?... Niech mnie w kawałki posieka, jeżeli pannę Ewę miałem na myśli!

— A kogóż więc?

— Niby pan nie wiesz? Cóż to za komedia!?... Miałem na myśli wdowę, narzeczona, pańskiego ojca...

— Ojca mego?...

— No tak, przecież mówię nie po turecku, tylko po polsku...

— Mogę pana zapewnić, ia mój ojciec ani myśli o małżeństwie.

— Wróble na dachu wiedzą, że jest inaczej.

— Jeszcze raz powtarzam, że ojcu memu ani się śni o małżeństwie.

— Ehe!

— Przepraszam cię, panie Adamie—rzekł gospodarz,—ale, proszę cię, zechciej mi wyjaśnić, jaki związek cała ta sprzeczka ma z Ewunią, w obronie której tak gorąco stajesz?



- Nie wiem, czy w tak licznych towarzystwach...
- Tatuniu! — wtrąciła błagalnym głosem Ewunia.
- Czy w licznych, czy nie w licznych towarzystwach, to wszystko jedno; proszę o wyjaśnienie;

nie mam na sumieniu nic takiego, z czym potrzebowałbym się kryć przed ludźmi.

- Tatuniu, tatuniu!
- Nie wtrącaj się, moje dziecko; ja proszę pana Adama, żeby mówił głośno i przy wszystkich.
- A więc, skoro to jest stanowczym życzeniem pańskim...
- Najbardziej stanowczym.
- Więc powiadam: pojechaliśmy do Warszawy, ojciec wziął ładny folwarczek w dzierżawę, sprawił meble, różne porządki domowe, bo istotnie miał zamiar...
- A co! — wtrącił pan Łukasz — nie mówiłem?
- Chcieliśmy to wszystko zrobić zawczasu, ażeby w razie, jeśli propozycja nasza zostanie przyjęta...
- Jako, nasza?
- Właściwie propozycja mego ojca. Jemu, jako starszemu i poważnemu człowiekowi, wypadało prosić o rękę...
- Tej wdowy?
- Nie, o rękę panny Ewy—odpowiedział zarumieniony Adaś.
- Panny Ewy?... dalibóg, to niespodzianka
- Dla siebie?
- Nie... dla mnie—rzekł cicho Adam.—Chcieliśmy to zrobić formalnie, starym obyczajem, wtenczas, kiedy już będziemy zupełnie przygotowani. Aż oto jakieś nieporozumienie, przypadkowe zapewne, jakaś, że się tak wyrażę, plotka, zmusza mnie do wypowiedzenia najdroższych marzeń moich i mego

ojca tu, w tak licznych gronie... w chwili może niezupełnie właściwej do tego rodzaju zwierzeń. Otoż— rzekł, zwracając się do gospodarza—jest wyjaśnienie, dlaczego stanąłem w obronie panny Ewy... A przytem, ponieważ wypowiedziałem, co mam na sercu, więc... proszę pana o odpowiedź. Wszyscy zamilkli.

— Nie byłem przygotowany na to zapytanie— rzekł pan Michał;—zresztą nie wiem, jakiego zdania jest osoba najbliższej interesowana... Zbliźno się, Ewuniu; czy słyszałaś, o czem była mowa?... Odpowiedz śmiało.

— Jak najśmielej, tatuniu—odrzekła Ewunia;— ja się tego nie wstydzę, że kocham pana Adama... i mateczka wie o tem również bardzo dobrze.

— Ano, jeżeli tak, to niechże was Bóg błogosławi.

Jegomość, który miał przytępiony słuch, widząc tę scenę, rzekł:

— O ile mi się zdaje, tu się ktoś z kimś ma zamiar żenić; krzyczę tedy: wiwat! zdrowie narzeczonych!

— Wiwat! wiwat!—krzyknęli obecni. Ewunia zbliżyła się do pana Łukasza.

— Jakże będzie z tym Herodem?—rzekła z uśmiechem. — Czy pan cofasz, co powiedziałeś, czy też gotów jesteś bić się z moim narzeczonym?

— Cofam, cofam, panno Ewo, sto tysięcy razy; ja mówiłem o tamtej wdowie, która rzeczywiście jest Herodem...

Jegomość głuchy odezwał się:

— Oni zaczęli romans... to bardzo dobrze; ale, o ile mi się, zdaje, my możemy teraz kończyć wista, ile to jedno drugiemu nie przeszkadza.

— Ano, to kończmy—rzeki gospodarz.

— A ja—rzeki pan Łukasz — zawsze obstaję przy swoim, że pan Franciszek ma nos... Taka synowa, mój Roże. taka synowa! Wydarłbym mu. odebrał!... ale cóż z tego, kiedy nie mam syna...

I w dobrą porę trafił, teraz kiedy zboże w górę idzie...

— O, idzie, idzie!

— No, my się już nie ożenimy, ale zato dobrze sprzedamy zboże; tylko słowo, panowie, trzymać się ostro, do ostatniego przeczekać... żeby tam żyd płakał, nie opuścić szeląga...

Trzeba przyznać, że bracia sąsiedzi dotrzymali słowa—żaden nic sprzedał ani korca zboża, gdyż wszystko wcześniej, na zielono jeszcze, żydkowie kupili.

Nad uśpionem Podlasiem czuwał blady księżyc; wózki rozjeżdżały się z przed białego dworku—tylko jeden gość żegna! się jeszcze i jeszcze coś przypominał sobie, jeszcze powracał...

Nie chciało mu się od swego szczęścia odjeżdżać.

PIERWSZY DZIEŃ MIDODOWEGO MIESIĄCA  
(Opowiadanie prawnika.)

Po ukończeniu studyów uniwersyteckich pracowałem jako kandydat przy inkwirencji sądowej. Marzyłem, że kiedyś na polu kryminalistyki zdobędę europejską sławę. Ideałem moim był Lecocq... W snach młodzieńczych widziałem przerażające, potworne i bajecznie skomplikowane zbrodnie, ze śladami zatartymi tak zręcznie, że najzdolniejsi agenci nie mogli sprawy wytropić, a ja odnajdywałem zbrodniarzy od razu, bez żadnych przygotowań, idąc tylko za wskazówkami logiki i zdumiewającego talentu. Bo ja ten talent mam, czuję go w sobie; on we mnie kipi, wrze jak woda w kotle, jak lawa w wulkanie....

Ja każdą zbrodnię przeczuwam, a wobec śladów przestępstwa jestem jasnowidzący, nie chcę powiedzieć... prorok!

Kocham morderców dlatego, żeby ich wykrywać, zapalam się do zbrodni, jak muzyk do dźwięku

ków, malarz do barw... ale jestem o całe niebo od nich wyższy...

Nieraz zadawałem sobie pytanie, dlaczego człowiek, ukończony jedną ideą, nic zostaje jej wiernym wyłącznie i jedynie, dlaczego w jego sercu znajdzie się zawsze dość miejsca na drugą namiętność, na inne uczucie? Dziwna rzecz, lecz trudno, człowiek jest tylko człowiekiem, bo gdyby nie był człowiekiem, byłby prawdopodobnie czym innym, jak słusznie twierdzi pewien uczyony holenderski, Van Sturckenkuks...

Fatalna siła faktów spychała mnie po pochyłości... Ujrzałem Manię, zacząłem bywać w domu jej mamy. Zrobiłem wyznanie miłości i dotoczyłem się, spadając coraz niżej po pochyłej desce konkurów, aż do stóp ołtarza.

Ślub nasz odbył się maja roku .. w kościele, wobec świadków—o czym spisano odpowiedni akt w parafii. (Księga małżeństw, folio , numer .)

Wypis na wszelki wypadek mam.

Na dwa tygodnie przed ślubem odbyliśmy z teściową naradę, co mamy robić po ślubie?

Tytanie wydało mi się co najmniej zbyteczne, albowiem nie sądzę, aby, co do mnie przynajmniej, zachodziła potrzeba udzielania jakichś informacji, ale ustąpiłem przez grzeczność i zasiadłem przy stole z miną radcy, który przychodzi na sesję, ma

jąc głębokie przekonanie, że w danym wypadku sesja jest zbyteczna zupełnie. Teściowa zabrała głos.

— I coż robić będziecie, gołąbki?

— Będziemy się kochali—rzekła Mania.

— Dobrze, moja córeczko, ale gdzie?

— Aha—pomyślałem — locus regit actum, jakaś kwestya cywilna, mniej dla mnie interesująca.

— Ja zawsze będę w raju—wtrąciła Mania. Przyzwoitość nakazała mi mruknąć, że i ja także...

Teściowa otarła oczy sztuką batystu, z której coś odkrajano na tak zwaną wyprawę.

— To wzruszające! — zawołała. — Macie słuszość, drogie dzieci, wzajemna miłość to raj, ale dokąd pojedziecie po ślubie?

— Ja... na śledztwo—odrzekłem.

— A wstydz się, wyrobię ci urlop.

— O tak, mateczko, urlop, urlop! — zawołała Mania—urlop na sto lat. Wtrąciłem, że można tylko na dwadzieścia osiem dni... Mania się rozplakała i rzekła:

— Więc tylko dwadzieścia osiem dni żyć będę?...

Ten wykrzyknik wzbudził w moim umyśle niejakię podejrzenie, alem je odrzucił natychmiast. Teściowa mówiła dalej:

— Moje dzieci, wy się kochajcie, a ja będę za was myślała. Nie wyślę was w podróż za granicę, bo to już wyszło z mody; tylko z bogaceni żydzi rozwłócżą najpiękniejsze wspomnienia życia po brudnych hotelach włoskich. Fe! Nie chcę was

też zatrzymywać w mieście, ho potrzebne wam jest pewne tło, pewne otoczenie urocze, czyż nie tak?

— O tak, mateczko!—zawołała Mania.

— A więc pojedziecie na wieś, do Zosina; kazałam wyporządzić dla was dworek przy ogrodzie. Dzierżawca mój mieszka na drugim folwarku, więc będziecie zupełnie swobodni. Wyjedziecie zaraz po ślubie, a ja się stawię na drugi dzień.

Na tę wiadomość Mania wydała okrzyk radości tak głośny, że aż drgnąłem.

Była chwila, że miałem chęć kazać ją aresztować.

Co za dzieciństwo!

Stanęliśmy w Zosinie o godzinie czwartej po południu. Mania poszła zaraz do swego buduaru, aby się przebrać, ja zaś chciałem skorzystać z czasu i przede wszystkim obejrzeć teren zbrodni... to jest nasze mieszkanie, albo, mówiąc dziwacznym językiem teściowej, „gniazdko gołąbków."

Oryginalnie się wyraża ta kobieta; każdy jej frazes wygląda jak prosta kradzież z książki, lub rabunek, dokonany na jakim niezamownym poecie. Domek znajdował się tuż przy ogrodzie i składał się z sześciu pokoi i kuchenki; wejść było dwa: od frontu i od dziedzińca (do kuchni). Do ogrodu wchodziło się przez furtkę, opatrzoną lichym, zepsutym zamkiem, na którym znać było ślady dłuta. Ogród otoczony był sztachetami, z których kilka można było z łatwością wyjąć; próbowałem. Uliczki wygracowane i wygrabione świeżo, masa krzaków

bzu i jaśminu. Wyborna kryjówka dla złodziei! Nieco dalej w ogrodzie sadzawka, zapełniona, zielona, ponura jak dzieciobójstwo, za nią drzewa różne, a wśród nich jedna lipa z uschlą gałęzią, istne pokuszenie dla samobójców. Trawniki bez śladów stopy ludzkiej, lub ze śladami starannie wygładzonymi, co zdaje się prawdopodobniejsze. Za parkanem z jednej strony droga publiczna, z drugiej mała rzeczulka, z trzeciej pole i las, a z czwartej nasz dom i dziedziniec. Zanotowałem w myśli te szczegóły.

Pierwszy obiad samnasam.

Mania wygląda bardzo ładnie i nalewa chłodnik; usługuje Marysia. Zwróciłem się do niej z zapytaniem, kto tu gotuje? Odpowiedź była niejasna i wymijająca. Pozostawiłem dalsze badania na później.

Zjadłszy chłodnik i wypiwszy kieliszek madery, przysunąłem się z krzeselkiem do żony, z zamiarem złożenia na jej buzi pocałunku.

Zmieszała się nadzwyczajnie; zauważyłem w niej pewien niepokój, na twarzy mocne rumieńce, w oczach łzy, które zresztą natychmiast otarła i usiłowała się uśmiechnąć.

Odsunąłem się z krzesłem i zacząłem jeść kurczę z sałatą, milcząc i nie spuszczać z Mani wzroku, tego magnetycznego wzroku, który już wielu zbrodniarzy zmusił do wyśpiewania prawdy.

Na Manię podziałał on inaczej. Po obiedzie przeszła do salonu i usiadłszy przy fortepianie, wy

śpiewała aryę z "Rigoletta" głosem bardzo drżącym i niepewnym. Zrobiła to zapewne w celu odwrócenia mej uwagi.

Nie bardzo to łatwo.

Tui przy salonie znajdował się jej pokój, który miał tylko jedno wejście, właśnie z salonu.

Bawiła tam moja tak zwana żona (na zegarek patrzyłem) osiemnaście minut, ale nie sama.

Do ucha mego dobiegały przyciszone głosy rozmowy i wyraźnie rozróżniałem słowa: „mój drogi,” „mój kochany,” „nie zapomnij,” „koniecznie!”

Zwyczajny mąż możeby od takiego szeptu zwaryował, a ja badałem; gdy rozmowa ucichła, zapukałem do drzwi (jedynych, jak już nadmieniałem wyżej).

— Proszę—odpowiedziano.

Wszedłem i zastałem ją samą, lecz bystre moje oko dostrzegło na podłodze kilka plam z wilgotnej ziemi i jedną podobną na oknie. Ta ostatnia miała tem większe znaczenie, że zaznaczała się wyraźnie i miała formę dużego męskiego obcasa.

Coraz lepiej!

— Więc to sypialny pokój? — zapytałem jak najgrzeczniej. .

— Tak—odrzekła, spuszczaając oczy.

— Wszak pozwolisz go zwiedzić szczegółowo? Spojrzała na mnie wzrokiem, który wyrażał obawę.

Udałem, że tego nie widzę i najspokojniej zacząłem badać wnętrza szaf, zajrzałem do komody, za toaletę, za pice, na piec, otworzyłem małą szafeczkę przy łóżku...

Mania wybiegła z płaczem; nie goniłem jej i w dalszym ciągu robiłem rewizję.

Czyjeż to ślady na podłodze i na oknie? Kto wchodził sekretnie do pokoju mojej żony i z jakim zamiarem?

Pomimo że zmrok zapadał, wyszedłszy do ogrodu, znalazłem pod oknem ślady dużych butów męskich, zmierzyłem jeden trop taki i odrysowałem go dokładnie na arkuszu papieru; ślady szły ku furtce, lej samej, na której były znaki od dłuta i ginęły nu dziedzińcu.

Gdym skończył tę czynność, dostrzegłem że Mania stoi nad sadzawką. Nagle zbliżyła się ku mnie i spytała:



— Czy pan... czy mąż... czy Karelek... czego szuka?  
Była tak pomieszana, że nie wiedziała, jak mnie ma tytułować.  
— Tak jest—odrzekłem—szukani.  
— Ach, więc coś zginęło?  
— Prawdopodobnie.  
— Ależ co, na Boga?  
— Może mój honor, może szczęście, może spokój, wogóle coś, co ginąć nie powinno bezkarnie.  
— Przerażasz mnie!  
— Zdaje się, że mówię bardzo spokojnie.  
— Drzę cała!

— W danym razie jest to naturalne...  
— Cor  
— Objaw zwykły. Teologia nazywa to wyrzutem sumienia... pewna szkoła kryminalistów obawą kary.  
— Co to znaczy?  
— Pomówmy rozsądnie; przed mojem okiem nic się nie ukryje, przyznaj się więc od razu.  
— Do czego się mam przyznać, przez Boga?  
— Do popełnionego czynu.  
— Alei ja nie popełniłam nic!  
— Zwykła odpowiedź oskarżonych... Powiedz mi, pani, dlaczego są znaki na zamku od furtki i kto je zrobił?  
— Nie wiem.  
— Dobrze, moje więc wiesz, czyj ślad odrysowany jest na tym papierze?  
— Ślad jakiejś ogromnej nogi.  
— Męskiej zapewne.  
— Może.  
— Ach, więc już mamy mężczyznę. Zechciej mnie teraz poinformować, co to właściwie było? Czy wiarołomstwo poprzednio umówione i

dokonane, czy też przysposobienie do napadu nocnego w celu pozbawienia kogoś życia? Proszę odpowiedzieć bez wykrętów, gdyż ja już o wszystkim wiem.

— Pana... zapewne głowa boli—odrzekła—może piłeś za dużo wina przy obiedzie.

— Może... Wejdźmy do domu, napiję się zimnej wody i pomówimy jeszcze spokojniej... Proszę iść naprzód, ja zaraz nadejdę.

Zanim wszedłem do tak zwanego „gniazdka gołąbków” (co za dzika ironia!), zamknąłem przedewszystkiem okiennice z zewnątrz i zawiązałem je mocnym sznurem. Ubezpieczywszy w ten sposób osobę wiarołomnej, a już co najmniej silnie poszlakowanej żony mojej od strony zewnętrznej domu, postanowiłem przeciąć jej możliwość ucieczki przez drzwi. W tym celu zaprowadziłem ją do sypialnego pokoju, obejrzawszy poprzednio zamek i schowawszy klucz do kieszeni. Każdy mój krok wywoływał w niej przerażenie, a gdy ją surowo i kategorycznie zapytałem o nazwisko współnika przestępstwa, gdyż zażądałem, aby mi wyjawiała jego nazwisko, wybuchnęła spazmatycznym płaczem. I tę metodę znam. Widząc że dziś już nie zdołałem wydobyć zeznania, włożyłem klucz w zamek i rzekłem:

— Pani... przyznam się, że wyobrażałem sobie inaczej pierwsze chwile małżeńskiego pożycia, gdy jednak znalazłem ślady niegodziwych czynów, zmuszony jestem panią uwięzić.

— Mnie!?!—krzyknęła, zrywając się z krzesła.

— Tak... panią... O! nie lękaj się, o ile można, ści chcę uniknąć skandalu... dlatego nie posyłam po wójta, nie rozstawiam wart.

— Wójt?! warty?! Boże, cóż to znaczy?!

— To znaczy, że przepędzisz pani noc dzisiejszą w tym pokoju, pod kluczem.

Ja?

— Zapewne... Nie radzę próbować ucieczki, bo sam pilnować będę okna.

— Boże wielki, ten człowiek zwaryował! Zawołam na pomoc!  
— Nie radzę robić krzyków, bo natychmiast posyłam po wójta.  
Padła z płaczem na łóżko, ja zamknąłem drzwi na dwa spusty i, uzbroiwszy się w kieszonkowy rewolwer, do białego dnia przechadzałem się po ogrodzie i dziedzińcu.  
Tak przepędziłem pierwszą noc po ślubie.  
O dziewiątej rano przyjechała teściowa, taka rozpromieniona, wesoła, uśmiechnięta, jak gdyby nie było na świecie wiarołomców, morderców, podpalaczy, złodziei. Spieszyła do „gniazdka gołąbków” ironio!  
Zaraz z miejsca obrzuciła mnie pytaniami:  
— Jakże nasza droga Manieczka? co? jakże?  
— Są silne poszlaki—odrzekłem, kłaniając się sztywnie.  
— Poszlaki? na nią? ależ ty masz bzika, mój zięciu!  
— Ani odrobinki, łaskawa pani.  
— O co ją posądzasz?  
— To się niebawem wyjaśni.  
— Gdzież ona jest?  
— W sypialnym pokoju, gdzie przepędziła noc pod kluczem i pod strażą.  
Twarz mojej teściowej nabrała barwy krwi.  
— Dawaj ten klucz!—zawołała z wściekłością— dawaj natychmiast!  
Słyszysz?

Po niejakiem namyśle otworzyłem pokój sypialny. Lampa dopalała się, żona moja, ubrana, leżała na kanapie, była blada, zapłakana, brzydka. — Maniu! Maniu!—krzyknęła matka. Mania zerwała się szybko i w objęciach matki zaczęła strasznie płakać. Ja cofnąłem się do salonu. Na tem miejscu mógłbym pamiętnik swój, a raczej ten jego rozdział, przerwać. Teściowa, która także przeprowadziła drobiazgowo śledztwo, nazwała mnie naprzód grubianinem, a potem idyotą. Według jej kompetentnego zdania, tylko idyota mógł przepędzić tak wyjątkową noo w podobny sposób, co ja. Jest to także pogląd, aczkolwiek motywowany słabo. Człowiek, według konkluzji teściowej, który wchodził przez okno pokoju mojej żony, nie był to mężczyzna, tylko... ogrodnik; ubiera! on jej pokój kwiatami, wchodzi! zaś przez okno i wychodzi! przez nie, żeby nie powalać posadzki, zafroterowanej świeżo w salonie. Co do wyrazów „mój kochany,” „mój drogi,” te istotnie powiedziane były przez moją żonę, która niby już z wrodzonej delikatności jest taka uprzejma dla prostych ludzi. Ostateczne wnioski teściowej były takie, kwiat nie jest wiarołomstwem, ogrodnik nie jest mężczyzną, ja zaś nie jestem gentlemanem, lecz idyotą, szaleńcem, niegodnym być mężem anioła. Co za naciąganie! Można to wmawiać w kogo innego, ale nie we mnie. Kiwałem też głową z uśmiechem niedowierzania, co doprowadziło te

ściową do takiej pasyi, że zabrała Manię do domu i natychmiast rozpoczęła sprawę rozwodową.

We dwie godziny po nich i ja opuściłem Zosin. Badań dalszych nie prowadziłem, bo ostatecznie cóż mnie obchodzi wiarołomstwo, popełnione przez kobietę, która faktycznie żoną moją nie była, a obecnie z mocy wyroku i prawnie już nie jest?

W dalszym ciągu marzę o karierze i odznaczeniu się, ale żenić się nie mam zamiaru. Dość raz.

Znak na zamku od furtki ogrodowej, jak wykryłem, zrobiony był także przez ogrodnika, który chciał go niby zreparować. Wykręt! Ale, jak

powiadam, sprawa to nie moja już—niech tam strona interesowana  
prawdy szuka... jeśli może.

## GOSPODARSKI RANEK.

Ciemno jeszcze byto.

Mróz, niebo wyiskrzzone, gwiaździste. Kryształki śniegu błyszcząły  
migotliwie; na wzgórku rysował się niewyraźnie kontur wiatraka, którego  
śmigami wiatr kręcił.

Koguty piąć zaczęły; od czasu do czasu szczeknął pies, z okna tej lub owej  
chaty błysnęło jaskrawe światło ogniska, w którego błyskach migotliwych  
można było dostrzedz zaspaną dziewczuchę lub babę, przedzającą na  
pierwotnej, jak świat starej, kądzieli.

W czworakach już świecili — ekonom z czerwoną latarnią i z nosem także  
czerwonym, kręci! się koło budynków, mówiąc pacierz i klnąc wszystkimi  
dyablami na przemiany, a pan dziedzic folwarku spał snem  
sprawiedliwego i chrapał...

Ależ jak on chrapał!!!

Gdybym był poetą, powiedziałbym, że w tem chrapaniu słychać było jęk  
upadającej posiadłości

wiejskiej, kwilene nad brakiem kredytu—to znowu jakiś świst szydrczy, sarkastyczny, jakby skierowany przeciw obietnicom naszych znanych, zapowiadających bank rolniczy.

Tak chrapać potrafi tylko szlachcic. Dziwna rzecz, że od tych jęków, zgrzytów i westchnień bezwiednych nie spadła z kołka wisząca nad łóżkiem dubeltówka, że zegarek z pantofelkiem zielonym nie uleciał w powietrze... Lecz i chrapanie ma swój koniec. Była to godzina, o której karbowy przychodził po klucze.

— Co u licha, dziś go jakoś nie widać!? czyżby spał jeszcze? Nie, to niepodobna.

Pan Jakób świecę zapalił.

— Magda! Magda! — krzyknął głosem donośnym.

Na to wezwanie stawiała się Magda — zdrowa piękność, o krzepkim szkielecie, świetnie rozwiniętej muskulaturze, czerwonej twarzy i włosach konopnych.

Pan Jakób nie patrzył obojętnie na Magdę, była w jego guście.

— Słuchajno, Magdusiu — szepnął możliwie pieszczotliwym basem,—co to znaczy, że Sadłowski nie przychodzi po klucze?

Na twarzy Magdy malował się smutek jakiś i zakłopotanie... Mięła fartuch w rękę—poprawiała chustkę na głowie, milcząc.

— No, gadajże, był Sadłowski po klucze, czy nie?

— Gdzie zaś, nie był.

A dlaczego, czy jeszcze śpi?

— Gdzie zaś, panie, zaraz po północy wstał.

— Wiec dlaczegoż po klucze nie przyszedł?

— Bo mu nie było potra...

— A czemże otworzył? Palcem czy co?  
— Kiej śpichrz otworzony.  
— Któż go otworzył, kiedy ja mam klucze pod poduszką, o, widzisz?  
— Musi złodzieje byli i otworzyli.  
— Co ty gadasz?  
— A dyć, prawdziwie panie tak jest.  
— O nieszczęście moje! Wołajże tu Sadłowskiego; dlaczego ten stary osioł zaraz mnie nie obudził... co to jest!  
Delikatnie, powoli i nieśmiało wchodzi Sadtowski.  
Frasobliwą minę ma... milczy.  
— No cóż, gadaj stary, okradli nas?!  
— Akuratnie, wielmożny panie, okradli — widać jeszcze przed północkiem — na pierwszy sen trafili — wyważyli drzwi i tyle... saniami byli, do gościńca ślad jest — a dalej ni znaku.  
— Co wzięli?  
— Pszenicy było odmlynkowanej korcy siedem i garncy dwadzieścia, to wzięli — żyta było żydowskiego, co wielmożny pan miał niby odstawić, kupa, to ubrali też z dziesięć korcy.  
— Wzięli?!  
— A juści, i znowu chomontów starych, co jeszcze byli za nieboszczyka starego pana za paradne, dwie pary wzięni, ale im się rozlecieli zaraz przy spichrzu.

— A niech ich milion kroć! Czemużeś nic przyszedł zaraz i nie obudził mnie? byłbym posiał konno, możeby jeszcze dogonili.  
— Proszę wielmożnego dziedzica, akuratnie zara duchem kazałem Wojtkowi siadać na ślepego, a Michałek poięcia] na Szmulowej — jeszcze ich nie widać, a ja zaś akuratnie byłem zaprzątnięty i nic mogłem odejść.  
— A cóż Sadłowski robił po nocy!?  
— Czerwonego woła ratowaliśmy, proszę wielmożnego pana.  
— Masz tobie, gdzież on jest?

— Prawdziwie i akuratnie — to go już niema.  
— Jako niema?  
— Akuratnie nibyć jest, bo leży, a zaś znów go niema, choć leży, bo zdechł, wielmożny panie.  
— Wól zdechł? skąd? Wczoraj był jaknajzdrowszy.  
— Akuratnie, nawet że skikał przy pojeniu, tymczasowie po północku, parobek do mnie, niby, do okienka puk, puk!... a ja mówię kto tam? a on powiada — Sadłowski! niech Sadłowski idzie woła czerwonego lokować, bo kiepski—ja mówię: ola Boga! i zara wlałem w kozuch i duchem do obory!... Świecę latarnią, wolisko leży... stęka... patrzę, spęczyło go het... bydlę jak góra!  
— Cóżście mu zrobili?  
— Wszystko, wielmożny panie, okowity mu dałem z mydłem i z octem bez mała czego kwartę... tem bardziej soli, po tamtej siwej krowie, co zdechła, było ze dwa funty —dałem. Nic nie pomaga. Gospodyni miała znów hemetyku pięć proszków,

też dałem—i znów czekam—nic. Juzem gtowę straci! do szczętu, ale myślę, ryzyk fizyk! trza ratować. Akuratnie proszę wielmożnego dziedzica żona moja miała takie apteczne lekarstwo, przez urazy wielmożnego pana, od kobiecej słabości, takż i to dałem.

— Coś ty, zwaryował?!

— Gdzie zaś? jeno człowiek niewiedzący wszystkiego próbuje—ja myślałem, że moje się we wole co wzruszyło... potem rozcieraliśmy go kołkiem, a potem Ignacowa zamawiała i zaraz też zdechł.

— Czegoście go nie dorzneli?

— A jakże panie, ino tylko co zdechł, zaraześmy mu grzdykę przerzneli, ale krew nie szła— żydy już byli, mięso kupią do miasta; takie miał biśtyki, jak słonina...

— Oj Boże, Boże, ja tu zginę przy was!... Do lasu posłałeś?



— Zaraz fornale jadą — tylko nie wiem, kto Szczepanowemi końmi pojedzie?  
— Ano któż? Szczepan!  
— Właśnie, wielmożny panie, że nie, bo się wczoraj spił jak cztery dziewczki, zadatek rznął o ziemię i powiedział, że nie chce służby znać.  
— Cóżżeś mu na to?  
— Straszylem go wielmożnym panem i prześwietnym sądem... ale gdzie on i wielmożnego pana i sąd odesłał, to nawet wstyd powtórzyć...  
— Możesz nie powtarzać—więcej nic?  
— Bogu dzięki —tymczasowie nic.

— No, idź na folwark, każ kowalowi nowe zaniki do spichrza dać, z wolem zrób porządek, ja tam zaraz przyjdę.  
— Magda! Magda! chodźno i powiedz Kokosińskiej, niech mi tu kawy przyniesie, bo już dzień; a co tam za żydziak czai się przy bramie?  
— On do wielmożnego pana z listem, jeno się psów boi.  
— Weź od niego list i powiedz mu, niech idzie się rozgrzać do pachciarza—skąd on jest?  
— Z miasteczka.  
— No, biegaj po list... mozem na loteryi wygrał! może choć jedna dobra nowina!

Magda wróciła z listem.

Pan Jakób włożył okulary i czytać zaczął—po chuili zaklął piorunami, zmiął list w rękę i cisną w piec.

Ciekawy ten dokument zawiera! następujące wyrazy:

.Wielmożnego dziedzycu... Na jeszonowa pora kupiałem od wielmożnego pana sześćdziesiąt pary zborzie, czyszczowanego, mlinkowanego, przez żadne kunkul i kostrziewa, co było kontraktowanego, z dostawem na Lystopadzie. Zborzia pan nie dostawiłeś, atymciasemcene spadniało i w Gazete Handlowe, tak stoi co nic warty—prosię mi wracać mego zborzia i zapłacycz dwieszczce czterdzieści rubli straconego korzyśców, bo inaczej

podam wielmożnemu dziedzycowi na sąd z wielgiem ziczliwością  
bardzo upsiejmy sługa.  
Chaskiel Cytryner."

- A niech cię milion!. Podawaj sobie gdzie chcesz, zboże leżało w spichrzu, czekałem aż je ukradną!—Kokosińska, dawaj raz tę kawę!
- Czy i dla wójta każe pan dać?? — A gdzież jest wójt?
- Czeka w pierwszej stancyi.
- Woiaj go!
- Niech będzie pochwalony—rzecze, kłaniając się, niemłody wieśniak.
- Na wieki — siadajcie sobie wójcie, co tani nowego?
- Ha, nieszczęście na wielmożnego pana, wolisko zdechło.
- Zdechło, cóż robić!
- Właśnie według tego jezdem, niech pan nie kaze zdejmać skóry—zara wityrniorz przyjedzie, może, chowaj Boże, zaraza...
- Dobrze, dobrze.
- Okradli też wielmożnego pana—szkoda — posłałem laport do śledowatego—Bóg ta Najwyższy wie, cy znajdą.
- Eh, przepadło... takie to nasze życie...
- Oj prawda, prawda — rzekł wójt, sięgając za sukmanę—i powiastków do sądu mam dla wielmożnego pana coś osiem.
- Tylko osiem?
- I znowu przykaż je, żeby wielmożny pan dał cztery furmanki na jutro, bo wojsko będzie jechało.

— Czekajcie, wójcie... odpocznij, choć kielich gorzałki kropnę, bo mi już w gardle zaschło od tego wszystkiego.

— Oj, święta prawda, panie, zawdy kuždy człek ma swojego mola... a czy wielmożny pan ma kiele siebie trochę groszowiny?

— Albo co?

— Sekwestrator dziś ma być.

Skradzione dziecko.

(Ze wspomnień starego myśliwego.)

Zima była dość ostra; śnieg otulił ziemię w całun biały. Pod tem przykryciem puchowem zniknęły pola, łąki, zniknęły rzeki i strumienie, pokryte twardą skorupą lodu. a w lasach, na konarach wysokich sosen i świerków, bieliły się także płaty śniegowe, które przy lekkim wietrze spadały, roztrzaskując się w powietrzu na drobne, błyszczące kryształki. Zaledwie świtać zaczęło, wesola drużyna myśliwych na prostych saniach fornalskich śpieszyła do lasu; na drugich saniach umieszczono ogary, które rozglądały się dokoła czarnymi, rozumnymi oczami.

Przodem, na krępym podjezdku, pomknął stary gajowy Ludwik, doświadczony myśliwy, strzelec doskonały, z okiem sokola i isticie lisim sprytem do wytropienia zwierza. Poprzedniego wieczoru upatrzył on w legowisku olbrzymiego odyńca i teraz

prowadził myśliwych na pewno, gdyż wiedział, że mu się zwierz nie wymknie.

Konie biegły rażno, parskając i podnosząc kopytami tumany śniegu; myśliwi rozmawiali półgłosem, opowiadając sobie, nie bez ubarwień pewnych, różne zdarzenia łowieckie, i ani się spostrzeżono, jak wjechano w las stary, szumiący, poważny, pełen tajemniczych szmerów i szeptów. Od śniegu oślepiającej białości odskakiwała ciemnozielona, prawie czarna barwa sosnowych igieł, z których przy lada poruszeniu wiatru spadał brylantowy deszcz śnieżnych kryształków.

Stary Ludwik zalecił milczenie i ciszę, porozstawił na stanowiskach strzeleów, a sam, wzięwszy psy na smycz, pokłusował w kierunku upatrzonego legowiska.

Myśliwi, trzymając broń do strzału gotową, z odwiedzionymi kurkami, wyteżali wzrok, patrząc w gęstą łożę, z której spodziewali się, że zwierz lada moment wyskoczy.

Przez dobry kwadrans panowała cisza grobowa, nieprzerywana ani jednym słówkiem, ani westchnieniem nawet, tylko wiatr szumiał wśród konarów, albo nadłamana gałąź skrzypnęła pod ciężarem śniegu.

Nareszcie w owej łożie gęstej nagle dato się słyszeć szczeknięcie jedno, drugie, dziesiąte, a potem cały chór grubych, dźwięcznych głosów. To ogary ujadały zawzięcie, skomlać, rzucając się na nieprzyjaciela, który nie chciał legowiska swego opuszczać.

Myśliwi, gotowi do strzału, wstrzymali w sobie oddech. Ten i ów obejrzał się ostrożnie, czy w bliskości niema jakiego pieńka, za który możnaby się schronić w razie niebezpieczeństwa.

W gęstej łożnie zrobił się szum i łoskot, dzik, wściekły ze złości, tocząc pianę z otwartego pyska, w którym świeciły kły białe, przedzierał się przez zarośla, a zawzięte psy rzucały się na niego, wpijając mu zęby w nogi i krwawiąc uszy. Od czasu do czasu odyniec obruszył się, machnął łbem potężnym i pies rozplątany padał z przeraźliwym skomleniem.

Dwa strzały zraniły mu kark; zwierzę z wściekłości i bólu szalało, pędząc wprost na linię myśliwych.

Linia ta w jednej chwili została złamana, trwożliwi powskakiwali na pnie, inni po kilku niefortunnych strzałach pochowali się za drzewa, a dzik pędził wprost na właściciela lasu.

Był to człowiek stary, z wielkimi siwymi wąsami, groźnym spojrzeniem. Spokojny, nieruchomy, z twarzą przyłożoną do strzelby, stał on na drodze szalejącego zwierza i przypuścił go do siebie na piętnaście kroków. Dzik schylił łeb do ziemi i jednym susem byłby zwałił z nóg śmiałego myśliwca, lecz celny strzał ugodził go jak piorun w samo serce i zwierz padł prawie tuż przy nogach starego myśliwego.

— Wiwat, wiwat!—huknęli z całej piersi myśliwi—to mi gracz dopiero! i zaczęły się winszowania, oglądania, podziwiania krwi zimnej i trafności strzału.

Na odgłos trąbki nadjechali niebawem fornale z saniami, wciągnięto na nic dzika, dobyto butelki i przekąskę i zaimprovizowano naprędce śniadanie.

— Ale gdzie Ludwik?

— Gdzie Ludwik?—zapytano—wszak do niego tryumf należy W polowie; on dzika obszedł, on go wypatrzył, wypędził go na nas.

Zaczęto trąbić w nadziei, że się stary gajus odezwie — ale napróżno. Z daleka tylko, bardzo z daleka, dochodziło przytłumione szczekanie psa.

— To, proszę wielmożnego pana, Kruczek tak ujada—odezwał się fernal;  
—ja zaraz jego ujadanie poznam.  
— Jaki Kruczek?  
— Adyc Ludwikowy pies; on za nim łązi jak cień, on nie odstąpi go ani na moment.  
— Może się staremu jakie nieszczęście przytrafiło? możeby tam dojechać do niego?  
— Ej nie — ozwał się fernal — co jemu może się przytrafić? On w lesie mądrzejszy, niż inszy w chałupie, ślepie ma jak jastrząb, a ze swojej strzelbiny to może w lot komarowi lewe oko wystrzelić i prawego bestya nie trąci.  
Zaczęto mówić o czym innym i czekano powrotu gajowego. Nagle wśród ciszy leśnej dało się słyszeć głośnie chrapanie i myśliwi ujrzeli z daleka, jak przez wązka leśną drożynę pędził Ludwik. Tłusty mierzyn, zmuszony do forsownego galopu, spuścił łeb ku ziemi i sapał jak stary miech kowalski. Ludwik puścił mu cugle na kark, a obydwoma rękami przytulał do piersi jakiś przedmiot,

szary, dość duży, którego z daleka niepodobna by ło rozpoznać.

— Co to? co to?—zapytano—co on za zwierza upolował?

Mierzyn, dopadłszy do sani, osadził się. jak wryty. Ludwik zeskoczył z siodła i zawołał.

— O la Boga, wielmożni panowie, ratujcie!... Zdaje się żyje jeszcze...

To mówiąc, rozwinał chustkę szarą i oczom zdziwionych myśliwych ukazała się dziewczeczka, sześćioletnia może, z czarnymi włosami jak krucze skrzydła, o ślicznych, regularnych rysach; ale twarzyczka jej, posiniała od zimna, była martwa prawie, rączyny sztywne jak u trupa. Właściciel lasu rozłożył futro na saniach, położono na niem dziecko, roztarto mu śniegiem nogi i ręce, a w usta wiano trochę wina. Na śliczną twarzyczkę wystąpiły kolory, lecz dziecina natychmiast w głęboki sen zapadła.

— Gdzież ją znalazłeś, Ludwiku? — zapytano.

— Ot, wielmożny panie—odpowiedział stary,— jak jeno psy dzika ruszyły, ja patrzę, a mego Kruczka niema, poleciał bestya i szczeka gdzieś, tak naszczekuje, aż strach; myślałem, że na warchlaka trafił i ujada. Ze tu już psy ruszyły i wiedziałem że dzik na panów wyjdzie, takem pojechał za Kruczkiem... Patrzę, coś czarnego pod drzewem... Chciałem strzelić! — Matko Boża, aż mnie mróz przechodzi po skórze! ale mnie coś tknęło... podjeżdżam, patrzę... dziecko. — Skąd ty? co za jedna? a ona nic, jeno później powiada—Hania... sierotka... macocha... i— kaput! zwiesiła główkę, jak postrzelona

kuropatwa i aus. Myślałem ie umarła, ale widzę że dycha, takem ją wziął na ręce i lecę tu duchem... Widzi wielmożny pan — rzekł, odchylając ostrożnie futro — widzi wielmożny pan, zagrzała się, żyje... o dzięki Najwyższemu... byłoby na szczęt zamarło biedactwo!...

— Trudno ją opuścić, weźmiemy ją do dworu—rzekł gospodarz.

Ludwik błagalnie ręce złożył.

— Wielmożny panie—rzekł—tyle lat u wielmożnego pana służę pocziwie, tyle zwierzyny natlukłem i nigdy nic dla siebie nie wziąłem, ale to maleństwo niech moje będzie...

— Cóż ci po niem, mój Ludwiku?

— Widać wola Boska już taka. Dzieci nie mam, może ta sierotka osłodzi mi starość, może mi kiedy oczy zamknie...

Mówiąc to, stary miał łzy w oczach.

— Ha, więc weź ją, mój kochany, a moja głowa w tem będzie, żeby ją wyposażyć pocziwie.

Ludwik panu do kolan się skłonił.

Myśliwi z tryumfem powracali do domu; stary Ludwik tulił do piersi dziecinę, otuloną w futro.

Ludwik mieszkał w lesie. Na polance, przy dróżce wąskiej, która, jak wąz szary, przesuwiała się wśród krzaków leszczyzny, stat domek mały,

czyściutki, przy nim stodołka i obórka, ogródek okolony niskim płotem chruścianym. Jak zwykle siedziba gajowego, tylko czysto i starannie utrzymana. Oboje Ludwikowie byli już ludzie nie pierwszej młodości. Dwadzieścia pięć lat przeżyli z sobą dobrze, zgodnie, poczciwie; chleba im nigdy nie

brakło—a nawet (bo, jak to mówią, i kamień na miejscu porasta) mieli podobno trochę groszowiny w skrzynce — od wszelkiego wypadku, na czarną chwilę.

Jedno ich tylko trapiło zmartwienie, a mianowicie bezdzietność. Nieraz wzdychali nad tem, że wśród ścian ich siedziby nie rozlega się gwar i szczebiot dziatwy, że nic będzie komu zostawić tego szczupłego mienia, do którego przez długoletnią oszczędność doszli.

Ludwikowa chodziła pieszo do miejsc świętych, żeby Pana Boga o pociechę uprosić, Ludwik własnymi rękami piękną figurę wyciosał i na tęż intencye przy drodze ją postawił, lecz niebo było głuche na ich prośby. Już się ściemniało, gdy gajowy, ze znalezioną dziewczynką na rękach, zastukał do chaty.

— Coś ty przyniósł, Ludwiku? — zapytała go żona ciekawie.

— Cicho, cicho—rzekł gajowy.—Com ja ci przyniósł? nie spodziewałaś się, niebożę—to mówiąc, delikatnie i ostrożnie złożył swój ciężar na łóżku.

— Ano, pójźże i obacz—rzekł,— kiedyś taka ciekawa.

Kobieta odchyliła futro, w które Hania zawinięta była.

— Wszelki duch Pana Boga chwali!... a dyć to dziecko?...

— Ano, widzisz przecie...

— Czyje?

— Alboż jawieni? dziecko—i tyle; toć nie nia napisane na głowie, czyje i gdzie się urodziło.



— Ale skąd ty je wzięłeś?

— Znalazłem w lesie... a że, jak miarkujenikt nie będzie się pytał o nie, to może i przy nas zostanie.

Kobieta przypatrywała się uważnie rysom uśpionej dzieciny.

— Bóg wie, co to za dziecko—rzekła — ni to cygańskie, ni żydowskie, czarne jak żuczek.

— Nie cygańskie i nie żydowskie, kiej ma na imię Hania.

— Powiedziała ci?

— A juści... no, a jak Hania, to niby Anna, a Anna imię święte, chrześcijańskie, a skoro imię ma, to musi być chrzczona.

— Ale gdzieżeś ją znalazł, co ona w lesie robiła, skąd się tam wzięła?

Ludwik z wszelkimi szczegółami opowiadał całą przygodę, mówił także że do dworu dziecko wziąć chcieli, ale on uprosił dziedzica, bo widać już taka wola Boska, żeby przy nim zostało.

Kobieta po krótkim namyśle rzekła:

— Ha, może i wola Boska, któż zgadnie? Bóg ci zapłaci, Ludwiku, żeś tę sierotkę przyniósł. Będę jej matką, jak Bóg przykazał, sprawiedliwie.

znowuż zbliżyła się do śpiącej dzieciny i patrzyła na nią uważnie.

— Czarna, bo czarna—rzekła—ale ładna, żeby się chociaż uchowało biedactwo.

— Co się niema uchować?—rzekł Ludwik.—Toć w chałupie Bogu dzięki nie mróz, krowiny mleko dają, chleb jest.

— Prawda, prawda, ale naprzód ogarnąć ją trzeba; toć na niej łachmany same. Zajrzę ja zaraz do skrzyni, to jej ze swojego przyodziewek jaki wyspekuluje, tymczasowo, dopóki się w mieście nie będzie.

Dla Ludwikowej z przybyciem dziecka otworzy! się nowy świat kłopotów, krzątaniny, szycia, ale poczciwa kobieta nie przykrzyta sobie tego. Dziecko zajmowało ją tak, jak własne, i rozweselało chwile samotności, gdyż Ludwik całe dnie w lesie przepędzał.

Hania chowała się zdrowo i z każdym dniem przywiązywała się bardziej do swych przybranych rodziców. Gdy wiosna nadeszła, śniegi stopniały, a z pośród zieleniejącej trawki wychyliły się główki kwiatków wiosennych, Hania całe dnie przepędzała w lesie, zbierając kwiatki, goniąc motyle, przysłuchując się śpiewom ptasząt. W cieniu starych sosen i świerków, w balsamicznem powietrzu lasu wzrastała dziewczynka, na twarzy jej kwitnęły rumieńce zdrowia, z drobnych ustek nie schodził uśmiech. Starzy zachwyceni byli swoją córką przybraną, o niej ciągle myśleli, o niej mówili tylko.

W zimie, gdy dziewczynka nie mogła biegać po lesie, Ludwikowa uczyła ją szyć i prząść, później sprowadzono elementarz z miasteczka, a że pani Ludwikowa była osoba piśmienna, więc zabrała się gorliwie do uczenia Hani i w rezultacie doprowadziła ją do tej perfekcyi, że mogła czytać płynnie z książki do nabożeństwa i ze starego kalendarza. Była to cała biblioteka gajowego.

Tak upływały lata, cicho, jednakowo, spokojnie, tylko dach na chacie gajowego poczerniał, a starym więcej włosów siwych przybyło.

Dziecko wyrosło już na dziewczkę hożą, dorodną, o dziwnie błyszczących, wymownych, czarnych oczach. O przeszłości swej Hania wiedziała niewiele, smutne obrazy dzieciństwa zatarły się prawie całkiem w jej pamięci, nie zastanawiała się też nigdy nad tem, kto byli jej rodzice, gdyż całym sercem przywiązała się do swych opiekunów. Ludwika

nazywała ojcem, Ludwikową zaś matką, i przez myśl jej nawet nie przeszło, żeby był na świecie ktoś inny, mający do tego tytułu prawo. Wogóle była to kwestya, która Hanię mało zajmowała. Często jednak stary Ludwik myślał o tem, kilka razy nawet wyjeżdżał w okolice, dopytywał się, badał, ale za każdym razem smutny i zgnębiony z tych wycieczek powracał. Chodził też do dworu i dziedzica prosił, żeby mu w tych poszukiwaniach dopomógł. Podobno też dziedzic listy w różne strony popisał, nawet w gazetach ogłaszał, ale żadnego śladu nie odnaleziono, a tajemnica pochodzenia Hani pozostała, jak przedtem, zagadką. Raz wieczorem, już na późnej jesieni, zdawało się Ludwikowi, że w lesie dostrzega jakieś oddalone światelko. Zarzucił tedy strzelbę na ramiona, świsnął na psa i w tamtą stronę poszedł. Aczkolwiek ciemno już było, znając jednak las doskonale, szedł śmiało wązka ścieżką, wydeptaną w gęstwinie.

Światło było coraz wyraźniejsze, do uszu starego myśliwca dochodził gwar kilkunastu pomieszanych głosów.

Ludwik domyślił się łatwo, że banda cyganów musiała się tu na nocleg zatrzymać—jakoż rzeczywiście tak było.

— Kto wam tu pozwolił ogień palić?—zapytał głosem donośnym.

— Oj panie, panoczku złocisty!—zaczęły krzyczeć cyganki — my nic nie ukradniemy, my ognia nie zaproszemy, tylko pozwól nam tu odpocząć, panoczku złocisty, żeby cię Pan jesus błogosławił, żeby ci Matka Boska stokrotnie nagrodiła.

— A nie mogliście gdzie w karczmie nocować, nie tu mi po lesie ognie rozkładacie?...

— Oj, panoczku, sam obacz, nasz stary zaniemógł, już duszy w nim prawie jak niema, zamawianie nie pomogło... księdza chce...

Na kozuchu, rozestłanym na ziemi, leżał wychudły, stary cygan. Biała broda spadała mu na piersi, oczy miał przymknięte — oddychał z trudnością.

Ludwik nachylił się nad nim; płomień ogniska błysnął żywiej i jasno oświetlił kościstą twarz starca, na której szybko zbliżająca się śmierć już wycisnęła swe piętno.

Ludwik pochylił się nad umierającym.

— Do chałupy go lepiej—rzekł.

— Nie, nie! — zawołała stara, brzydka cyganka. — Nie ruszcie go! Nie w chałupie jemu, nie na pościeli umierać! Chłop to on, czy co? Cygan, urodził się w lesie, przeżył tyle lat w bo

rach, niechże i ginie w boru, kiedy taka dola mu przyszła.

— Toż miłosierdzie nad starym miej, babo! — rzeki Ludwik z gniewem.

— Dalej, ruszcie się... do izby go weźcie.

— Nie, nie!—wrzeszczała cyganka—nie potrzeba!... samego spytajcie zresztą.

Cygan nic nie rzekł, lecz głową przeczące znaki wciąż dawał.

— Ha, skoro taka jego wola—rzekł Ludwik,— niechże tak będzie.

Chciałem go przygarnąć. Bóg świadkiem, człowiek to przecie... no... ale jak nie, to nie... Pamiętajcież mi, żeby z ogniem ostrożnie.

Chory cygan podniósł się na posłaniu, oczy jego błyszczały gorączkowo, wybełkotał kitka niezrozumiałych wyrazów po cygańsku i natychmiast wszyscy mężczyźni i kobiety, a nawet owa stara wiedźma, cofnęli się w las o kilkadziesiąt kroków.

Gdy już blisko nikogo nie było, starzec Ludwikowi dał znak, by się zbliżył do niego.

Czerwone światło ogniska padało na trupioblada twarz cygana, a w oczach jego malowała się niema prośba, ale tak wymowna, tak gorąca, że Ludwik mimowoli nachylił się ku niemu i spytał cicho:

— Co chcecie?

— Siadajcie—szepnął cygan.

Ludwik usiadł przy cyganie, który po chwilowem milezeniu zapytał:

— Borowy?

— Niby ja?

— A tak.

— Borowy, borowy, tutejszy.

— Jakże wam?

— LuJwik.

— Hm... Ludwik... Ludwik,, coś ja o was słyszałem...

— Nie dziwo, tot tu cygany często chodzą.

— Kościół daleko?

— Dwie mile.

Cygan westchnął ciężko.

— Dwie mile i noc... nie zdąży...

— Kto?

— Cygan po księdza pojechał, ale ona wpierw przyjdzie... o, przyjdzie...

Ludwik pytający wzrok w twarzy chorego utkwił.

— Nie wiesz kto? ale ja wiem... kto ona? to śmierć... już jest blisko, ot tam, tam stoi pod sosną. Patrz! widzisz?—mówił, wskazując wyschlą ręką na drzewo.

Ludwik przeżegnał się z trwogą.

— Nie bój się... ona do mnie... nie bój się... przysiądz bliżej i słuchaj... ty poczciwy, ty katolik... bo widzisz niby i ja katolik, a choć się czasem co skradło w kościele, ale toć człowiek nie pies, sumienie ma... Przysiądz bliżej, bo mi głos słabnie... i słuchaj... To będzie temu lat... ileż to? nie pamiętam... piętnaście może... jeszcze ja był cygan żwawy, jak koń. Ej, cygan był ja, cygan! i widzisz, córkę miałem... a ty masz córkę, Ludwiku?...

— Bóg nie dał...

— To lepiej, o lepiej sto razy, co po tem? Żebym kogo nożem dźgnął, tobym nie płakał, a wi

dzisz jak ona umierała, tom płakał, i nie płakał ja, ale wyj jak wilk, ręce sobiem gryzł, aż krew ciekła, kudły rwałem z głowy... Lepiej że córki nie masz. To było daleko... stąd może czterdzieści mil, może pięćdziesiąt... kto zliczy? my gościńcami nie chodzimy, tylko po borach... Już ona, córka moja, chora była oddawna... marniała, schła jak kwiatek na jesieni... ale wtedy, wtedy już całkiem zaniemogła... Stanęliśmy w wielkim borze... kazałem cyganom gałęzi nałamać, budę dla niej zrobili, mchu usiali świeżego i tak w tej budzie coś dwa dni leżała... Umierała biedna, umierała... ale jej umrzeć nie dali... Leśniczy przypadł, gajowi rozpędzili cyganów, rozwalili budę... het, precz wygnali... Podobno pan tak kazał... kto ich wie? Rozpędzili jak psów... Prosiłem, skomliłem... napróżno... Włożyliśmy chorą na wózek, a droga okropna, jak wiadomo w lesie, korzenie same, wyboje..! Nieboga nie ujrzała już słońca... przed samym wschodem skończyła.

Cygan zamilkł, głowa jego z ciężkością opadła na kozuch, głos miał przerywany, chrapliwy.

Ludwik z przerażeniem i trwogą na niego spoglądał.

— Słuchaj, słuchaj — rzekł cygan, unosząc się znowuż z wysileniem. — Patrz, tu pod tą sosną, ona stoi... śmierć... słuchaj... Jakem swoją dziewczynę pochował, tom już i nie spał i nie jadł, tylkom zemsty chciałem... krwi, ognia, zniszczenia!... Nie mogłem rzucić się wrogowi do gardła i zdusić go jak wilk... i krwią się napoić, ale cyganki moje podpcłzły pode dwór jak żmije... Państwo w go

ścinie gdzieś byli... w domu tylko służba i dziecko. Moje żmije miały ogniste żądła, rozumiesz ty... ogniste! Ukąsiły—i dwór, i stodoły i stajnie... cztery słupy ognia buchnęły od razu, na całą okolice świeciła krwawa luna, a ja wtenczas leżałem blisko, pod krzakiem, i patrzyłem na to zniszczenie; byłbym jadł ten ogień, byłbym go pii jak miód, taki mi był słodki!... Może w dwie godziny potem, kiedy ogień jeszcze szalał, jak wichher przylecieli państwo. Cztery konie mało co powozu nie rozniosły, tak rwały naprzód, jak wściekłe... no, było też czego! Państwo byli młodzi, niedawno żyli z sobą, a w domu córeczka jedynaczka została. Co ci gadać długo... jak oni szukali, jak dopytywali ludzi gdzie dziecko, to ja, przyczajony pod krzakiem, śmiałem się... ale jak on chciał się w ogień rzucić... jak ona krzyknęła!... to mi taki mróz po plecach poszedł, tak mi włosy dębem stanęły, żem ścierpnął cały. Po chwili dopiero między krzakami i trawą zacząłem się czołgać jak wąż, a gdy do lasu dopadłem, to biegłem jak szalony, milę, dwie, trzy może, aż uderzyłem łbem o dąb i skrwawiony upadłem na ziemię. Ten krzyk, ten jeden krzyk matki wiercił mi uszy, jak świdrem. Słyszałem go ciągle, bez ustanku, przez długie lata... i dziś go jeszcze słyszę...

— I ta dziecina spaliła się? — zapytał z przerażeniem Ludwik.

— E nie, nie spaliła się ona — odrzekł cygan z westchnieniem — bo ją moje cyganki ukradły. Służba spała, psy trutkę zjadły, a nim czerwony

kogut zatrzepotał skrzydłami, to dziecko było już w lesie.

Ludwik, który ze drżeniem słuchał słów cygana, teraz dopytywać zaczął:

— Gdzie to dziecko? gdzieście je podzieli? Ale stary milezał. Ociężałe powieki przymknęły się, głowa opadła bezwładnie,

— Gdzieżeście ją podzieli? gadajcie!— mówił, biorąc cygana za rękę. Napróżno!

Nagle Ludwikowi przyszła myśl; przypomniał sobie, że w torbie borsuczej, którą zawsze na sobie nosił, ma flaszkę z wódką. Wydobył ją natychmiast i, podtrzymując jedną ręką głowę cygana, drugą wlał mu spory łyk w usta.

Dziad, który omdlał chwilowo, zaraz oczy otworzył.

— O tu, tu, już przy tym krzaku stoi... tuż przy nas... widzisz ją?... borowy... borowy., ty jesteś tu jeszcze?... słuchasz?... czy słuchasz?... bo ja chcę, żebyś wszystkiego wysłuchał...

— Słucham, słucham—rzekł Ludwik—i pytam was, gdzieście to dziecko podzieli?

— Alboż ja wiem!—rzekł stary. —Uciekaliśmy z niem po lasach, ale strach był, żeby nie gonili, więc dopadłszy do jakiejś wioszczyzny, oddaliśmy babie na wychowanie; zapłaciłem jej dobrze za to, a w pół roku odebrałem i znów oddałem drugiej, o piętnaście mil stamtąd, żeby wszystkie ślady zatrzeć... potem trzeciej, a potem...

— Co potem?...

— Ha. ta trzecia... niegodziwa kobieta była... wypędziła dziecko z domu i od tej pory ani śladu... może ją gdzie w lesie wilki zjadły... może... albo ja wiem?... O, patrz... patrz... już idzie, już siada przy mnie... Cicho! słuchajno ty, borowy!... jeśliś uczciwy człowiek, masz; to cyganki wraz z dzieckiem papiery jakieś zabrały... weź to... szukaj... może duszy lżej będzie... Ach!... ten krzyk matki!... słyszę go jeszcze... skrzywdziłem ją, skrzywdziłem ich... niewinnie... oni nawet w domu nie byli... kiedy mnie z konającą córką leśniczy z boru wypędzał... mass, masz... jakże ci tam?...

— Ludwik.

— Masz te papiery... Ludwiku; szukaj dziecka., i pomódl się za mnie... To były ostatnie słowa starego cygana. Westchnął, wyprężył się i skonał. Ludwik krzyknął. Cała banda wnet do ogniska się zbiegła.

— Już po wszystkim—rzekł Ludwik smutnie,— już umarł...



Cyganki wybuchnęły głośnym płaczem, a Ludwik, ściskając konwulsyjnie w rękę zwitek papierów, zadumany, smutny, przygnębiony całą masą przykrych wrażeń, poszedł powoli ku domowi.

Przy świetle ogniska cyganki lamentowały rozpaczliwie nad zwłokami starego cygana, który przed chwilą zakończył swą doczesną włóczęgę.

W chacie Ludwika zaś tej nocy świeciło się bardzo długo. Hania od dawna już spała, Ludwikowa także, tylko on sam przy niepewnym świetle lampki przewracał i oglądał zbutwiałe papiery, które

z rąk umierającego cygana otrzymał. Było ich tam kilkanaście sztuk, a między nimi portrecik miniaturowy ra kości słoniowej, przedstawiający młodą, bardzo piękną kobietę, o czarnych włosach i wyniownem, bardzo rozumnym wejrzeniu.

Podobieństwo jej do Hani było tak uderzającym, że Ludwik ani na chwilę nie wątpił, iż tajemnica pochodzenia ukochanej jego wychowanki rozjaśniona zostanie.

Rozpamiętywając w myśli opowiadanie umierającego cygana, patrząc na plik papierów i na ów portret, Ludwik nie miał już żadnej wątpliwości, że Hania jest dzieckiem rodziców zamożnych, którzy, skoro się o niej dowiedzą, odbiorą ją natychmiast i dadzą jej edukację, majątek...

Hania opuści cichą chatkę w lesie, w dobrym bycie zapomni o swych opiekunach, którzy przywiązali się do niej sercem całym; a tu, w tej chatce ustronnej, będzie znowuż smutno, ponuro, jak w grobie...

Łzy zakręciły się w oczach Ludwikowi.

Przez chwilę wahał się, czy nie lepiej zamilezeć o rozmowie z cyganem, wrzucić w piec zbutwiałe papiery — i cieszyć się nadal dzieckiem, jak dotąd?... Zastanowił się starowina i nad tem, czy rzeczywiście w pańskim bycie lepiej będzie Hani, niż teraz, bo przecież różnie to bywa na świecie, a szczęście nie zawsze chodzi w parze z dostatkiem.

Swit go zastał pogrążonym w tych myślach ciężkich, lampka już zagasła, przez okienko zaczęło się wdzierać światło dnia i rozpraszało mroki, panujące w izbie. Bądźcobądź, chociaż z bólem

w sercu, chociaż przewidując smutną konieczność rozstania się z ukochanym dzieckiem — postanowił odszukać rodziców Hani i, nie zwłócząc, wziąć się zaraz do tego.

Zerwał się z lawy, oblał rozpaloną z bezsenności i wrażeń głowę zimną wodą, ubrał się odświętnie i papiery starannie pod sukmanę schował...

— Gdzież ty, Ludwiku, tak rano? — zapytała go żona, wchodząc z drugiej stancyi;—do miasta?...

— Ej nie, nie do miasta, tylko do dworu mi trzeba—odrzekł z zakłopotaniem pewnym,—a zresztą może i w mieście być wypadnie...

— Po co? na cóż to?—dopytywała z ciekawością kobieta, ale Ludwik niechętnie odpowiadał, nareszcie pod naciskiem ciągłych pytań na wykręt się zdobył.

— Bo to, widzisz — rzekł do niej — ambaras mam w lesie...

— Pewnie znowuż chłopci sosnę ścięli?

— E nie, tylko tu cygani nocowali niedaleko, no, i ich najstarszy zmarł; boję się, żeby sąd nie zjeżdżał, więc chcę zawczasu do dworu dać znać...

— Cygan umarł—rzekła kobieta — toż to nie napróżno wczoraj tak puszczyk hukął paskudnie; nawet mówiłam do Hani, że jeszcze jaką biedę wyhuka... no, ale kiedy się tak stało, to trudna rada, trzeba dać znać do dworu; zaraz ci też garnuszek mleka zagrzeję, żebyś tak o czczej duszy nie leciał.

To mówiąc, babina rozpałała suche drewka na kominie, Hania zaś pobiegła do obory ze szkopkiem.

Po niedługiej chwili Ludwik miał już gotowe śniadanie. Zjadł je, pożegnał żonę i Hanię, a zarzuciwszy strzelbę na plecy, poszedł ku dworowi. Z siedziby gajowego do dworu było dość daleko, pięć wiorst prawie, lecz dla człowieka tak jak Ludwik do chodzenia przyzwyczajonego, niewiele laka droga znaczyła. W godzinę też niespełna znalazł się we dworze, w pokoju zwanym kancelaryą, w którym właściciel folwarku przyjmował interesantów, oficjalistów i kupców, gdy się po nabycie jakiego produktu zgłaszali.

I w tej chwili znajdowali się tam ekonom, karbowy i dwaj żydkowie, którzy owies kupować zamierzali.

Ludwik, wszedłszy do pokoju, powiedział „pochwalony” i uklonił się nisko.

Właściciel folwarku był to człowiek stary, poważny, wielkie siwe wąsy spadały mu aż na piersi, a głowa pokryta była gęstymi, jak mleko białymi włosami.

Zobaczywszy Ludwika, dziedzic powstał z krzesła i rzekł, zbliżając się do niego:

— Jak się masz, Ludwiku, co u ciebie słyhać w lesie?

— Proszę wielmożnego pana, cygany przyszli wczoraj w nocy, ogień palili, chciałem ich wypędzić; ale był między nimi jeden stary, konający, więc pozwoliłem...

— Dobrześ zrobił.

— No... i proszę wielmożnego pana, ten stary zmarł w nocy, więc żeby jakiego ambarasu nie było.,.

— Nie będzie, już tu raniutko był cygan o deski na trumnę prosić... dałem desek, a ekonom zawiadomił wójta; cygan kilka tygodni już chorował podobno, więc kwestyi z pogrzebem nie będzie.

Powiedziawszy to, dziedzic zwrócił się do ekonoma i dyspozycyę jakiegoś mu dawał, Ludwik zaś stał wciąż przy drzwiach, przestępując z nogi na nogę.

Nic uszło to uwagi dziedzica.

— Ty masz do mnie jakiś interes, Ludwiku?...

— Niby, proszę wielmożnego pana—rzekł nieśmiało.

— No mów, czegoż się wstydzisz?

— Wielmożny panie, to jest taka rzecz, którą tylko w cztery oczy powiedzieć mogę.

Dziedzic spojrział na niego z pewnem zdziwieniem, odesłał ekonoma i karbowego, żydom kazał przyjść trochę później, a zasunawszy w drzwiach zasówkę, usiadł w fotelu i rzekł:

— No, jesteśmy teraz w cztery oczy, mój Ludwiku.

Gajowy zbliżył się i półgłosem opowiadać zaczął przygody nocy ubiegłej, wyznanie cygana, historię pożaru, ukradzenie dziecka; opowiadał to, nie pominawszy żadnego szczegółu, a dziedzic słuchał uważnie, z wrastającym ciągle zajęciem. Nareszcie w konkluzyi Ludwik rzeki:

— Proszę wielmożnego pana, miarkując po czasie, kiedy to się stało i kiedy to wielmożny pan tego dzika zabił, to owo ukradzione dziecko pewnikiem nie będzie insze, ino moja Hania sierotka.

— Czarna Hania?...

— A tak; gdy pomyślę o tem, że mi ktoś może to dziecko odebrać, że mnie może osierocić na starość, to mi się serce krwawi!...

— A może to nie ona, mój Ludwiku?

— Ej, musi ona, wielmożny panie, musi ona nieboga, bo tu w tych papierach, co mi cygan osławił, jest taki obrazik maleńki, akuratnie jakby kto Hanię wymalował. Jakem zobaczył, małom nie krzyknął, ale

ścisnąłem zęby, nie powiedziałem słowa nikomu, tylko napowrót zawinałem ten obrazik w papiery, a papiery w gałgan, i przyszedłem do wielmożnego pana o przykaz, co dalej robić, o radę.

To mówiąc, Ludwik ową paczkę papierów położył na stole.

Dziedzic rozwinął ją powoli, wyjął miniaturę i uważnie przyglądać jej się zaczął. Widocznie rysy pięknej twarzy, wymalowanej na portrecie, nie były mu obce, gdyż zamyślił się, tarł rękami czoło, jak gdyby tym sposobem chciał dopomódz pamięci, i długo, długo wpatrywał się w portrecik. Nareszcie po długim namyśle rzekł: — Mój kochany Ludwiku, papiery przechowują myśli ludzkie i przechowują mowę, ale żeby tę mowę zrozumieć, trzeba czytać; tu ich jest, jak widzisz, sporo tych papierów, parę godzin trzeba na ich przejrzenie. Pójdź sobie zatem do kuchni, posiedź tam w ciepłe i posil się, a pani poproś, żeby mi tu żywego ducha nie wpuścili do pokoju. Chcę być sam.

Ludwik skłonił się i wyszedł — dziedzic tymczasem zamknął drzwi na klucz, włożył okulary,

a zasiadłszy przy biurku, zaczął przeglądać i czytać papiery powoli i uważnie.

Na twarzy jego malowały się różne wrażenia ciekawość, zniechęcenie, to znów radosny jakiś blask w oczach.

Upłynęła godzina jedna, druga, trzecia, a on wciąż czytał i czyta!.

Nadeszła pora obiadowa, lecz nikt nie śmiał zapukać do drzwi, nawet żona. Dopiero nad wieczorem wyszedł dziedzic ze swego pokoju. Milezący był, zachmurzony, kazał sobie coś do zjedzenia podać, a potem Ludwika zawołał.

Gdy gajowy wszedł do kancelaryi, dziedzic zamknął drzwi szczelnie i rzekł półgłosem:

— Dziwne bywają koleje losów, mój Ludwiku bardzo dziwne...

— Wielmożny pan czytał te papiery?

— Czytałem, czytałem wszystkie, co do jednego i proszę cię, mój Ludwiku, żebyś się na kilka dni, a może na tydzień w drogę wybrał, pojedziemy razem. Lasu tymczasem popilnuje kto inny.

— Dobrze, wielmożny panie, jutro będę gotów—rzekł Ludwik.

— Ale pamiętaj, nie mów nikomu, nawet żonie swojej, ani słowa.

— Słucham, wielmożny panie, będę milczał jak pień.

— Dobrze więc, a teraz idź z Bogiem. Ludwik jednak nie ruszał się z miejsca.

— Wielmożny panie—rzekł, kłaniając się dziedzicowi do kolan — wielmożny panie, jedno słowo jeszcze; toż to dziecko jak moje własne...

— Więc?...

— Chciałem wielmożnego pana zapytać, co w tych papierach stoi?...

— Mój drogi, w tych papierach, co prawda, ważnego niema nic, ale ja wiem coś więcej niżli te papiery. Przypominam sobie tę całą historię pożaru, gdyż była głośną w swoim czasie... zapomniałem tylko nazwiska nieszczęśliwych rodziców. Znalazłem je jednak w tych papierach i teraz wiem, gdzie i do kogo się udać. Jutro jedziemy, Ludwiku.

— Dobrze, wielmożny panie — rzekł gajowy z westchnieniem—jutro pojedziemy, a jak wypadnie dziecko oddać, to... to... niech się dzieje wola Boska... to oddam—dodał nawpół z płaczem.

Nazajutrz raniutko, skoro się tylko rozwidniło, dziedzic z gajowym puścili się w drogę. Dojechali do najbliższej stacji drogi żelaznej, potem pół dnia koleją, wreszcie trzęsącą bryczką pocztową; jechali przez okolice płaskie, równe, lesiste, aż wreszcie trzeciego dnia jazdy znaleźli się u celu.

Przed dworem, przed którym zatrzymała się bryczka pocztowa, stał Niemiec w kurtce czerwonej, w drewnianych trzewikach, z fajką w ustach. Spoglądał na przybyłych pytająco, uważnie.

— Czy pan w domu?—zapytali podróżni.

— Ja, ja, pan w domu jest... ja sani aber pan, to moja folwark...

— Pański folwark?...

- Aber, Herr Jezus, moja folwarka; czego panowie chcecie?
- A gdzie są państwo K..., dawni właściciele?

— K...? no ja, das ist was anders, K. miała folwarka, aber jetzt niema, ja kupił...

— Dawno?

— Szedem lat... nie... oszem lat, richtig oszem.

— A tamci?

— Wzięła pieniędzy i pojechała do miasta. W miasto jest, na bruk siedzi. Podziękowawszy Niemcowi za objaśnienie, nasi podróżni udali się do miasta odległego o mil kilkanaście, gdzie spodziewali się znaleźć rodzinę K., wypocząwszy nieco po uciążliwej podróży; rozpoczęli poszukiwania i wreszcie odnaleźli na ustroniu domek, w którym, jak zapewniał wszystko wiedzący faktor, K... miał mieszkać.

Gdy zadzwonili, otworzyła im drzwi kobieta niemłoda już, szczupła, wysoka, i w sposób wcale nieuprzejmy zapytała, czego chcą i w jakim celu nachodzą spokojne mieszkanie?

Stary szlachcic odpowiedział również ostro:

— Niechże się dobrodziejka nie indyczy, nie nachodzimy przecież domu, tylko chcemy się dowiedzieć o pana K..., do którego mamy pilny interes...

— Nareszcie, że się choć raz ktoś o niego zapyta!! Proszę do pokoju, bardzo proszę...

— Więc pan K... jest u siebie?

— Jaki u siebie? on jest u mnie; pan dobrodziej zapewne musiał o mnie słyszeć; mnie tu całe miasto zna, jestem wdowa i to nie byle po kim., Mój nieboszczyk był porucznikiem i to nie byle gdzie, bo w dragonach, a potem umarł, choć go mieli rotmistrzem zrobić, a ja jestem sobie obywa

telka i to nic byle jaka, bo ta cała posesyą to moja i czysta jak szkło, bo długu nie mam, za pozwoleniem pańskim, ani grosza... Ot, widzisz pan dobrodziej, że tedy K... nie jest wcale u siebie, tylko u mnie.

— I cóż on tu robi u pani?

— Mój panie, naprzód on nic nie robi, tylko wyrabia, a co on wyrabia, tegoby na psiej skórze nie spisał; teraz na przykład jest w ogrodzie, siedzi sobie na ławce i przedzie.

— Przedzie?!

— Alia, a wiesz pan dobrodziej, co on przedzie? Jak oto słońce świeci, to między listkami są takie promienie, jak złote nici, proszę pana, to on je przedzie; powiada że już siedem tysięcy motków uprzął i że je schował, a wie pan dobrodziej, gdzie schował? Powiada że w makowy kwiatek schowa! i kroplą deszczu przykrył. Jak Boga kocham, tak powiada... No, nie głupi? niech pan sam osądzi.

— Więc on tego? — rzekł szlachcic, dotykając ręką czoła.

— A cóż pan myślał? Waryat, całkiem waryat, często wybiera się z wizytą do żony... ma jechać kareta z orzechowej łupiny, cztery myszy w lejc, motyl za stangreta, przez dwa tygodnie bicz robił z makowych ziarenek, z pół kwarty maku mi zepsuł... Ale co się pan tak patrzy, może pan myśli, że ja jestem waryatka?... Nie, jak mi Bóg miły tak nie; jestem uczciwa wdowa, nazywam się Rajtarska, a tego biedaka to tak trzymam przy sobie, niby to za pieniądze, ale więcej z litości...

— Proszę pani, ależ ten człowiek miał majątek, miał żonę!...

— I wielka rzecz! cóż że miał?... Nieszczęścia ich ścigały, dziecko stracili, potem ta jego żona umarła, a on tęsknił, tęsknił i widać mu się coś w głowie wzruszyło. Z początku nikt nie wiedział, że on ma jakiegoś



zajączka, a on tymczasem precz wszystko marnował i marnował; aż raz dopiero jak chciał dwór na cztery rogi podpalić, tak zmiarkowali co się święci. Przyjechał jego jakiś krewny, który także już dziś nie żyje, jego biedaka oddał do szpitala, majątek sprzedali; no, ale cóż, waryat jak to waryat, głupstwa robił, a dobrzy ludzie żywili się przy tem, zostało całej parady dziesięć tysięcy rubli, to jest w banku... no, i widzi pan dobrodziej, procent idzie na jego utrzymanie. W szpitalu bardzo szalał z początku, a potem to się zrobił taki spokojny, jak baranek. Wzięłam go do siebie i już kilka lat tu jest. Oto cała historia, widzi pan dobrodziej; ale zagadałam się; nie zdążyłam zapytać, co panowie macie do niego za interes? Proszę mnie powiedzieć, bo cóż z waryatem...

Stary szlachcic opowiedział w krótkości historię Hani: pani Rajtarska aż podskakiwała na krześle.

— Cud! jak mi Bóg miły, cud—wołała.

— A jednak czy można mu to powiedzieć? czy to nie zrobi na nim wielkiego wrażenia?

— Proszę pana, można. On nie wierzy w to, że mu żona umarła, że mu się dziecko spaliło, wcale temu nie wierzy. Czekaście panowie, ja go zaraz zawołam.

Z temi słowy otworzyła lufcik i zawołała kilkakrotnie:

— Panie Józefie! panie Józefie! goście są.

Na to wołanie wszedł do pokoju człowiek wysoki, szczupły, z błędnym wzrokiem, ogromną szpakowatą brodą i długimi włosami. Zobaczywszy obecnych, stanął przy progu, spoglądając trwożnie.

— Niech się pan Józef nie boi — rzekła pani Kajtarska,—ci goście przyjechali od Hani, od córeczki pana Józefa.

Na wspomnienie córki oczy biedaka zaświeciły blaskiem żywym.

— Od Hani... od mojej maleńkiej... dalibóg to pierwsi rozumni ludzie, jakich widzę... bo, proszę panów, powiedzieli, że Hania w ogniu, że

Anielka w ziemi... to nieprawda! W ogniu pali się drzewo, ale złoto nie pali się wcale, a ja miałem szczerozłote dziecko...

Hania żyje, wielmożny panie — rzekł Ludwik.

— Przecież wiem że żyje, mówiłem ci już, dobry człowieku, że złoto się nie pali.

— A możeby ją pan chciał zobaczyć? — spytał stary szlachcic.

— Owszem, od dawna wybieram się do niej, ale zawsze coś wypadnie; motyl, mój stangret, spił się jak dzik, lejcowa mysz dostała dychawicy, ale czekajcie... zaraz zarządzę, żeby fornalskie szczury zaprzęgli, w braku motyla, pijanego wiecznie, pojedzie stary kret, ślepy na jedno oko, ale wozi świetnie. Zaraz każę zaprzęgać. Poczekajcie z pięć minut.

Ludwik miał Izy w oczach.

— Jak pani myśli — spytał stary szlachcic — a gdybyśmy go zawieźli do córki?

Pani Rajtarska wstydliwie oczy spuściła.

— Panie dobrodzieju—rzekła — zrób to. Ten człowiek to mój ciężar.

Jeżeli się mam panu przyznać otwarcie, to właśnie trafia mi się, za pozwoleniem pańskim, kawaler. Nie porucznik wprawdzie, lecz gubernialny sekretarz, bo ja jestem na to gryniaśna i człowieka z byle jaką rangą nie chciałabym za nic. Jest on nie pierwszej młodości i stateczny, kocha mnie, za pozwoleniem, serdecznie. Więc, jeżeli mam panu dobrodziejowi prawdę powiedzieć, jabym za niego wyszła... Nie wątpię iż pan rozumie, że w takich uroczystych chwilach, jak pierwsze miesiące młodego, kochającego się małżeństwa, obecność obcego, z przeproszeniem, mężczyzny, byłaby zbytęzną...

— Tak, tak, masz pani zupełną słusność.

W chacie Ludwika jasno jest i wesoło. Słońce przedziera się przez gałęzie sosen, złotymi plamami pada na mech i paprocie.

Przed chatą siedzi Hania i szyje, u stóp jej na ziemi usiadł człowiek blady, z długą, szpakowatą brodą i paleami jakieś automatyczne wykonywa ruchy. Przędzie on złote promienie słońca dla swej córki na welon.

— Dobrze ci tu, ojczy?—pyta go Hania.

— Czemu nie dobrze? jak w niebie... tyś dobra, Ludwikowie dobrzy i ten stary pan dobry... z nieba złote nici spływają, a jak barwne motyle podrosną, to pojedziemy do niej... Wiesz, do kogo pojedziemy, Haniu?...

— Do kogo?

— Ano, do niej... do matki...

ZBIEG.

(Przygoda Jankła Gipsa.)

Sroga ciągnęła się wśród lasu; była wązka kręta, pełna twardych korzeni, nad powierzchnię ziemi wystających i dołów, w których zbierała się woda deszczowa.

Nie był to gościniec ani trakt publiczny, ale prywatna dróżka przez las, dość uczęszczana jednak, gdyż właściciel lasu przejazdu nie wzbrania!, a jadąc przez nią, omijało się kilka wiorst piasku i zepsuty most; wlokły się więc przez nią wózki chłopskie i biedki żydowskie, a czasem nawet spotkać było można na niej i bryczkę, jeżeli podróżnemu szło bardziej o pośpiech, aniżeli o całość własnych kości.

Był ładny wieczór lipcowy, powietrze czyste, świeże, orzeźwiająca, tylko co po burzy.

Na trawie, na paprociach, na krzakach, na liściach drzew drgały jeszcze grube krople wody, zabarwione różowo od zachodzącego słońca.

Pomiędzy pniami drzew kładły się już cienie, a na niebie

od strony zachodniej przepyszne jaśniały barwy seledynu, złota, szkarłatu, purpury w najrozmaitszych tonach i odcieniach.

Ptaki otrząsały piórka i śpiewały radośnie, gdzieś daleko w gęstwinie grzywaczgołab gruchał, kukułki odzywały się coraz...

Prześliczny wieczór i tak pogodnie, tak pięknie słońce się chowało, taki zapach rozkoszny po esie się rozchodził, takie tajemnicze szmery i szepty drzewa pomiędzy sobą wiodły, że można było patrzeć, i słuchać i napawać się tą pięknnością bez końca.

Niebawem słońce zaszło, natomiast księżyc się na niebie ukazał, na pierwszej kwadrze księżyc, połowiczny ale jasny, i zapuścił blade swoje promienie między konary drzew, osrebrzył wodę w rowach i kałużach, pokładł blaski na wilgotnych liściach.

Podczas tej cichej nocy jechał na dwukołowej biedce pan Jankiel Gips, kapitalistanegocjant z maleńkiej miejsciny. Pilno mu było, śpieszył się, dążył bowiem na jarmark, a jeszcze kilka mil drogi miał przed sobą.

Na dobrego konia bagatela to, ale szkapa Jankłowa bardzo była sfatygowana i niemłoda. Jadała niewiele, a chodziła bardzo powoli i Jankiel zgadzał się na to, gdyż stratę czasu wynagradzał oszczędnością na

sianie i owsie. Wyjeżdża! zwykle z domu o kilka godzin wcześniej, wracał o kilka godzin później, a gdy go powoływał nadzwyczaj pilny interes, to pomny na zasadę, że kto smaruje ten jedzie, smarowa! szkapinę biczem, aż sierść z niej le

ciała, i krzyczał wio! wio! z całej siły... Te energiczne środki wzbudzały w wygłodzonym bydłociu ruch umiarkowanie przyspieszony, ale na bardzo krótko...

Wreszcie i Jankiel nie mógł długo biczem machać, ręka mu omdlewała i czuł się zaraz bardzo sfatygowanym.

Miał słuszość, bo wywijanie kozicą to robota dla chłopca, lecz nie dla porządnego kupca i kapitalisty. teraz śpiesząc na jarmark, Jankiel już się zupełnie z sił wyczerpał, wetknął więc bicz w słomę, puścił lejce i zakląwszy na swój zły los, postanowił się cokolwiek posilić.

W tym celu nabił swoją porcelanową fajkę tytuniem, zapalił ją i delectował się dymem. Innego środka pokrzepienia sił przy sobie nie posiadał, chociaż biedka jego była naładowana porządnie rozmaitym towarem tak, że musiał dobrze nogi podkulać, żeby się w niej utrzymać. Było w niej pół korca żyta, cała ćwierć grochu, dwa garnki masła i spore żywe cielę. Z tym towarem pan Jankiel Gips śpieszył na jarmark i rozmyślał.

Tematu dostarczyły niedawna burza i ślady, jakie zostawiła po sobie; przyrównywał ją w myśli do wielkiego jarmarku. Turkot, hałas, szwargotanie, gwałt, rejwach, łomot, wielki rozlew... trunków.

Bardzo ładny jarmark. z wyjątkiem piorunów, które wcale nie są potrzebne. I las po burzy wygląda jak miasteczko po jarmarku... Jest w nim trochę nieporządku—trawa i różne ziele jakby podeptane, małe krzaczki potargane, jak chłopskie czupryny po awanturze w karczmie, gdziegdzie

powalone drzewo leży akurat jak pijak, co krowę sprzedał i z tego powodu cokolwiek sobie oko zapruszył.

Jankiel pali fajkę, robił w myśli porównania, czasem przyśpiwywał sobie półgłosem, a szkapa, łeb zwiesiwszy, wlokła się powoli, niby śpiąca...

Jankiel kombinował, że nawet przy tak małym pośpiechu zdąży na jarmark. Jeszcze niema północy, na piątą rano można dojechać, a jeżeli nie na piątą, to na siódmą, w najgorszym razie na dziewiątą, przypuśćmy te na pół do jedenastej i to będzie właśnie sam czas, największy gwałt i ruch, prawdziwa burza.

Pomyślawszy o burzy, Jankiel spojrzał na niebo, jakby w obawie, że ona może powrócić... ale nie, nie zanosilo się na to.

Owszem, gwiazdy błyszcząły, jak złote dukaty, rozłożone na jakimś olbrzymim stole, tylko księżyc już uciekał z góry.

Taki młody księżyc ma swoje fanaberye, wstaje bardzo wcześnie i wcześnie z nieba schodzi; zamiast świecić w nocy, świeci w dzień.

Niekiedy zasłania go chwilowo mała chmurka, biała jak gęś, przeleci pod nim, biegnie dalej, sama nie wie poco, jak... gęś.

Jest trochę chłodno; Jankiel podniósł kołnierz od kapoty, zacisnął mocniej pas bawełniany, fajkę schował w kieszeń, ręce w rękawy i uczył, że mu się zbiera na sen. Bardzo dobrze, niech się zbiera. Najlepiej jest spać w drodze, właściwie nie najlepiej, ale najkorzystniej.

Spanie dla spania, wygodne, wielki pan moie mieć codziennie, ja handlujący człowiek raz na tydzień z piątku na sobotę i w sobotę w dzień. Inne noce

najkorzystniej jest przepędzać na wozie, bo człowiek śpi, wypoczywa, a pomimo tego posuwa się naprzód i z każdą chwilą przybliża do celu. Nie zawsze to wygodne, ale możliwe, zwłaszcza gdy się ma konia niemłodego, spokojnego, a do drogi nocnej przywykłego. Szkapę Jankla te przymioty posiadała w wysokim stopniu. Nie wydarzyło jej się nigdy, żeby wzięła na kiel i ponosiła; wolała ona stać niż chodzić, a najlepiej lubiła się położyć i stękać. Taki temperament flegmatyczny.

Jankiel wiedział dobrze, że może zaufać tak szlachetnemu zwierzęciu, wtulił więc głowę w kołnierz, czapkę na czoło nacisnął i zdrzemnął się zaraz, a potem usnął na dobre...

W godzinę później księżyc pozazdrościł Janklowi spoczynku i zeszedł z warty; ściemniło się zupełnie, tylko gwiazdki mrugały na niebie.

Nagle szkapę stanęła... Jankiel się przebudził, krzyknął wio! i po bicz sięgnął... Biedka nie posunęła się naprzód, pomimo krzyku i energicznych razów, i, co dziwniejsza, koń gwałtownie zaczął się cofać. Wydało się to Janklowi podejrzanem, zsiadł przeto, aby się rozpatrzyć w sytuacji i zbadać, co się stało.

Ogromne drzewo, powalone przez burzę, leżało napoprzek dróżki, tak że przejechać nie było sposobu.

Ale Jankiel nie łatwo ustępował. Wiedział on dobrze, że gdy nie można przeskoczyć, to trzeba

ominać, postanowił więc ominąć... ale tu znowuż z jednej strony dróżki rów pełen wody, z drugiej krzaki tak gęste, że chcąc przez nie przejechać, można było narazić szkapę na postradanie jedyne go oka, jakie jej z lepszych czasów pozostało.

Jankiel zaczął mocno trzeć głowę i różne obmyślać projekty.

Najwłaściwiej trzeba było zawrócić i tą samą drogą, którą się przyjechało, dotrzeć do gościńca, ale na gościńcu wielki piasek, i znacznie dalej tamtędy i trudno będzie zdążyć.

Jankiel zaklął. Głupi, bezduszny kawał drzewa mógł mu zepsuć cały jarmark, zburzyć całkowicie obmyślane kombinacje...

Spojrzał na prawo — woda, na lewo zagajnik sosnowy, zwarty, gęsty jak żywopłot. Przejechać przez niego ani marzyć.

Woda wprawdzie nie może być głęboka, bo nie rzeka to, ani strumień, ale zwyczajny rów; zwykle bywa on suchy, teraz po burzy i ulewie napęliła go woda. Za dwa dni woda zniknie, ale za dwa dni będzie też po jarmarku. Jankiel biczyskiem badać zaczął, jak woda jest głęboka. Nie bardzo, trochę za kolana, nio będzie nawet do pasa, a za rowem las rzadki, można przekłete drzewo objechać i na dróżkę się dostać.

Wszystko to Jankiel szybko kombinował i postanowił, bądźcobądź, biedę swoją przez rów przeprowadzić; nie chcąc się jednak zamoczyć, ukląkł na workach i, nie dowierzając szkapie, wziął krótko lejce do ręki i sam ją na rów skierował.

Rów był szeroki o brzegach niesnadzistych, więc przeprawa żadnego nie przedstawiała niebezpieczeństwa i byłaby się doskonale udała, gdyby Jankiel zdał się na koński instynkt, ale jak zaczął spekulować na prawo i na lewo, biedka przechyliła się mocno na bok i cielak związany wpadł do wody...

Jankiel krzyknął z przestachu i byłby wypadł również, ale cudem jakimś równowagę utrzymał. Uderzył z całej siły szkapę biczem, żeby biedę co rychlej na drugą stronę rowu wywlokła, i pomyślał, że za takie ładne ciele byłyby dostał najmniej cztery ruble.

Ciele jednakże nie miało chęci marnie ginać w wodzie; związane powróstem słomianem za nogi, szarpnęło niemi instynktownie raz i drugi z całej siły i słabe więzy zerwało.

Przerażone wyskoczyło z wody i becząc przeraźliwie, popędziło w las. To samo zrobił i Jankiel, skoro tylko z resztą towaru na ląd się wydostał. Pozostawił szkapę z biedką i pobiegł gonić zbiega.

Trudna była to sprawa, ciele bowiem pędziło na oślep, a ciemność utrudniała pogoń. Była chwila, że Jankiel się zawahał i przypuszczał, że w cieleciu siedzi jaki zły duch, którego lepiej nie zaczepiać, ale wnet



przyszła refleksja, że zły duch może siedzieć w cielęciu swoją drogą, a cztery ruble siedzą napewno swoją drogą, i że jeżeli dobrze jest złego ducha nie zaczepiać, to jeszcze lepiej czterech rubli nie stracić—gonitwa trwała więc dalej.

Nie jest to winą Jnnkla, ie cielak ma lepsze nogi i zwinniejsze ruchy, aniżeli porządny człowiek, spekulant i finansista, wiec w wyścigu wszystkie szanse były po stronie cielęcia, tem więcej, że pogoń odbywała się w ciemności i że jedynie po szeleścił gałązek i krzaków można się było oryentować, w jakim kierunku zbieg ucieka.

Jankiel był pewny, że biegnie po linii prostej, tymczasem była to linia tak dalece krzywa, że opisywała nieforemnie koło i powracała do punktu, z którego była wyszła, to jest do pozostawionej biedki i szkapy nad rowem. Zdumiał się mocno Jankiel, ujrzawszy przed sobą, zamiast cielęcia, potulne i wierne swoje bydle, które z obojętnością przedziwną, nie zważając na to, co się kolo niego dzieje, skubało trawę nad rowem. Jankiel nie zastanawiał się już nad niczem, bo i nie mógł. Zmęczony szybkim biegiem, oddychał ciężko, pot wystąpił mu na czoło, w nogach czuł omdlenie; padł na trawę i wypoczywał, łowiąc uchem wszelkie szmery lasu...

Po krótkiej chwili wypoczynku podniósł się z ziemi i poszedł dróżką wprost przed siebie, wyteżając wzrok i oburzając się słusznie na księżyc, który, zamiast świecić podróżnym, chowa się niewiadomo gdzie i pozostawia w ciemności ludzi, śpieszących na jarmark.

Rozpatrując, o ile się dało, miejscowość, Jankiel rozumował, że cielę wygłodzone, zmęczone w trzęsącej biedce i zmoczone, daleko nie pójdzie i położy się gdzie pod drzewem. Patrzył więc uwa

źnie. Zdawało mu się, że dojrzał, zbliżył się powo\_ li, ostrożnie, żeby zbiega nie spłoszyć, potem nagle rzucił się naprzód i padł na mrowisko. Ze złym duchem niema żartów, jak spotka człowieka w miejscu samotnem i odludnem, i zacznie figlować, to może zaprowadzić nic tylko w mrowisko, ale w miejsce bardziej jeszcze przykre i paskudne. Myśl ta naprowadziła Jankła na bardzo słuszny wniosek, ie poszukując żywego cielecia nie należy rzucać się na przedmioty, które ani oddychaniem, ani ruchem nic dają znaku życia. w rzeczy samej— dlaczego taka prosta rzecz nie przysła Janklowi na myśl od razu? Ciele nie leży jak kamień, od czasu do czasu ruszy nogą lub łbem, stęka, oddycha, trzeba więc w poszukiwaniu używać dwóch zmysłów, wzroku i słuchu. Jankiel postanowił słuchać bacznie. I znów się zastanowił. Gdzie jest napisano, że w lesie pod drzewem leżeć ma koniecznie Janklowe ciele? Dlaczego nie mógłby leżeć, dajmy na to, wilk, albo inne drapieżne zwierzę? Nie, myśl o wilku Jankiel stanowczo odpędza: odpędza ją nie kijem, ani batogiem, lecz siłą rozumowania. Jankiel, jako człowiek, który częste wycieczki po okolicy odbywał po lasach i nocami jeździł, i raz nawet na własne oczy, chociaż bardzo z daleka, wilka widział, miał o tem zwierzęciu sąd wyrobiony. Wiedział on, że ów drapieżnik jest bardzo żarłoczny i bardzo sprytny i że ma przy tem wyborny węch, słuch i wzrok. Gdyby znajdował się blisko, zwietrzyłby ciele, gdyby je zwietrzył, toby je zaraz pożarł, nie zaczepiałby porządnego kupca na drodze, lecz wyniósłby się

co prędzej w głąb lasu, aby się położyć w spokojnem miejscu i spać. To rozumowanie uspokoiło Jankła zupełnie; splunął trzykrotnie i więcej o wilku nie myślał. Głównym przedmiotem, zajmującym jego umysł w tej chwili, było ciele. Kupił je wczorajszego dnia od chłopca z wielkim targiem za dwa ruble W

gotowiznie i za kilka miarek wódki w naturze. Kupił je niedrogo i mógł liczyć na pewno, że zyska na niem przynajmniej półtora rubla, jeżeli nie całe dwa—i trzeba nieszczęścia, żeby akurat była dnia tego burza, żeby obaliła drzewo na drodze, napełniła wodą rów zazwyczaj suchy i przyczyniła się do ucieczki cielęcia!

Jankiel miewał już w życiu swoim różne wydarzenia i przygody, nawet bardzo szczególne i nadzwyczajne; niewypłacalny dłużnik mu uciekł i wyemigrował do Ameryki — ale żeby cielę dobrze związane uciekło z biedki, to się jeszcze Janklowi nigdy nie zdarzyło. Gdyby wreszcie taka przygoda stała się w zwykłym czasie, to byłoby pół biedy, ale przed jarmarkiem, przed takim znacznym jarmarkiem, to jest po prostu nieszczęście...

Doprawdy, niema na świecie nic tak zawodnego i ryzykownego, jak handel, zwłaszcza wiejski... Ci wieley kupcy, którzy siedzą przy wygodnych biurkach i sprowadzanie towarów z za morza uskuteczniają przez korespondencyę, nio mogą mieć wyobrażenia, z jakim wielkim nieraz kłopotem i ambarasem połączone jest nabycie marnej gęsi, lub kury. Oni się znają na handlu, jak koza na pieprzu! Jankiel się zna.

Uszedł spory kawałek drogi, potykając się. na wystających z ziemi korzeniach, zapadając w wyboje, nagle zatrzymał się... Wśród ciemności, do której oko jego cokolwiek już przywykło, tuż prawie przy dróżce, pod grubym pniem dębu, dostrzegł jakąś masę, przedmiot nie podobny ani do zwalonej kłody, ani do mrowiska. Jankiel zatrzymał w sobie oddech, aby owej masy nie spłoszyć, stanął i wyteżył wzrok i słuch, jak tylko umiał i mógł...

W samej rzeczy masa drgnęła i zdawało się Janklowi, że przy tem wykonała ruch zupełnie podobny do kopnięcia. Ruch ten powtórzył się kilkakrotnie—nie ulega wątpliwości, że ów przedmiot jest to Janklowe cielę.

Jankiel jeszcze czekał trochę i słuchał, dochodził jego uszu jakiś niewyraźny szmer — przybliżył się o kilka kroków dalej... nie, to nie jest żaden szmer, to sapanie, troszkę chrapliwe, ale i to się tłumaczy: cieleń wpadło w wodę, przeziębilo się, ma trochę kataru. Tak, i to jest bez najmniejszej wątpliwości cieleń... a skoro jest, to trzeba je złapać; pochwyć je zniemacka i od razu mocno związać, żeby nic uciekło znowuż.

Dość już przecie tej gonitwy po lesie i w ciemności, czas ją skończyć i śpieszyć na jarmark: szkapa sobie wypoczęła trochę, uskubała cokolwiek trawy, więc powinna mieć siłę i polecieć z impetem, jak ptak. Postanowiwszy się zabezpieczyć od głupich intencji cieleńca, Jankiel sięgnął do kieszeni i wyciągnął stamtąd kawałek mocnego sznurka, aby zaraz zbiega związać i zanieść na biedkę.

Trzymając sznurek ów w rękę, skradał się powoli, krok za krokiem, jak, nie przymierzając, kot do myszy—a zmiarkowawszy, że już się zbliżył na dostateczną odległość, jednym skokiem rzucił się naprzód i całym ciężarem swego ciała przygniótł nieszczęsne cieleń.

Jęknęło ono dziwnym głosem i szarpnęło się rozpaczliwie, ale Jankiel trzymał mocno... Stała się jednak rzecz nadzwyczajna: cieleń nie poprzestało na biernym oporze, już nie z energią, ale z wściekłością raczej przeszło do akcji zaczepnej.

Jankiel uczuł, że go ktoś, czy coś, chwyta za szyję jak kleszczami, przyciska do siebie nadzwyczaj silnie i klnie.

Jankiel ogłuszony, na wpół przytomny, usłyszał jednak wyraźnie wyraz .psia kość."

Jeszcze żadne cieleń na świecie nie przemówiło w ten sposób. Była to jednak wskazówka, jakim językiem można się z tem strasznym czemś, potworem, widmem czy złym duchem, porozumieć. Jankiel też natychmiast głosem rozpaczliwym zaczął wołać:

— Puść! puść!

Swoją drogą sam nie puszczał.

— Ty puść...—odezwała się ofiara.

— Puść!

— Puść!

— Ty wpierw...

— Nie puszczę, sam puszczaj, coś ty za jeden, zbójco? czego chcesz?...

— Nic nie chcę... puść mnie... ja myślałem, że to moje ciele...

— Ja mam być twoje ciele? a ktożeś ty!

— Kto ja mam być? Ja jestem Jankiel.

— Jankiel?

— Jankiel Gips! Kto nie zna Jankla Gips?

— Niechże cię najjaśniejsze jasności!

— Za co jasności?

— Toście mnie dopiero przestraszyli—zawolał ów człowiek i, odepchnąwszy Jankla, zerwał się na równe nogi.

Dopiero wtedy przerażony finansista zobaczył, z kim ma do czynienia.

Stał przed nim chłop ogromnego wzrostu, wysoki, barczysty, istny olbrzym. W nocy wydawał się jeszcze większy, niż byt w rzeczywistości.

Stał zdumiony niespodziewanym napadem, zdumiony niemniej od Jankla, któremu nie mogło przyjść na myśl, aby mógł się rzucić na takiego chłopca.

Po krótkiej chwili milezenia olbrzym przemówił pierwszy:

— Prawda, teraz już cię poznałem, mój żydku, i widzę że jesteś Jankiel Gips, ale się nie do swoich rzeczy bierzesz.

— Ja!?

— Ha no; chyba nie ja, ale na drugi raz, jeżeli zechcesz mnie łapać, to weź z sobą przynajmniej ze czterech tęgich chłopów, bo wiesz że ułomek nie jestem i nie można mnie wziąć jedną ręką, jak kota.

— Mój człowieku, ja nie wiem kto wy jesteście i nie rozumiem, co mówicie. Na moje sumienie, ja do was nie mam żadnego interesu, łapać

was wcale nie chciałem i będę bardzo kontent, jak sobie stąd pójdę.

— Hola... stąd nie pójdziesz — rzekł olbrzym i położył ogromną swą łapę na ramieniu Jankła.

— Dlaczego nie mam pójść? Kto mi zabroni?

— Ja!

— Proszę was, nie gadajcie wy głupstwa, przecież wy nie wójt, ani nie sołtys. Paszportu nie mam potrzeby wam pokazywać.

— To się zaraz pokaże — rzekł drab, biorąc Jankła za kołnierz.

— Mój panie, ja pana bardzo proszę, daj mi pan spokój.

— A dlaczego chciałeś mnie związać?

— Tfy! ja chciałem złapać i związać ciebie, które mi uciekło! Po co ja miałem łapać pana, kiedy ja pana wcale nic znam i nie mam do pana żadnego interesu? Ja wcale nie wiem, kto pan jesteś i czym się pan trudnisz i nie wiem wcale, jak się pan nazywasz.

— Nie kłam, bo wiesz... Myślałeś że mnie weźmiesz śpiącego i nagrodę za to dostaniesz... Wiesz, że uciekłem z więzienia, że mnie tropią ciągle jak wilka, że się nazywam... Kominek...

Usłyszawszy to nazwisko, Jankiel osunął się na ziemię, jak martwy.

Kominek był to zbrodniarz bardzo głośny w okolicy; kradł, grabił, urządzał napady na domy. Dostać się w ręce takiego majstra było bardzo niebezpiecznie. Zrozumiał to Jankiel doskonale i uważał się za straconego. Zbój mógł myśleć, że istotnie Jankiel chciał go ująć i w ręce

władzy wydać. Jedno pchniecie noża i... pod wpływem tej myśli Jankiel zemdłał.

Zbój wstrząsnął nim kilka razy, prysnął mu w oczy wodą z kałuży i ledwie (io przytomności powrócił).

Otworzywszy oczy i zobaczywszy straszego draba przy sobie, Jankiel byłby zemdłał powtórnie, ale Kominek zachowywał się spokojnie — Mów—rzekł—wszystko szczerze, jak było, a jeżeli skłamiesz jedno słowo, to...

Z płaczem opowiedział Jankiel swoją przygodę, mówił o jarmarku, o obalonem drzewie, o cieleciu, o poszukiwaniu w ciemności, przysięgał się na zdrowie, na życie, na żonę, na dzieci że łapanie przestępców nie jest jego fachem, że on osobiście, ze swego punktu widzenia, nie może mieć nic przeciwko temu, że ktoś trudni się rozbojem lub grabieżą...

— Mój panie Kominek, wielmożny, jasny panie Kominek!... Co mi to szkodzi, ja żyję ze spekulacyi, pan żyjesz ze spekulacyi — każdy człowiek musi jakoś spekulować... Pan myślisz że ja nie grabie i nie straszę ludzi, owszem straszę, tylko trochę delikatniej—inny sposobem... Ja nie mam takiej siły i takiego zdrowia, jak pan dobrodziej. Pan powiada, że ja pana chciałem złapać... Czyż ja jestem podobny do waryata? Mnie jeszcze życie miłe, a moje zdrowie jest bardzo delikatne; ja miałbym się rzucić na taką osobą, na takiego pana?... Niech moje wrogi robią takie dobre interesa!

Opryszek słuchał tego opowiadania uważnie, nareszcie rzekł po namyśle:

— No, zdaje mi się, że nie kłamiesz. Ile masz przy sobie pieniędzy? Jankiel miał przy sobie kilka rubli w portmonetce, oprócz tego w różnych skrytkach kapoty i w czapce.

W milezeniu wyjął woreczek z kieszeni i podał zbójcy, mówiąc:

— Ja tam nie wiem, niech pan porachuje. Drab, zapalką sobie przyświecając, policzył.

— Dyabelnie mało—rzekł.

— Mało, może być że mało, ja jadę na jarmark, jak będę powracał, to wcale co innego, może pan na mnie zaczeka...

— A ty przyjedziesz z policją?

— Panie, ja jestem honorowy człowiek, mogę inną drogą wracać, ale zrobić panu figła, to nie mój zwyczaj.

Kominek odprowadził Jankła do biedki, obejrzał konia, bo już trochę świtać zaczęło, lecz przekonawszy się, że nic nie wart, uniósł się wspaniałomyślnością i pozostawił go Jankłowi.

— Możesz wracać—rzekł — ale jeżeli słówko piśniesz, żeś mię spotkał, to przysięgam, ie cię własną ręką zarżnę jak barana, a twoje domostwo z dymem puszcę... Gdyby mnie ujęli z twojej przyczyny... to moi przyjaciele się zemszczą. Siadaj teraz i jedź.

Nigdy w życiu Jankiel nie wskoczył na biedkę tak zgrabnie, jak w tym razie, nigdy nie uderzył szkapy z taką siłą, ta też, jak gdyby pojmując ważność sytuacji, pomknęła jak za młodych lat.

— Czekaajno, czekaaj!—zawołał drab.

— Co jeszcze wielmożny pan rozkaże?

— Nie śpiesz się, poszuka] swego cielecia.

— Nie mam czasu, dalibóg nie mam czasu... Niech pan łaskawy poszuka i znajdzie dla siebie... Ja będę bardzo kontent, jeżeli przyjmie pan ode mnie taką małą bagatelkę.



(Z pamiętników milionera.)

Duża rzeka robi się z małych strumyków, korzec zboża z drobnych ziarenek, rubel powstaje z groszy... W finansowych interesach z małego początku powstają ogromne kapitały; w wielkopańskich znów z dużych majątków nie pozostaje nic, albo coś bardzo maleńkiego, co także nic nie znaczy. I tak jest w świecie ciągle: jedno rośnie, drugie upada.

Stary Jankiel, nauczyciel nasz w chederze, zawsze mówił:

— Nie martwcie się, żeście biedni i że wasi rodzice biedni; możecie być jeszcze bardzo bogaci...

— Skąd my możemy być bogaci? — pytał jeden z nas.

— Z głowy—odrzekł Jankiel.

Z głowy! powtarzaliśmy to sobie ciągle i pracowaliśmy głowami ja i moi koledzy, wymyślaliśmy głowami różne spekulacje, różne handle, różne

figle, do wykonania których nie brakowało nam nic, oprócz pieniędzy.

Jednego dnia stary Jankiel był bardzo smutny, kiwał się nad książką, drzemiąc; myśmy się też kiwali, ale nauka wcale nie szła. Każdy o czym innym myślał. Nareszcie Jankiel bardzo cicho, bardzo delikatnie odezwał się:

— Dzieci...

— Nu, co rebe chce?

— Ja jestem chory... mnie kolo serca ściska, mnie zimno jest, jabym się napił wódki.

— Kto broni?

— Ja nie mam wódki...

— To niech sobie rebe kupi...

— Ja pieniędzy nie mam...

— My też nie mamy.,.

Znów się zrobiło cicho, bardzo cicho, a rebe zaczął szukać po wszystkich kieszeniach, w kapocie, w kamizelee, wszędzie, nareszcie znalazł...

— Jest!—zawołał z radością, ale spojrzawszy na pieniądz, zaraz bardzo posmutniał i rzekł:

— Fałszywa dziesiątka...

— To zawsze więcej warta, niż żadna dziesiątka—szepnąłem.

Jankiel usłyszał i zapytał:

— Kto powiedział takie mądre słowo?

— Kto miał powiedzieć? ja powiedziałem.

— Ty, mój kochaneczku, sam nie wiesz, jak ty dużo powiedziałaś.

— Powiedziałem prawdę; albo fałszywe dziesiątki nie kursują

Jankiel myślał i myślał, nareszcie zawoła! mnie i rzekł:

— Słuchaj mały, możeby ty mi przyniósł wódki za tę fałszywą dziesiątkę?..

— Za co nie?

— Ja tobie za to dam kawałek bułki.

— Nie potrzebuję bułki, tylko zarobku; rebe sam powiedział, że każdy finansowy interes powinien dać zysk...

— W czym ty widzisz finansowy interes? Ciebie posyłają, to jest, co najwyżej, interes posłaticowy.

— Ja chce zarobić...

— Ile chcesz?

— Całą, prawdziwą dziesiątkę!

Wszyscy zaczęli się śmiać, nawet stary Jankiel też.

— No, no—powiada — mój Szmulku, ty jesteś bardzo pazerny... Ja tobie nie dam dziesiątki, choćbym nawet miał...

— Ja nie chcę od was, ja ją sobie sam wyspekuluje.

— No, no—powiedział Jankiel — idź, przynieś wódki za fałszywą dziesiątkę, a jeżeli potrafisz zyskać na tym interesie prawdziwą dziesiątkę, to twoja głowa będzie warta ozłocenia...

Pobiegłem na miasto i za mały kwadrans byłem z powrotem.

Cały cheder rzucił się do mnie.

— Co jest? co jest? — wołali. — Masz wódkę? Pokaż wódkę! Masz pieniądze? Pokaż pieniądze!

— Cicho, sza!... — zawołał Jankiel. — Chodź tu, Szmulku; ja widzę po twoich oczach, że zrobiłeś dobry geszefcik.

— Naprzód — rzekłem—oto jest wódka; niech rebe Jankiel pije na zdrowie i niech swoim delikatnym smakiem osadzi, czy jest dobra? Stary pociągnął z flaszeczki jeden raz i drugi raz i powiedział:

— Na moje sumienie, to jest czysta, doskonała szabasówka.

— A teraz—rzekłem — niech rebe osądzi, czy to jest dobra dziesiątka. Jankiel wziął pieniądz do ręki.

— No, no — powiedział, — abym tak dobre życie miał, jak to jest dobre, czyste, miedziane pięć kopiejek... Kto ci dal tę monetę, Szmulku?...

— Zarobiłem na wódce. Niech się rebe nie śmieje, rebe sam opowiadał o różnych spekulacjach w okowicie...

— Słuchaj — rzekł rebe groźnie — słuchajno, ty smarkaczu, jeżeli nie chcesz, żebyśmy cię posądził, żeś ukradł komu dziesiątkę, to powiedz, skąd ją wzięłeś?

— Zarobiłem, uczciwie zarobiłem. Jak mi rebe dał niedobłą dziesiątkę, to ja poleciałem do szynku, w którym było dużo ludzi, i zacząłem krzyczeć, że mój tata bardzo chory, że doktor kazał przynieść dla niego wódki i że to bardzo pilno jest. Szynkarz, widać miłosierny człowiek, nalał mi prędko wódki i zgarnął pieniądz do szuflady — to już jest wódka...

— Ale niema dziesiątki!

— Zaraz będzie. Ja pobiegłem na drugą ulicę, stanąłem koło studni, poczekałem trochę i znów wróciłem do tego samego szynku z jeszcze większym gwałtem. Płakałem że mnie matka wybiła, bo doktor kazał przynieść pachnącej wódki z apteki, a ja przyniosłem zwyczajnej z szynku. Szynkarz miłosierny człowiek był, powiedział mi tylko, żebym na drugi raz lepiej uważał, co starsi do mnie mówią; wódkę wlał napowrót do gąsiora, a mnie oddał te wielką, prawdziwą dziesiątkę.

— Ale nie masz wódki!

— Przecież rebe ją sani wypił i powiedział, że była dobra... Aj, aj! bardzo mi przykro, że rebe tak mało trzyma o mojej głowie. Czy ja byłbym taki głupi, żeby oddać szynkarzowi wódkę? Ja miałem akurat taką samą flaszeczkę z wodą; po to przecież chodziłem do studni...

Stary Jankiel pogładził mnie po głowie i powiedział:

— Szmulku, ty zajdziesz bardzo daleko, jeżeli się w drodze z kryminałem nie spotkasz...

No, ja szedłem, ja poszedłem i dość już daleko zaszedłem... Miliony niani majątku, ale tamtą pierwszą dziesiątkę bardzo lubię wspominać... To był śliczny początek...